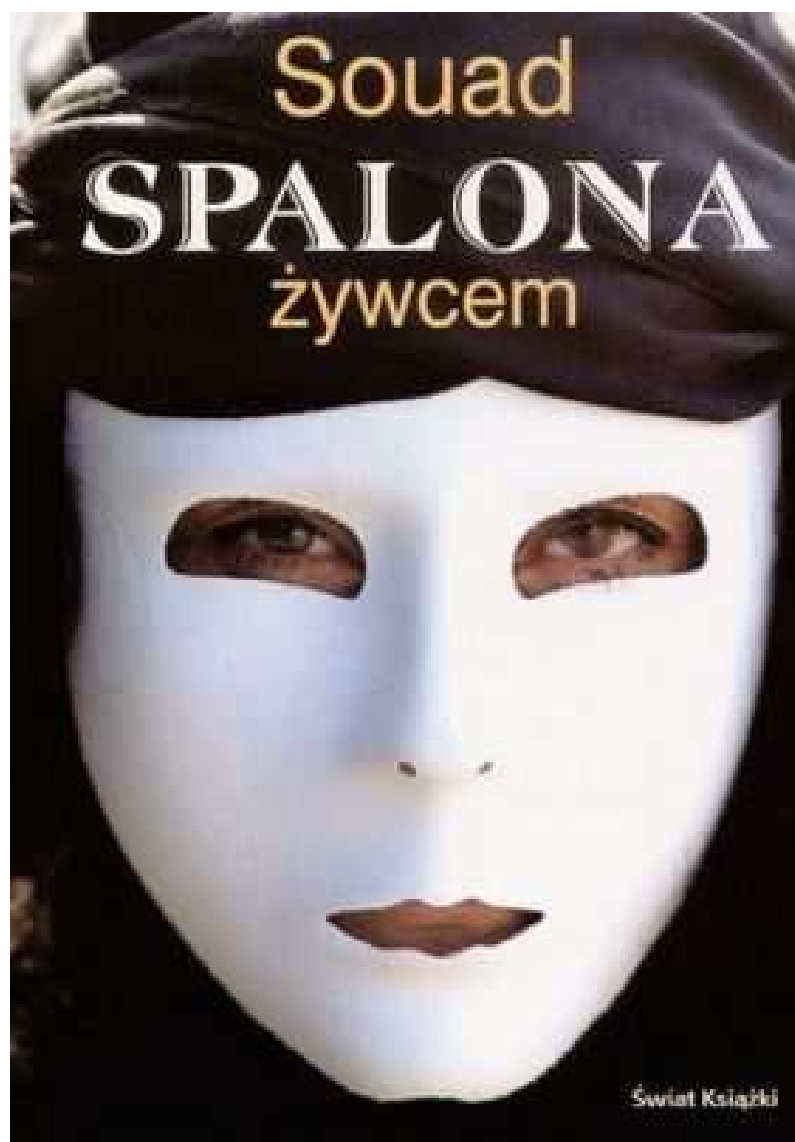


SOUAD
SPALONA ŻYWCEM



MIAŁAM NA SOBIE OGIEŃ

Jestem dziewczyną, a dziewczyna musi chodzić szybko, z głową pochyloną ku ziemi, tak jakby miała liczyć własne kroki. Nie może podnosić wzroku, nie powinna nigdy spoglądać na prawo czy lewo, bo gdyby jej oczy napotkały spojrzenie jakiegoś mężczyzny, cała wioska uznałaby ją za *charmuta*.

Gdyby jakaś zameżna sąsiadka, stara kobieta lub ktokolwiek inny spostrzegł ją całkiem samą na ulicy, bez matki, starszej siostry, owieczek, snopka siana czy kosza z figami, także będą o niej mówić: *charmuta*

Aby nie patrzeć pod nogi, ale prosto przed siebie, aby wejść do sklepu, aby wydepilować się i nosić biżuterię - dziewczyna musi wyjść za mąż.

Jeśli dziewczyna nie ma męża, a może go mieć, kiedy już ukończy czternaście lat - tak było w przypadku mojej matki - cała wioska zaczyna sobie z niej kpić. Jednak żeby wyjść za mąż, dziewczyna musi czekać na swoją kolejkę w rodzinie. Najpierw trzeba wydać najstarszą córkę, po niej dopiero następane.

W domu mojego ojca jest za dużo córek. Cztery, w dodatku wszystkie w wieku zamążpójścia. Są także dwie przyrodnie siostry, córki drugiej żony naszego ojca. To jeszcze dzieci. Jedyny samiec w rodzinie, uwielbiany przez wszystkich syn, nasz brat Assad, narodził się, w pełni chwały, pomiędzy tymi wszystkimi dziewczynami, jako czwarty. Ja jestem trzecia.

Mój ojciec, Adnan, jest bardzo niezadowolony z mojej matki, Leili, która dała mu aż tyle córek. Nie cieszy się również swoją drugą żoną, Aichą, która także urodziła mu same córki.

Najstarsza Noura późno wyszła za mąż; ja miałam wówczas już około piętnastu lat. Kainat, drugą z kolei, nikt jakoś nie prosił o rękę. Usłyszałam, że jakiś mężczyzna rozmawiał o mnie z ojcem, ale muszę poczekać na ślub Kainat, by zamarzyć o własnym. Chyba jednak, Kainat nie jest dostatecznie ładna, a może zbyt powolna w pracy... Nie wiem, dlaczego nikt się o nią nie stara, ale jeśli pozostanie starą panną, stanie się pośmiewiskiem całej wsi, a ja razem z nią.

Jak daleko zdołam sięgnąć pamięcią, nigdy się nie bawiłam ani nie miałam żadnych innych przyjemności. Urodzić się w mojej wiosce dziewczyną oznaczało klątwę, nieszczęście. Jedynym spełnieniem marzenia o wolności może być małżeństwo. Opuścić rodzinny dom, przenieść się do domu męża i nigdy już nie wrócić, choćby na nowym miejscu miało się być bitą. To wielki wstyd, jeśli zameżna kobieta wraca do domu swojego ojca. Nie powinna

szukać opieki poza swoim nowym domem, a gdy tak zrobi, obowiązkiem rodziny jest odesłanie jej z powrotem.

Moja siostra była bita przez męża i przynosiła nam wstyd, bo przychodziła się poskarżyć.

Ma szczęście, że w ogóle ma męża - ja mogę tylko o tym marzyć.

Od momentu, kiedy usłyszałam, jak ten mężczyzna rozmawiał o mnie z ojcem, rozsadzała mnie niecierpliwość i ciekawość. Wiedziałam, że ten chłopak mieszka trzy, cztery kroki od nas. Czasem widziałam go z wysokości tarasu, na którym rozwieszałam bieliznę. Wiedziałam, że ma samochód, ubiera się w garnitur, zawsze nosi walizeczkę. Pewnie pracował w mieście i miał dobry zawód, bo nigdy nie ubierał się jak robotnik, zawsze był nieskazitelnie czysty. Chciałam przyjrzeć się z bliska jego twarzy, ale bałam się, że rodzina mnie na tym przyłapie. Tak, więc, kiedy szłam do stajni po siano dla chorego osła, kroczyłam szybko drogą w nadziei, że zobaczę go z niewielkiej odległości. Ale on za daleko parkował swój samochód. Dzięki pilnym obserwacjom mniej więcej wiedziałam, o której wychodzi z domu do pracy. O siódmej rano udawałam, że składam bieliznę na tarasie albo, że idę po dojrzałe figi lub trzepię dywan, by tylko zobaczyć, chociaż przez minutkę, jak idzie do samochodu. Musiałam to robić szybko, aby nikt nie zauważył.

Wchodziłam po schodach, przechodziłam przez pokoje, by dostać się na taras, energicznie potrząsałam dywanem i spoglądałam poprzez cementowy mur, zerkając w prawą stronę. Jeśli ktoś mnie obserwował, nie zgadł, że wyglądam na ulicę.

Czasami udawało mi się go zobaczyć. Ależ byłam zakochana w tym mężczyźnie i jego samochodzie! Na tarasie wyobrażałam sobie mnóstwo rzeczy: oto zostałam jego żoną i tak jak dzisiaj patrzyłam na oddalający się samochód, dopóki nie straciłam go z oczu, a on potem powraca z pracy przed zachodem słońca. Zdejmuję mu buty i, klęcząc, myję mu stopy, tak jak moja matka robi to ojcu. Przynoszę mu herbatę, przyglądam się, jak pali swoją długą fajkę, siedząc niczym król na progu domu. Jestem kobietą, która ma męża!

A więc będę mogła się malować, wyjść do sklepu, wsiąść do tego wspaniałego samochodu z moim mężem, a nawet pojechać do miasta. Zniosę wszystko co najgorsze dla tej odrobiny wolności - by móc sama przekroczyć próg domu i pójść po chleb do piekarza, jeśli będę miała na to ochotę!

Na pewno nigdy nie pozostanę *charmuta*. Nie będę patrzeć na innych mężczyzn, nadal będę chodzić bardzo szybko, prosto i dumnie, ale już nie będę liczyć własnych kroków i wbijać wzroku w ziemię, a wioska nie będzie mogła powiedzieć o mnie nic złego, bo będę kobietą zamężną.

To właśnie na tym tarasie zaczęła się moja straszna historia. Miałam już więcej lat niż moja najstarsza siostra w dniu swojego ślubu, czepiałam się nadziei lub wpadałam w czarną rozpacz.

Miałam wtedy jakieś osiemnaście lat, może więcej, już sama nie wiem. Moja pamięć uleciała wraz z dymem tego dnia, kiedy spadł na mnie wielki ogień.

PAMIĘĆ

Urodziłam się w maleńkiej wiosce. Powiedziano mi, że leży ona gdzieś na terytorium Jordanii, następnie, że w Transjordanii, Cisjordanii, ale ponieważ nigdy nie chodziłam do szkoły, w ogóle nie znam historii mojego kraju. Powiedziano mi także, że urodziłam się tam w 1958 lub 1957 roku. Tak więc dzisiaj mam czterdzieści pięć lat. Dwadzieścia pięć lat temu mówiłam tylko po arabsku i nigdy nie oddaliłam się od mojej wioski o więcej niż kilka kilometrów od ostatniego domu, wiedziałam, że dalej istnieją miasta, ale ich nie widziałam. Nie wiedziałam, czy Ziemia jest okrągła czy płaska, nie miałam w ogóle żadnego wyobrażenia o świecie! Wiedziałam, że należy nienawidzić Żydów, którzy odebrali nam ziemię. Mój ojciec mówił na nich „świnie”. Nie należało się do nich zbliżać ani ich dotykać, bo istniało ryzyko, że wtedy staniesz się taką świnia jak oni. Musiałam modlić się przynajmniej dwa razy dziennie, recytowałam modlitwy jak moja matka i siostry, ale o istnieniu Koranu dowiedziałam się dopiero wiele lat później, w Europie. Mój jedyny brat, król w naszym domu, chodził do szkoły, ale my, dziewczęta, nie. W moim kraju narodziny dziewczynki są przekleństwem. Żona powinna najpierw urodzić syna, przynajmniej jednego, a jeśli rodzi wyłącznie córki, wszyscy z niej szydzą. Potrzeba najwyżej dwóch lub trzech dziewczyn do prac domowych, do bydła i prac polowych. Jeśli rodzą się następne, należy się ich pozbyć jak najszybciej. Tak właśnie żyłam przez prawie siedemnaście lat, nie wiedząc niczego innego poza tym, że skoro pojawiłam się na świecie jako dziewczyna, jestem czymś gorszym od zwierzęcia.

To było moje pierwsze życie, życie arabskiej kobiety w Cisjordanii. Trwało ono dwadzieścia lat i tam umarło. Umarłam tam fizycznie, społecznie, na zawsze.

Moje drugie życie zaczęło się w Europie, w końcu lat siedemdziesiątych, na pewnym międzynarodowym lotnisku. Byłam ludzkim strzępem, cierpiącym na noszach. Do tego stopnia cuchnęła ode mnie śmierć, że pasażerowie transportującego mnie samolotu zaczęli protestować. I chociaż ułożono mnie za zasłoną, moja obecność była dla nich nie do zniesienia. Powiedziano mi, że będę żyła, ale ja czułam, że wcale nie, czekałam na śmierć. Śmierć była lepsza od cierpień i upokorzenia. Niewiele pozostało z mojego ciała, dlaczego więc chcieli, żebym żyła, gdy ja sama wołałam już nie istnieć ani cieleśnie, ani duchowo?

Jeszcze dzisiaj zdarza mi się o tym myśleć. Wołałam umrzeć, to prawda, niż stawić czoło temu nowemu życiu, które mi tak szlachetnie ofiarowywano. Jednak w moim przypadku przeżyć graniczyło z cudem. Teraz dane mi jest świadczyć o wszystkim w imieniu

tych kobiet, które nie miały takiej szansy, które nadal umierają z jednego tylko powodu: bo są kobietami.

Musiałam nauczyć się francuskiego, słuchając rozmawiających ludzi i zmuszając się do powtarzania słów, których znaczenie tłumaczono mi gestami: „Boli? Nie boli? Jeść? Pić? Spać? Chodzić?” Odpowiadałam znakami „tak” lub „nie”.

Znacznie później nauczyłam się czytać słowa w gazecie, cierpliwie, dzień po dniu. Na początku rozszyfrowywałam drobne ogłoszenia, nekrologi, krótkie zdania z niewielką liczbą słów, które uczyłam się wymawiać fonetycznie. Czasem odnosiłam wrażenie, że jestem zwierzęciem, które ucą sposobu porozumiewania się, podczas gdy ja stawiałam sobie po arabsku pytania, gdzie jestem, w jakim kraju i dlaczego właściwie nie umarłam w mojej rodzinnej wiosce. Wstydziłam się, że nadal jestem przy życiu, jednak nikt o tym nie wiedział. Bałam się tego życia, ale nikt tego nie rozumiał.

Powinam o tym wszystkim powiedzieć, zanim spróbuję poskładać w jakąś całość kawałki mojej pamięci, gdyż chciałabym, aby moje słowa zostały zapisane w formie książki.

Moja pamięć jest pełna pustych plam. Pierwsza część mego życia jawi mi się w formie obrazów, dziwnych i gwałtownych scen, zupełnie jak w telewizyjnym filmie. Zdarza mi się, że sama nie mogę w nie uwierzyć, zwłaszcza że mam ogromny kłopot z ich chronologią. Czy jest na przykład możliwe, by zapomnieć imienia jednej ze swoich siostr? Wieku brata w dniu jego ślubu? A przecież nie zapomniałam kóz, owiec, krów, pieca do pieczenia chleba, prania w ogrodzie, zbierania kalafiorów, cukinii, pomidorów i fig... stajni i kuchni... worków zboża i węży. Tarasu, z którego śledziłam ukochanego. Łanu zboża, gdzie dopuściłam się „grzechu”.

Tak więc niewiele pamiętam z wczesnego dzieciństwa. Czasem uderza mnie jakiś kolor czy przedmiot, wtedy zjawia się obraz, jakaś osoba, krzyki, przeplatające się twarze. Często, kiedy ktoś zadaje mi pytanie, w mojej głowie powstaje pustka. Zdesperowana, szukam odpowiedzi, ale ona nie nadchodzi. Albo nagle pojawia się jakiś inny obraz i nie wiem, czego on dotyczy. Jednak te obrazy już na stałe zagnieździły się w mojej głowie i nigdy ich nie zapomnę. Nie można przecież zapomnieć własnej śmierci.

Nazywam się Souad, jestem dzieckiem Cisjordanii i wraz z siostrą zajmuję się baranami i kozami, bo mój ojciec ma spore stado, pracuję ciężiej od osła.

Musiałam zacząć pracować, gdy miałam osiem, dziewięć lat, a krew menstruacyjną ujrzałam w wieku lat dziesięciu. U nas mówi się, że dziewczyna jest „dojrzała”, kiedy już to się jej przytrafi. Wstydziłam się tej krwi, bo należało ją ukryć, nawet przed oczami mojej matki, uprać bufiaste spodnie (sarual) w ukryciu i szybko wysuszyć na słońcu, aby mężczyźni i sąsiedzi nie mogli ich zobaczyć. Miałam tylko dwie pary takich spodni. Pamiętam papier

służący do higieny w tych złych dniach, podczas których kobieta jest traktowana jak zadżumiona. Ukradkiem chowałam dowód mojej nieczystości w śmieciach. Kiedy bolał mnie brzuch, matka gotowała liście szałwi i kazała to pić. Ścisnęła moją głowę dużym szalem i nazajutrz już nic mnie nie bolało. To jedyne lekarstwo, jakie pamiętam i nadal je stosuję, bo jest bardzo skuteczne.

Wczesnym rankiem chodzę do stajni, wkładam palce do ust i gwizdę, by barany zebrały się wokół mnie, i wychodzę z moją siostrą Kamat, starszą ode mnie o jakiś rok. Dziewczyny nie powinny wychodzić same czy w towarzystwie o wiele młodszej siostry. Starsza jest rodzajem gwarancji dla tej młodszej. Moja siostra Kamat jest miła, okrągła, trochę za gruba, podczas gdy ja jestem mała i chuda. Było nam ze sobą dobrze.

Wychodziłyśmy we dwie z baranami i kozami na łąki, położone o jakieś piętnaście minut marszu od wioski, szłyśmy szybko, ze spuszczonej głowami, aż do ostatniego domu. Kiedy już znalazłyśmy się na łące, byłyśmy wolne, mogłyśmy gadać głupstwa, a nawet trochę się pośmiać. Nie pamiętam, żebyśmy prowadziły ze sobą długie rozmowy. Mówiłyśmy głównie o jedzeniu sera, radości, jakiej dostarczał arbuz, pilnowaniu baranów, a zwłaszcza kóz zdolnych pożreć wszystkie liście figowca w ciągu kilku zaledwie minut. Kiedy barany gromadziły się w kółko, szykując się do snu, w cieniu zasypiałyśmy także my, ryzykując, że jakieś zwierzę zabłąka się na sąsiednie pole i po powrocie poniesiemy tego konsekwencje. Jeśli zwierzę splądrowało ogród warzywny, jeśli choć kilka minut spóźniłyśmy się do stajni, czekało nas bicie pasem.

Dla mnie moja wioska jest ładna i zielona. Mamy tu dużo fig, winogron, innych owoców, cytryn i mnóstwo oliwnych drzew. Mój ojciec to właściciel połowy uprawianych działek we wsi, należą tylko do niego... Nie jest bardzo bogaty, ale posiada dobra. Dom mamy duży, kamienny, otoczony murem z dużą, szarą, żelazną bramą. Ta brama to symbol naszego zamknięcia. Kiedy znajdziemy się w środku, zamyka się za nami i nie pozwala nam wyjść. Można więc przekroczyć tę bramę, przychodząc z zewnątrz, ale wyjść już nie. Czy brama ma klucz? Jakiś system automatyczny? Pamiętam, że moja matka i ojciec wychodzili, ale my nie. Za to mój brat - on jest wolny. Wolny jak wiatr: chodzi do kina, wychodzi i wchodzi przez tę bramę, robi, co chce. Często jej się przyglądałam, tej przeklętej bramie, i mówiłam sobie: „Nigdy nie będę mogła stąd wyjść, nigdy...”

Nie znam dobrze mojej wioski, bo nie mam prawa wychodzić. Aby się skoncentrować, zamykam oczy, bardzo się staram opisać to, co widziałam. Przypominam sobie dom moich rodziców, potem inny, który nazywam domem bogaczy, trochę dalej, po tej samej stronie. Naprzeciwko - dom mojego ukochanego. Wystarczy przejść przez drogę i już

się tam jest, widzę go z tarasu. Widzę także kilka rozproszonych domów, ale nie wiem, ile ich jest, w każdym razie niewiele. Są otoczone murkami lub żelaznymi siatkami, ludzie mają tam warzywne ogrody, jak my. Nigdy nie zwiedziłam całej wioski. Wychodziłam tylko po to, by pójść na targ z ojcem lub matką albo z siostrą i baranami na łąkę, to wszystko.

Aż do siedemnastego czy osiemnastego roku życia nie widziałam nic innego. Nie wyszłam ani razu do miejscowego sklepu, blisko domu, ale przejeżdżając furgonetką mojego ojca, kiedy jechałam z nim na targ, widziałam właściciela stojącego przed drzwiami, palącego papierosy. Do jego sklepu prowadziły dwa stopnie: po prawej stronie ludzie kupowali papierosy, gazety i napoje, wyłącznie mężczyźni; po lewej były warzywa i owoce.

Jest także inny dom po tej samej stronie drogi, gdzie mieszka zamężna kobieta z czworgiem dzieci, ale ona ma prawo wychodzić. Może wejść do sklepu. Widzę ją stojącą na schodach po stronie warzyw, z przezroczystymi, plastikowymi siatkami.

Dom był otoczony dużym terenem. Sadziliśmy tam cukinie, dynie, kalafiory i pomidory, mnóstwo warzyw. Nasz ogród przylegał do ogrodu sąsiadów, oddzielony jedynie murkiem, który można było przekroczyć, ale żadna z nas tego nie robiła. Zamknięcie było czymś normalnym. Dziewczynie stale przebywającej w domu nie przychodziło do głowy, by przekroczyć tę symboliczną barierę. Żeby dokąd pójść? Samotna dziewczyna na drodze we wsi zostałaby napiętnowana, a jej reputacja i honor rodziny zupełnie zniszczone.

Robiłam pranie wewnątrz tego ogrodu. W kącie była studnia, grzałam wodę w waniecie na ognisku. Brałam wiązkę chrustu z nagromadzonego zapasu, sama łamałam gałęzie na kolanie, a potem trochę czekałam, aż woda się zagrzeje... dobrą chwilę. Czekając, wykonywałam inne prace: zamiatałam, myłam podłogę, zajmowałam się warzywami w ogrodzie. Potem prałam wszystko w ręku i rozwieszałam uprane rzeczy na tarasie.

Dom był nowoczesny, bardzo wygodny, ale nie mieliśmy wewnątrz ciepłej wody do kąpieli i do kuchni. Trzeba było grzać ją na zewnątrz i przynosić. Później mój ojciec kazał założyć instalację do ciepłej wody i sprowadził wannę z prysznicem. Wszystkie córki używały tej samej wody do mycia, tylko mój brat miał prawo do własnej wody, i z pewnością mój ojciec.

Nocą spałam z siostrami na podłodze, na baranich skórkach. Kiedy było bardzo ciepło, spało się na tarasach, pod światłem księżyca. Dziewczyny spały obok siebie w jednym kącie. Rodzice i mój brat - w drugim. Dzień pracy zaczynał się wcześnie. Około czwartej rano, o wschodzie słońca, a czasem nawet wcześniej, wstawali moi rodzice. W okresie żniw braliśmy ze sobą jedzenie, pracowaliśmy w polu wszyscy, ojciec, matka, moje siostry i ja. Podczas sezonu na figi także wychodziło się z domu bardzo wcześnie. Trzeba było zbierać je

pojedynczo, jedną po drugiej, żadnej nie przeoczyć, wkładać je do skrzynek, które ojciec zawoził potem na targ. To było dobre pół godziny marszu razem z osłem, dochodziło się do niedużego miasteczka, naprawdę malutkiego, jego nazwa wyleciała mi z głowy, jeśli w ogóle kiedykolwiek ją znałam. Połowa targowiska, przy wejściu do miasteczka, była zarezerwowana dla produktów ojca, zajmowali się nimi kupcy. Aby kupić ubrania, trzeba było pojechać samochodem do większego miasteczka. Matka jeździła tam z moim ojcem. Odbywało się to w ten sposób: kupowała wraz z ojcem i dawała sukienkę córce. Czy się podobało, czy nie, trzeba było to nosić. Ani moje siostry, ani ja, ani nawet matka nie miałyśmy tu nic do powiedzenia. Było albo to, albo nic.

Miałyśmy więc długie sukienki z krótkimi rękawami z czegoś podobnego do bawełny, szare, czasem białe, bardzo rzadko czarne, materiał był bardzo ciepły i drapał w skórę. Sukienka zapięta była starannie, wysoko pod szyję. Na to trzeba było włożyć, zależnie od pory roku, koszulę lub coś w rodzaju kamizelki, obowiązkowo z długimi rękawami. Czasami było nam tak gorąco, że miałyśmy wrażenie, iż się udusimy, ale rękawy musiały być długie. Pokazanie kawałka ramienia czy nogi, a jeszcze gorzej - odsłonięcie kawałka dekoltu, przynosiło wielki wstyd. Przez cały czas chodziłyśmy boso, żadna kobieta nie nosiła butów, czasem miała je jakaś mężatka.

Pod tą długą, zapiętą pod szyję sukienką nosiłam spodnie, szare albo białe, a pod spodem jeszcze majtki, wielkie niczym szorty, szczelnie zakrywające brzuch. Wszystkie moje siostry były ubrane podobnie.

Matka często ubierała się na czarno. Ojciec nosił białe, szerokie spodnie, długą koszulę, a na głowie czerwono - biały szal Palestyńczyków.

Mój ojciec! Widzę go, jak siedzi przed domem, na ziemi pod drzewem, a obok leży jego laska. Jest nieduży, ma bardzo białą cerę z mnóstwem piegów, okrągłą głowę i niebieskie, bardzo złe oczy. Pewnego dnia złamał sobie nogę, spadając z konia, i wszystkie byłyśmy bardzo z tego zadowolone, bo już nie mógł za nami biegać i bić nas dużym pasem. Gdyby umarł, byłybyśmy jeszcze szczęśliwsze.

Dobrze go widzę, tego ojca. Jego z pewnością nie mogłabym nigdy zapomnieć, zupełnie jakbym nosiła w głowie jego fotografię. Siedzi przed domem jak król przed swoim pałacem, z tym swoim czerwono - białym szalem na głowie, który przykrywa jego rudą i łysą czaszkę, nosi ze sobą pasek i laskę, która leży na złożonej nodze. Dobrze go widzę, jest tam, mały i bardzo zły, podnosi pasek... i krzyczy: „Dlaczego barany wróciły same?!”

Chwyta mnie za włosy i ciągnie po ziemi do kuchni. Klęczę, on bije, ciągnie mój warkocz, jakby chciał go wyrwać, i obcina go wielkimi nożycami do strzyżenia owiec. Już nie

mam włosów. Mogę płakać, krzyżeć czy błagać, dostanę za to najwyżej kilka dodatkowych kopniaków. To przecież moja wina.

Zasnęłam z moją siostrą, bo było bardzo gorąco, i pozwoliłam baranom odejść. Ojciec tak mocno wali nas swoją laską, że czasami w ogóle nie mogę zasnąć ani się ułożyć na boku czy na plecach, tak mnie wszystko boli. Czy pasem, czy laską, byliśmy bite codziennie. Dzień bez bicia - to nie było normalne.

Tak było w całej wiosce, to było prawo mężczyzn. Córki i żony były z pewnością bite codziennie także w innych domach. Słyszałyśmy ich krzyki. Bicie kobiet było czymś normalnym, tak jak golenie głowy czy przywiązywanie do barierek w stajni. Nie było innego wzoru życia.

Mój ojciec... To król, człowiek wszechmocny, ten co posiada, decyduje, bije i torturuje nas wszystkie. Pali spokojnie swoją fajkę przed domem, w którym zamknięte są jego kobiety i które traktuje gorzej niż bydło. Mężczyzna bierze kobietę, żeby mieć synów, by służyła mu za niewolnicę wraz z przyszłymi córkami, jeśli będzie miała nieszczęście je urodzić.

Patrząc na mojego brata, uwielbianego przez całą rodzinę, myślałam często: „Czego on ma więcej? Przecież wyszedł z tego samego brzucha co ja...” I nie znajdowałam odpowiedzi. Po prostu tak było. Musiałyśmy mu usługiwać tak jak mojemu ojcu, płaszcząc się ze spuszczoną głową.

Widzę tacę z herbatą. Nawet tę tacę z herbatą należy przynieść mężczyznom, pełzając, licząc kroki, ze zgiętym karkiem i w kompletnej ciszy. Nie wolno mówić. Wolno tylko odpowiadać na pytania. W południe jemy słodzony ryż, warzywa z kurczakiem lub baraniną.

I zawsze jest chleb. Jedzenie jest zawsze, nigdy go w naszej rodzinie nie brakuje.

Było też dużo owoców. Po winogrona wystarczyło pójść po prostu na taras. Były pomarańcze, banany i przede wszystkim czarne i zielone figi. A kiedy się po nie chodziło wczesnym rankiem... to wspomnienie, którego nigdy nie zapomnę. W chłodzie nocy otwierały się troszeczkę i ściekał z nich nektar smaczny niczym miód, najczystszy na świecie smakołyk.

Przy baranach praca była bardzo ciężka. Wyprowadzać je, zaprowadzić na pole, pilnować, strzyc wełnę, którą potem mój ojciec zawoził na targ. Brałam barana za nogi, przywiązywałam i cięłam wełnę wielkimi nożycami. Były za duże na moje ręce i po chwili wszystko mnie bolało.

Doiłam również owieczki, siedząc na ziemi. Własnymi udami otaczałam jak kleszczami ich nogi i ciągnęłam mleko, z którego robiliśmy sery. Pozostawiało się także mleko do wystudzenia i piło je takie naturalne, tłuste i pożywne.

W domu mojego ojca ogród dawał prawie wszystko, co potrzebne do jedzenia. I robiliśmy wszystko sami. Ojciec kupował tylko cukier, sól i herbatę.

Rano przygotowywałam herbatę dla dziewcząt, brałam trochę oliwy z oliwek na talerzyk, obok kładłam oliwki i gotowałam wodę w kociołku na żarze w piecu do wypiekania chleba. Sucha zielona herbata znajdowała się w torbie z beżowego materiału, w kącie kuchni, na podłodze. Zanurzałam rękę w tej torbie, biorąc jej garść, i wrzucałam do czajnika, dodawałam cukru i szłam do ogrodu po kociołek z wrzątkiem. A że był gorący i bardzo ciężki, z trudem niosłam go w dłoniach. Z wygiętymi plecami, aby się nie poparzyć, wracałam do kuchni i wlewałam wodę do czajnika, powolutku, na herbatę i cukier. Cukier był drogocenny. Wiem, że gdybym upuściła kilka ziarenek na podłogę, dostałabym lanie. Więc bardzo uważałam. Jeśli byłam niezręczna, nie mogłam go zamieść, ale musiałam zebrać i wrzucić do czajnika. Następnie moje siostry przychodziły jeść, ale ojciec, matka i brat nigdy nie jedli razem z nami. Na obrazie, jaki rysuje moja pamięć, kiedy pijemy poranną herbatę, widzę zawsze tylko siostry. Usiłuję sobie przypomnieć, ile wtedy mogłam mieć lat, ale to trudne. Najstarsza, Noura, nie była jeszcze mężatką?

Nie jestem w stanie poukładać swoich wspomnień w jakiejś chronologii wiekowej, sądzę, że moja pamięć prawidłowo opisuje jakieś dwa, trzy lata, pamiętam też nieco czasy, kiedy moja siostra Noura wychodziła za mąż. Myślę, że miałam wtedy około piętnastu lat.

Tak więc w naszym domu jest nadal siostra Kainat, która jest starsza ode mnie o rok i jeszcze nie wyszła za mąż, i siostra młodsza ode mnie, której imienia nie mogę sobie przypomnieć. Powinnam ją jakoś nazwać, by móc o niej opowiedzieć, dam więc jej na imię Hanan, ale niech mi wybaczy, to z pewnością nie jest jej prawdziwe imię. Wiem, że zajmowała się dwiema przyrodnimi siostrami, które mój ojciec zabrał do domu, kiedy opuścił ich matkę, a swoją drugą żonę, Aishę. Widziałam tę kobietę i nie czułam do niej niechęci. To, że ojciec wziął ją sobie, było rzeczą normalną. Zawsze chciał mieć synów, ale z Aishą też mu nie wyszło, urodziła mu tylko córki, jeszcze dwie córki! Wtedy ją zostawił i przyprowadził owe dwie siostrzyczki do naszego domu. To też było normalne. Wszystko było normalne w tym życiu, tak jak uderzenia laską i cała reszta. Nie wyobrażałam sobie, że może być inaczej. Myślę, że w mojej głowie nie pojawiły się jakiegokolwiek marzenia ani nie zaświtała żadna konkretna myśl. Nie miałyśmy żadnej zabawki, żadnej gry, jedyne, co znałyśmy, to posłuszeństwo i poddanie.

Tak więc obie dziewczynki pozostały razem z nami. Hanan przebywała w domu, by się nimi zajmować, tego jestem absolutnie pewna. Ale ich imiona... one także, niestety, wyleciały całkowicie z mojej pamięci. Nazywałam je zawsze „małymi siostrami”... W moich pierwszych wspomnieniach mają one około pięciu i sześciu lat, i jeszcze nie pracują. Są pod opieką Hanan, która bardzo rzadko wychodzi z domu, chyba że w wyjątkowych wypadkach, na przykład w porze zbierania jarzyn.

W mojej rodzinie dzieci rodziły się mniej więcej co roku. Matka wyszła za mąż w wieku czternastu lat, ojciec był od niej znacznie starszy. Urodziła wiele dzieci. Razem chyba ze czternaścioro. Pozostało pięcioro żywych. Bardzo długo nie mogłam zrozumieć, co oznacza te czternaścioro dzieci... Pewnego dnia ojciec mojej matki mówił o tym, kiedy podawałam herbatę. Jeszcze do tej pory słyszę w uszach wypowiedziane przez niego zdanie: „To dobrze, że wyszłaś młodo za mąż, mogłaś urodzić czternaścioro dzieci... no i mieć syna, to bardzo dobrze!”

Nie mogłam chodzić do szkoły, ale umiałam liczyć barany. Mogłam więc policzyć na palcach, że było nas pięcioro dzieci, które wyszły z brzucha mojej matki: Noura, Kainat, ja - Souad, Assad i Hanan. Gdzie były pozostałe? Matka nigdy nie mówiła, że umarły, ale to było możliwe, bo powtarzała często: „Mam czternaścioro dzieci, z czego siedmioro żyje”. Zakładając, że doliczała do nas przyrodnie siostry, ponieważ nigdy nie mówiliśmy „przyrodnie siostry”, ale po prostu „siostry”. Więc rzeczywiście było nas siedmioro... Brakowało zatem siedmiorga pozostałych. A jeśli nie liczyła przyrodnych sióstr, to znaczy, że brakowało dziewięciorga?

Pewnego dnia zobaczyłam przypadkiem, dlaczego było nas w domu tylko siedmioro czy pięcioro...

Nie umiałabym powiedzieć, ile wtedy miałam lat, ale nie byłam jeszcze dojrzała, tak więc nie miałam jeszcze dziesięciu. Starsza ode mnie Noura była razem ze mną. Zapomniałam o bardzo wielu rzeczach, ale to, co zobaczyłam wtedy na własne oczy, sterroryzowana, pozostanie w mojej pamięci do końca życia, bo to była zbrodnia.

Widzę matkę, leżącą na podłodze, na baraniej skórze. Rodzi i jest przy niej nasza ciotka Salina, siedzi obok na poduszce. Słyszę krzyki mojej matki i noworodka, matka w największym pośpiechu bierze baranią skórę i dusi maleństwo. Klęczy na kolanach, widzę, jak noworodek rusza się pod przykryciem, a potem jest koniec. Nie wiem, co dzieje się potem, dziecka już nie ma i to wszystko, ogarnia mnie przerażający strach.

To musiała być dziewczynka, skoro matka ją udusiła zaraz po urodzeniu. Widziałam, jak robiła to po raz pierwszy, potem po raz drugi, nie jestem pewna, czy widziałam po raz

trzeci, ale już wiedziałam. Słyszałam także, jak moja najstarsza siostra Noura mówi do matki: „Jeśli będę rodzić dziewczynki, zrobię jak ty...”

A więc w ten sposób matka pozbyła się pięciu czy siedmiu córek, które urodziła oprócz nas, a z pewnością po Hanan, ostatniej, która została przy życiu. Było na to przyzwolenie, było to czymś normalnym i nikomu nie powinno przysparzać problemu. Nawet mnie, chociaż zetknęłam się z tym po raz pierwszy i tak bardzo się bałam.

Te małe dziewczynki, które zabijała moja matka, były w jakiś sposób częścią mnie samej. Zaczęłam płakać w ukryciu za każdym razem, gdy mój ojciec szedł zabić barana czy kurczaka, bo drżałam o własne życie. Śmierć zwierzęcia, czy też noworodka, tak prosta i zwyczajna dla moich rodziców, wywołała przerażenie, że ja także zniknę zupełnie jak one, równie prosto i szybko. Mówiłam sobie: „Pewnego dnia przyjdzie kolej na mnie albo na moją siostrę, mogą nas zabić, kiedy zechcą. Duża czy mała, nie ma żadnej różnicy. Skoro dają nam życie, mają też prawo nam je odebrać”.

Jeśli mieszka się z rodzicami w takiej jak moja wiosce, zawsze towarzyszy temu lęk przed śmiercią. Bałam się wspiąć na drabinę, kiedy mój ojciec stał pod nią na dole. Bałam się piły, którą piłował drewno, bałam się studni, kiedy szłam po wodę. Bałam się, kiedy ojciec nadzorował powrót baranów i był razem z nami w stajni. Bałam się trzaskania drzwi w nocy, bałam się uduszenia baranią skórą, która służyła mi za łóżko.

Czasami, gdy wracałyśmy z pola, Kainat i ja, trochę o tym rozmawiałyśmy:

- A jeśli po naszym powrocie do domu wszyscy będą nieżywi...? Jeśli ojciec zabił matkę? Wystarczy rzucić kamieniem! Co wtedy zrobimy?

- Ja się modłę za każdym razem, kiedy idę po wodę do studni, bo ona jest bardzo głęboka. Mówię sobie, że gdyby ktoś mnie popchnął do środka, nikt by się nie domyślił, co się ze mną stało! Możesz sobie umierać tam na dole, nikt po ciebie nie przyjdzie.

Ta studnia była dla mnie prawdziwym horrorem. A także dla mojej matki, dobrze to czułam. Bałam się również wąwozów, gdy zbierałam w grupę kozy i barany. Rozglądałam się wokół siebie, myśląc, że ojciec mógł się ukryć gdzieś w pobliżu i przyjdzie zepchnąć mnie w pustkę. Dla niego byłoby to proste, gdybym zleciała na dno wąwozu, na pewno bym nie przeżyła. Można było nawet zrzucić na mnie kilka kamieni, znalazłabym się już w ziemi i tam pozostała.

Możliwość śmierci naszej matki zaprzętała nam umysł bardziej niż zniknięcie którejs z siostr. Siostra... przecież są jeszcze inne...Matka była często bita, tak jak my. Czasami próbowała nas bronić, kiedy bił nas zbyt mocno, więc zabierał się za nią, przewracał na ziemię i ciągnął za włosy. Nasze codzienne życie było naznaczone więc możliwością śmierci

każdego dnia. Mogła przyjść z byle powodu, z zaskoczenia, po prostu dlatego, że ojciec tak zdecydował. Tak jak matka decydowała o uduszeniu swoich nowo narodzonych córek.

Była w ciąży, a potem już nie była, nikt nie stawiał zbędnych pytań. Nie miałyśmy kontaktu z innymi dziewczętami ze wsi. Mówiłyśmy sobie tylko dzień dobry i do widzenia. Poza ślubami nigdy nie przebywałyśmy razem. A i wtedy rozmowy były banalne. Rozmawiałyśmy o jedzeniu, o pannie młodej i innych dziewczynach, czy są brzydkie, czy ładne... o jakiejś kobiecie, która miała szczęście, bo była umalowana.

- Tylko na nią popatrz, ma wyskubane brwi...

- Ma ładnie obcięte włosy.

- Och, a tamta ma na nogach buty!

To była najbogatsza dziewczyna we wsi, nosiła haftowane papucie. My chodziłyśmy boso po polach, w stopy wchodziły nam kolce i trzeba było siadać na ziemi, żeby je stamtąd wyjąć. Matka też nie miała butów, moja siostra Noura wychodziła za mąż boso. Tak brzmiały najważniejsze zdania naszych rozmów podczas ślubów, brałam udział w dwóch czy trzech takich ceremoniach.

Czymś niewyobrażalnym było poskarżyć się na to, że jest się bitym, bo stanowiło to coś naturalnego. Nie rozmawiało się o noworodku, żywym czy martwym, chyba że kobieta urodziła syna. Jeśli syn pozostawał przy życiu, była to chwała dla niej i dla całej rodziny. Jeśli umarł, opłakiwano go - co za nieszczęście dla niej i dla rodziny! Liczą się samce, nie samice.

Tak więc zupełnie nie wiem, co działo się z dziewczynkami uduszonymi przez moją matkę. Czy gdzieś je grzebano? A może dawano psom na pożarcie?... Matka ubierała się na czarno, ojciec także. Każde narodziny dziewczynki były czymś w rodzaju pogrzebu w rodzinie. Jeśli kobieta rodziła same dziewczynki, zawsze była to jej wina. Tak myślał mój ojciec, a z nim cała wioska.

W mojej wiosce mężczyźni, stając przed wyborem między dziewczyną a krową, wybierali krowę. Mój ojciec powtarzał nam nieznużenie, ile tak naprawdę jesteśmy warte: „Krowa daje mleko i daje cielaki. Co się robi z mlekiem i cielakami? Sprzedaje sieje. Do domu przynosi się pieniądze, co oznacza, że krowa świadczy rodzinie usługi. A dziewczyna? Jakie usługi czyni ona rodzinie? Żadne. A barany, co one przynoszą do domu? Wełnę. Wełnę się sprzedaje i przynosi do domu pieniądze. Owca rośnie, rodzi inne jagnięta, daje mleko, robi się sery, sprzedaje sieje, a pieniądze przynosi do domu. Krowa czy baran jest więcej wart niż córka”.

A my, córki, byłyśmy o słuszności tego przekonane. Zresztą krowa, owca czy koza były o wiele lepiej traktowane niż my. Krowa czy owca nigdy nie były bite!

Byliśmy także przekonane, że córka naprawdę jest problemem dla swojego ojca, bo on zawsze się boi, czy wyda ją za męża. Kiedy jest już mężatką, to nieszczęście i wstyd, gdy ucieka od męża, który ją maltretuje, gdy ośmiela się wrócić do domu rodziców. A kiedy nie jest zameżna, ojciec boi się, że zostanie starą panną, bo wówczas cała wioska będzie o tym gadać i dla rodziny to prawdziwy dramat. Kiedy stara panna kroczy ulicą z ojcem czy matką, wszyscy się jej przyglądają i szydzą. Jeśli skończyła już dwadzieścia lat i nadal mieszka z rodzicami, to nie jest to normalne. Każdy uznaje reguły zamążpójścia najstarszej, a potem kolejnych, według starszeństwa. Ale skończona dwudziestka... nikt już niczego nie uznaje. Nie wiem, jak to się odbywało w innych miastach mojego kraju, ale w mojej wiosce było właśnie tak.

Kiedy zniknęłam z wioski, moja matka musiała mieć mniej niż czterdzieści lat. Urodziła dwanaścioro lub czternaścioro dzieci. Pozostało jej pięścioro czy siedmioro. Czy udusiła pozostałe? To nie miało znaczenia. To było po prostu „normalne”.

HANAN?

Był strach przed śmiercią i żelazną bramą, zamykającą nas i ograniczającą naszą egzystencję - egzystencję córek pozostawionych przy życiu, istot podległych. Mój brat Assad chodził do szkoły z tornistrem. Mój brat Assad jeździł konno, chodził na spacer. Mój brat Assad nie jadał z nami posiłków. Wzrastał, jak musi wzrastać mężczyzna, wolny i dumny, obsługiwany niczym księżę przez przebywające w domu dziewczyny.

Uwielbiałam go jak księcia. Grzałam mu wodę na kąpiel, kiedy był jeszcze mały, myłam mu głowę, opiekowałam się nim jak bezcennym skarbem. Nie wiedziałam nic o jego życiu poza domem, nie wiedziałam, czego uczy się w tej szkole, co widział i co robił w mieście. Czekaliśmy, aż osiągnie wiek małżeński: ślub tak jak narodziny syna - to jedna z niewielu rzeczy, które nabierają znaczenia w rodzinie.

Assad był ładny. On i ja byliśmy sobie bliscy, kiedy był dzieckiem, na tyle, na ile można być sobie bliskim w mojej rodzinie. Był między nami tylko rok różnicy, to, że urodziłam się bezpośrednio przed nim, dawało mi przez jakiś czas szansę bycia blisko niego. Nie pamiętam, żebym się z nim bawiła, jak bawią się dzieci w tym wieku w Europie. W wieku czternastu czy piętnastu lat był już mężczyzną i przestałam mieć z nim kontakt. Sądzę, że ożenił się bardzo wcześnie, prawdopodobnie miał około siedemnastu lat. Stał się gwałtowny. Mój ojciec go nienawidził. Nie wiem dlaczego... Być może był zbyt do niego podobny. Obawiał się, że dorosły syn pozbawi go władzy. Zupełnie nie wiem, skąd wzięła się ta złość między nimi, ale pewnego dnia widziałam, jak mój ojciec wziął duży kosz, wysypał z niego zawartość, do środka włożył kamienie, wszedł na taras i stamtąd rzucał nimi w głowę Assada, jakby chciał go zabić.

Po ślubie Assad ze swoją żoną zajął część domu. Łączące z resztą domu drzwi zasunął ciężką szafą, aby ojciec nie mógł do niego wejść. Dość szybko zrozumiałam, że okrucieństwo mężczyzny w mojej wiosce zrodziło się w bardzo dawnych czasach. Ojciec przekazuje je swemu synowi, syn przekazuje je swojemu i tak bez końca.

Nie widziałam mojej rodziny od dwudziestu pięciu lat, ale gdybym jakimś cudem spotkała mojego brata, chciałabym mu zadać tylko jedno pytanie:

- Gdzie jest zaginiona siostra, którą nazwałam Hanan?

Hanan... Widzę ją ciemnowłosą. Ładna dziewczyna, ładniejsza ode mnie, miała bardzo gęste włosy i była bardziej dojrzała fizycznie. Pamiętam, że Kainat była spokojna i miła, trochę za gruba, a Hanan miała zupełnie inny charakter, trochę brutalny, mniej

poddawała się niż my. Bardzo szerokie brwi łączyły się jej nad oczami. Nie była gruba, ale mogła stać się dość krzepka, nieco okrągła. To nie była szczupła dziewczyna jak ja. Kiedy szła z nami zbierać oliwki, pracowała powoli, wolno się poruszała. W rodzinie nie było takiego zwyczaju, chodziło się szybko, pracowało szybko, polecenia wykonywało się natychmiast, gdy chodziło o wyprowadzanie i przyprowadzanie zwierząt. Hanan nie była dostatecznie aktywna, raczej marzycielska i nie zawsze uważnie słuchała, co się do niej mówi. Kiedy na przykład zbieraliśmy oliwki, z pośpiechu czułam ból w czubkach palców po napełnieniu miski, podczas gdy ona zaledwie przykryła dno swojej. Więc zawracałam, żeby jej pomóc. Jeśli pozostawała na szarym końcu, mogła mieć nieprzyjemności ze strony ojca. Widzę nas w szeregu wśród rzędu drzew oliwnych. Szliśmy do przodu, pochyleni, w jednej linii, i zbieraliśmy oliwki w jednym rytmie. Ruchy musiały być szybkie. Kiedy dłoń się wypełniała, wrzucało się oliwki do miski i tak posuwaliśmy się naprzód, aż z miski zaczynało się wysypywać, wtedy przekładało się je do dużych płóciennych toreb. Za każdym razem, gdy wracałam na moje miejsce, widziałam Hanan zawsze w tyle, powolną w ruchach, poruszającą się jakby w zwolnionym tempie. Naprawdę była inna niż wszyscy, nie pamiętam, żebym z nią rozmawiała czy jakoś szczególnie się nią zajmowała, oprócz udzielania jej pomocy przy zbieraniu oliwek, kiedy była taka potrzeba. Albo kiedy zaplatałam jej gęste włosy w warkocz, tak jak ona zaplatała moje. Nie przypominam jej sobie z nami w stajni, dojącej krowy, strzygącej owce... widzę ją raczej w kuchni, jak pomaga matce. Może właśnie dlatego wyleciała mi z pamięci. Jednak liczyłam i przeliczałam, starając się uszeregować nas wszystkich według kolejności urodzin: Noura, Kainat, Souad, Assad i...? Moja czwarta siostra przestała istnieć, zapomniałam nawet jej imię. Zdarzyło mi się czasem nie pamiętać, kto się przed kim urodził. Byłam pewna, jeśli chodzi o Nourę, Assada, ale jeszcze teraz myli mi się Kainat i ja sama. Co się tyczy tej, którą nazywam Hanan, najgorsze dla mnie jest to, że nie zadawałam sobie pytań na temat jej zniknięcia i to od wielu lat.

Ja ją „zapomniałam” do samej głębi, tak jakby żelazna brama zamknęła się za tą siostrą z tej samej krwi, jakby uczyniła ją niewidzialną w mojej pamięci i tak już dobrze zamglonej.

Jednak jakiś czas temu poraziło mnie pewne wspomnienie, w głowie powstała mi potworna wizja. Na zebraniu kobiet ktoś pokazał mi zdjęcie młodej, nieżywej dziewczyny, leżąca na ziemi, uduszona czarnym sznurem, przewodem telefonicznym. Odniosłam wrażenie, że widziałam już kiedyś coś podobnego. Ta fotografia sprawiła, że poczułam się źle, nie tylko z powodu tej biednej, uduszonej dziewczyny, ale także dlatego, że zaczęłam szukać we mgle mojej pamięci, chciałam w niej „zobaczyć” coś, co z pewnością dotyczyło mnie osobiście. I

nazajutrz, niespodziewanie, moja pamięć nagle się obudziła. Znalazłam! Widziałam to! Już wiedziałam, kiedy moja siostra Hanan zniknęła!

Od tamtej pory żyję z nowym koszmarem w głowie, czuję się chora. Każde dokładne wspomnienie, każda scena z mojej dawnej egzystencji powraca do mnie przypadkiem, brutalnie i przyprawia mnie o chorobę. Chciałabym zapomnieć o tych wszystkich przerażających rzeczach, do których, nieświadomie, powracałam przez ostatnie dwadzieścia lat. Lecz aby dać świadectwo o życiu dziecka i młodej kobiety w moim kraju, jestem zmuszona zanurzyć się we własną pamięć jak w tę studnię, której tak się kiedyś bałam. Wszystkie te kawałki mojej przeszłości, powracające na powierzchnię, wydają mi się teraz tak przerażające, że niemal nie mogę w nie uwierzyć. Zdarza się, że zadaję sama sobie na głos pytanie: „Czyja rzeczywiście przeżyłam to wszystko?”

Istnieję, przeżyłam. Inne kobiety przeżyły to samo i nadal to przeżywają, tu, na naszym globie. Chciałabym zapomnieć, ale jest nas tak mało, tych, które przeżyły i mogą mówić, że jest moim obowiązkiem dać temu świadectwo i w pamięci jeszcze raz przeżyć te koszmary.

Jestem w domu i słyszę krzyki, potem widzę moją siostrę siedzącą na podłodze, machającą rękami i nogami, i mojego brata Assada pochylonego nad nią z rozpostartymi ramionami. Właśnie dusi ją sznurem od telefonu. Pamiętam tę scenę, jakbym widziała ją wczoraj. Jestem do tego stopnia przykuta do ściany, że chciałabym w nią wejść, zniknąć. Jestem z dwiema małymi siostrami, stoję przed nimi, żeby je chronić. Przytrzymuję siostry za włosy, żeby się nie ruszały. Assad musiał mnie zobaczyć lub usłyszał moje kroki, bo krzyczy: „Rouhi! Rouhi!” (Wynoś się! Wynoś się!).

Biegnę w kierunku cementowych schodów, które wiodą do sypialni, ciągnąc za sobą dwie siostry. Jedna z małych jest tak przerażona, że potyka się i kaleczy w nogę, ale zmuszam ją do biegu. Zamykam nas w pokoju i pocieszam malutką. Próbuję opatrzeć jej kolano i siedzimy tak we trzy bardzo długo, nie robiąc najmniejszego hałasu. Nie mogę nic zrobić, absolutnie nic, tylko zachować ciszę, a przed oczami ciągle mam ten horror.

Brat duszący siostrę... Musiała rozmawiać przez telefon, on pewnie zaszedł ją od tyłu, żeby to zrobić... Ona nie żyje, jestem przekonana, że ona nie żyje.

Tego dnia miała na sobie bufiaste, białe spodnie i długą do kolan koszulę. Była boso. Widziałam jej podrygujące nogi, widziałam ręce, bijące po twarzy brata, kiedy krzyczał: „Wynoś się!”

Wydaje mi się, że telefon był czarny. Stał na podłodze w głównym pokoju i miał bardzo długi sznur. Musiała wtedy rozmawiać, ale nie wiem z kim i dlaczego. Nie wiem, co

przedtem robiłam, gdzie byłam, ani co robiła Hanan, ale nie przypominam sobie niczego takiego w jej zachowaniu, co by usprawiedliwiało postępowanie mojego brata. Nie rozumiałam tego, co się działo.

Zostałam w pokoju z małymi aż do powrotu matki. Wyszła wcześniej razem z ojcem. Assad został z nami sam. Bardzo długo zastanawiałam się, dlaczego nie było nikogo poza nim i nami w całym domu. A potem wspomnienia przyniosły mi odpowiedź.

Tego dnia moi rodzice poszli do żony mego brata, do jej rodziców, dokąd uciekła, bo ją bardzo pobił, chociaż była w ciąży. Musiał być wściekły, jak każdy mężczyzna, którego spotkał podobny afront. Jak zwykle docierały do mnie jedynie strzępki informacji o tym, co się dzieje. Dziewczyna nie bierze udziału w rodzinnych zebraniach, kiedy dochodzi do konfliktów. Trzyma się ją na uboczu. Dowiedziałam się później, że moja szwagierka poroniła, i przypuszczam, że jej rodzice oskarżali o to mojego brata. Ale tego dnia nie było żadnego związku między tymi dwoma wydarzeniami. Co Hanan robiła przy telefonie? Bardzo rzadko z niego korzystałyśmy. Ja sama dzwoniłam może dwa, trzy razy, żeby porozmawiać ze starszą siostrą, ciotką lub żoną mojego brata. Jeśli Hanan do kogoś dzwoniła, musiał to być ktoś z rodziny, to pewne.

Od kiedy ten telefon był w domu? Nie było ich zbyt wiele w wiosce w tamtych czasach. Mój ojciec zmodernizował dom. Mieliśmy łazienkę z ciepłą wodą, no i ten telefon.

Kiedy rodzice wrócili, matka rozmawiała z Assadem. Widziałam, że płacze, ale dzisiaj już wiem, że udawała. Teraz stałam się realistką i nareszcie zrozumiałam, jak pewne sprawy załatwia się w moim kraju. Najpierw odbywa się narada rodzinna i owego fatalnego dnia rodziców nigdy nie ma w domu. Tylko ten, kogo wyznaczą do popełnienia morderstwa, zostaje sam z dziewczyną.

Moja matka nie płakała naprawdę! To było przedstawienie. Z pewnością wiedziała, dlaczego mój brat zabił moją siostrę. Bo dlaczego nagle wyszli oboje ze starszą siostrą Nourą? Dlaczego zostawili nas same z Assadem? To, czego nie wiem, to powód skazania Hanan. Musiała popełnić jakiś grzech, lecz nie wiem jaki. Wyszła sama? Ktoś zobaczył ją rozmawiającą z mężczyzną? Zadenuncjował ją ktoś z sąsiadów? Potrzeba tak niewielu rzeczy, by stwierdzić, że dziewczyna jest *charmuta*, że naraziła na wstyd rodzinę i musi umrzeć, by zmyć hańbę nie tylko z rodziców i brata, ale z całej wioski!

Moja siostra była bardziej dojrzała niż ja, chociaż była młodsza. Mogła popełnić jakąś nieostrożność, zupełnie nie wiem jaką. Dziewczyny w moim kraju nie zwierają się sobie. Za bardzo boją się mówić, nawet między siostrami. Wiem coś na ten temat, bo sama milczałam jak zaklęta.

Bardzo kochałam mojego brata. Kochaliśmy go wszystkie, bo był jedynym mężczyzną w rodzinie, jedynym naszym opiekunem, poza ojcem. Jeśli ojciec umiera, to on kieruje rodziną; jeśli on też umrze, jeśli pozostaną jedynie kobiety, rodzina jest stracona. Nie ma już baranów, ziemi, niczego. Najgorszą rzeczą, jaka może przytrafić się rodzinie, jest strata jedynego brata. Jak można żyć bez mężczyzny? To mężczyzna stanowi i egzekwuje prawo, to on chroni rodzinę, to syn zajmuje miejsce ojca i wydaje za mąż swoje siostry.

Assad był równie gwałtowny jak mój ojciec. To był morderca, ale słowo to nie ma żadnego znaczenia w moim kraju, jeśli chodzi o pozbawianie życia kobiet. Brat, szwagier, jakiś wujek, nieważne kto, mają za zadanie chronić honor rodziny. Mają prawo rozporządzać życiem i śmiercią swoich kobiet. Jeśli ojciec lub matka mówią do syna: „Twoja siostra zgrzeszyła, trzeba ją zabić...”, zrobi to dla honoru, bo takie jest prawo.

Assad był naszym uwielbianym bratem. Pewnego razu spadł z konia - bardzo lubił jeździć konno. Koń potknął się, a on spadł. Pamiętam dobrze, jak bardzo wtedy płakałyśmy! Z żalu podarłam na sobie sukienkę, rwałam włosy z głowy. Na szczęście nie było to nic groźnego i szybko go wykurowałyśmy. Natomiast gdy mój ojciec złamał sobie nogę, byłyśmy tak szczęśliwe, że mogłybyśmy tańczyć z radości. Nawet jeszcze dzisiaj nie mogę pogodzić się z faktem, że Assad był mordercą. Wspomnienie duszonej przez niego siostry jest dla mnie prawdziwym koszmarem, ale w tamtej chwili nie mogłam mieć mu tego za złe. To, co zrobił, było czymś normalnym, musiał się na to zgodzić, to był jego obowiązek, gdyż tak należało postąpić dla dobra rodziny. I ja go kochałam.

Nie wiem, co potem zrobili z Hanan. W każdym razie zniknęła z domu. Zapomniałam o niej. Nie bardzo rozumiem dlaczego. Poza permanentnym strachem, z pewnością kierowałam się jakąś logiką w moim życiu w tamtych czasach - obyczaje, prawo, to było wszystko, co każe nam przeżywać pewne wydarzenia w sposób „normalny”. Wydarzenia te stają się zbrodniami i horrorami gdzie indziej, na Zachodzie, w krajach, gdzie prawo jest zupełnie inne. Ja sama miałam umrzeć, a to, że jakimś cudem udało mi się przeżyć i naruszyć prawo zwyczajowe, bardzo długo wywoływało we mnie uczucie zmieszania. Teraz już wiem - doznałam szoku, a moje własne doświadczenia sprawiły, że szok ten powiększył się do tego stopnia, iż sprawił, że zapomniałam o niektórych zdarzeniach. Powiedział mi o tym pewien psychiatra.

W taki więc sposób Hanan zniknęła z mojego życia i wspomnień. Być może pochowano ją obok noworodków. A może spalono ją i pochowano na zboczu albo gdzieś w polu. A może po prostu rzucono ją psom? Nie wiem. Kiedy opowiadam o tamtym moim życiu, widzę w spojrzeniach Europejczyków, że nie potrafią tego zrozumieć. Zadają mi

logiczne dla nich pytania: „Czy przyjechała policja?“, „Czy nikogo nie zaniepokoiło to zniknięcie?“, „Co mówili mieszkańcy wioski?“

Nigdy w życiu nie widziałam policji. Zniknięcie jakiejś kobiety nie ma tam żadnego znaczenia. Mieszkańcy wioski respektują prawa wprowadzane przez mężczyzn.

Jeżeli nie zabije się dziewczyny, która zhańbiła swoją rodzinę, mieszkańcy wioski odrzucają tę rodzinę ze społeczności, nikt się do członków rodziny nie odzywa, nie chce z nią handlować, rodzina musi opuścić wioskę! Więc...

Z europejskiego punktu widzenia los mojej siostry był o wiele gorszy niż mój. Ale to ona miała szczęście, bo umarła. Przynajmniej nie cierpiała.

Jeszcze ciągle słyszę jej krzyki, tak strasznie wyła! Kamat i ja bałyśmy się potem o siebie przez jakiś czas. Za każdym razem, gdy widziałyśmy naszego ojca, brata czy szwagra, bałyśmy się, że spotka nas coś podobnie okropnego z ich strony. Dlatego czasami nie mogłyśmy zasnąć. Budziłam się co chwila. Czułam nieustanne zagrożenie. Assad ciągle chodził wściekły, był gwałtowny. Nie miał prawa zobaczyć swojej żony: wyszła ze szpitala i wróciła bezpośrednio do swoich rodziców, bo za mocno ją zbił. A jednak potem wróciła do niego, takie jest prawo. Urodziła mu inne dzieci, na szczęście synów. Byliśmy z niego bardzo dumne, nadal ogromnie go kochałyśmy, chociaż budził w nas strach. Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego równie mocno nienawidziłam ojca, jak kochałam brata, chociaż przecież byli tak do siebie podobni.

Gdybym wyszła za mąż w mojej wiosce i rodziłabym dziewczynki, a Assad miał za zadanie udusić jedną z nich, postąpiłabym tak jak inne kobiety, zniosłabym to, nawet nie myśląc o buncie. To, o czym mówię i myślę, jest nie do przyjęcia tutaj, ale dla nas, tam, było to naturalne.

Dzisiaj, kiedy już umarłam w mojej rodzinnej wiosce i narodziłam się po raz drugi w Europie, myślę zupełnie inaczej.

A jednak nadal Kocham mojego brata. To uczucie przypomina korzenie drzewa oliwnego, których nie można wyrwać, chociaż samo drzewo już uszło.

ZIELONY POMIDOR

Każdego ranka czyściłam stajnię. Była naprawdę ogromna, a panujący w niej odór bardzo silny. Kiedy już wszystko wysprzątałam, otwierałam drzwi, żeby ją przewietrzyć. Panujący upał oraz wypełniająca ją wilgoć powodowały, że we wnętrzu było parno. Napełnialiśmy wiadra gnojni - koński służył do użyźniania ziemi w ogrodzie, do niczego więcej. Ojciec zawsze powtarzał, że to najlepszy nawóz. Baranich bobków używało się do palenia w piecu do chleba. Kiedy już były dobrze wysuszone, siadałam na ziemi i ugniatałam je rękoma, robiąc z nich coś na kształt małych placków, którymi następnie paliło się w piecu.

Barany wyprowadzało się na łąki wczesnym rankiem i przychodziło się zabrać je z powrotem do domu, kiedy robiło się zbyt gorąco, około jedenastej. Barany jadły i spały. Ja także wchodziłam do domu, żeby coś zjeść. Oliwa w miseczce, ciepły chleb, herbata, oliwki, owoce - oto nasz posiłek. Wieczorem był kurczak, jagnię lub królik. Jadaliśmy mięso prawie codziennie, razem z ryżem albo kaszą, którą robiliśmy sami. Wszystkie warzywa pochodziły z ogrodu.

Jeśli było wyjątkowo gorąco na zewnątrz, pracowałam w domu. Przygotowywałam ciasto na chleb. A także karmiłam wszystkie małe jagnięta. Brałam je za skórę na karku, tak jak się podnosi koty, i podstawiałam do sutka ich mamy, aby mogły ssać. Zawsze było pełno jagniąt, więc zajmowałam się nimi kolejno. Kiedy jedno już się najadło, odnosiłam je na miejsce i tak aż do ostatniego. Następnie szłam do kóz, znajdujących się w innej części stajni. Dwa konie miały własny kąt, a także cztery krowy. Ta stajnia była naprawdę ogromna: na pewno ze sześćdziesiąt baranów i jakieś czterdzieści kóz. Konie zawsze przebywały na zewnątrz, na łące, przyprowadzano je tylko na noc. Służyły wyłącznie mojemu ojcu i bratu do przejażdżek, nam nigdy. Kiedy kończyłam sprzątanie w stajni, wychodziłam stamtąd, nie zamykając za sobą drzwi ze względu na panujący w niej upał, ale była tam drewniana bariera, bardzo ciężka, która nie pozwalała zwierzętom wyjść.

Kiedy słońce zaczęło się zniżać, zajmowałam się ogrodem. Było bardzo dużo pomidorów i należało je zbierać prawie codziennie, kiedy tylko dojrzały. Pewnego razu, przez pomyłkę, zerwałam zielony pomidor. Nigdy nie zapomnę tego nieszczęsnego pomidora! Często o nim myślę, pracując w mojej własnej kuchni. Był w połowie żółty, z drugiej strony czerwony, właśnie zaczynał dojrzewać. Pomyślałam, że muszę go dobrze schować, zanim wrócę do kuchni, ale było za późno, bo właśnie nadszedł mój ojciec. Wiedziałam, że nie powinnam zerwać tego pomidora, ale zbierałam je zbyt szybko. Zawsze trzeba było pracować

bardzo szybko, ruchy stawały się mechaniczne, moje palce zwinnie obracały się wokół krzaka: na prawo, na lewo, na prawo, na lewo, od góry do dołu... I ten ostatni, któremu dostało się najmniej słońca, znalazł się w mojej ręce, chociaż tego nie chciałam. Ojciec zaczął wrzeszczeć: „Zwariowałaś? Widzisz, co zrobiłaś? Zerwałaś zielony pomidor! Wariatka!”

Uderzył mnie, potem rozgniół mi pomidor na głowie, po twarzy spływały mi pestki. „Teraz musisz go zjeść!” Siłą wepchnął mi go w usta, a resztę rozsmarował po twarzy. Miałam nadzieję, że jednak nadaje się do jedzenia, ale był gorzki, ohydny. Przełknęłam go na siłę. Potem nie chciałam już niczego jeść, płakałam i bolał mnie żołądek. Ale ojciec wsadził mi głowę w talerz i zmusił do jedzenia jak psa. Nie mogłam się ruszyć, ścisnął mnie mocno za włosy, to bardzo bolało. Moja przyrodnia siostra drwiła sobie ze mnie i chichotała. Otrzymała taki policzek, że wypluła to, co miała w ustach, i zaczęła płakać. Im więcej mówiłam, że boli mnie głowa, tym bardziej wpychał mi twarz w talerz z kaszą. Opróżnił talerz aż do końca, ręką robił kulki z kaszy i wpychał mi je do ust, był naprawdę wściekły. Następnie wytarł ręce w serwetę, zarzucił mi ją na głowę i odszedł spokojnie, by rozsiać się w cieniu na werandzie.

Zebrałam naczynia, płacząc. Miałam całą twarz wysmarowaną jedzeniem, pełno kaszy we włosach i oczach. I zamiatałam, jak zawsze, żeby zebrać najmniejsze ziarenko kaszy, które spadło na podłogę z ręki ojca.

Przez te wszystkie długie lata zapomniałam o tak ważnych wydarzeniach, jak zniknięcie jednej z moich sióstr, a nigdy nie zapomniałam tego zielonego pomidora i poniżenia - że zostałam potraktowana gorzej od psa. I tego, że widziałam ojca, siedzącego spokojnie w cieniu, odpoczywającego niczym król po codziennym biciu. To było najgorsze ze wszystkiego. Był symbolem zupełnie normalnego w moim kraju niewolnictwa, które akceptowałam z pochyloną głową i zgiętym karkiem, na które ciągle spadały razy. Akceptowałam to tak samo jak moje siostry i matka. Jednak dzisiaj rozumiem swoją do niego nienawiść. Pragnęłam, żeby udusił się pod tym swoim szalem.

Takie było codzienne życie. Około czwartej wyprowadzało się barany i kozy na pastwiska, gdzie pozostawały aż do zachodu słońca. Moja siostra szła przodem, ja byłam zawsze z tyłu, z laską w ręku. Popędzałam nią zwierzęta, a przede wszystkim straszyłam kozy, które zawsze są bardzo ruchliwe, gotowe pobiec byle gdzie. Dopiero na łąkach trochę się uspokajało, byłyśmy tylko my i stado. Brałam arbuza i tłukłam nim o kamień, żeby go otworzyć. Bałyśmy się, żeby ktoś tego nie zauważył po powrocie do domu, bo nasze sukienki były poplamione sokiem. W stajni prałyśmy je bardzo dyskretnie, nie było mowy o zdjęciu sukienki, ale na szczęście schły bardzo szybko.

Słońce przybierało szczególną, żółtą barwę i oddalało się za horyzont, niebo traciło błękit i stawało się szare, trzeba było wracać, zanim zapadnie noc. A noc zapada u nas bardzo szybko, trzeba było spieszyć się, by dorównać słońcu, spuszczonej oczyma liczyć kroki na drodze, iść wzdłuż murów i przekroczyć bramę, która znów się za nami zamykała.

Teraz była pora dojenia krów i owiec. Pamiętam, że bardzo bolały mnie ramiona. Duży bidon pod brzuch krowy i bardzo niski stołek. Brałam nogę krowy, klinowałam ją kolanami, aby się nie poruszyła i mleko nie rozlało się gdzieś poza wiadrem. Gdyby na ziemi pozostała strużka mleka, a choćby parę kropli, to byłby ostatni dzień w moim życiu! Ojciec policzkował mnie, rycząc, że stracił kawał sera! Wymiona krów były ogromne i pełne mleka, a ja miałam małe ręce. Bolały mnie ramiona, dojenie zajmowało mi dużo czasu i byłam wykończona. Pewnego razu, kiedy mieliśmy sześć krów, zasnęłam, oparta o wiadro, z krowim kopytem uwięzionym między nogami. Na nieszczęście zjawił się mój ojciec i zaczął krzyczeć: *Charmuta! Dziwka!* Ciągnął mnie po ziemi za włosy po całej stajni i dostałam lanie pasem. Nienawidziłam tego skórzanego szerokiego pasa, ojciec nosił go zawsze nad biodrami, razem z innym, węższym. Ten mały ciął bardzo dotkliwie. Bił na zmianę obiema rękami, trzymając go za jeden koniec jak sznurek. Kiedy używał dużego, musiał go złożyć na pół, był zbyt ciężki. Błagałam i płakałam z bólu, ale im więcej mówiłam, że mnie boli, tym mocniej bił i wymyślał od dziwek.

Płakałam jeszcze później, w porze jedzenia. Matka próbowała mnie wypytywać. Wiedziała dobrze, że tym razem zbił mnie za mocno, ale ojciec zaczął poszturchiwać także ją, mówiąc, że nie powinno jej obchodzić, dlaczego dostałam lanie, bo ja na pewno wiedziałam dlaczego.

Normalny dzień w domu to był przynajmniej siarczysty policzek albo kopniak pod pretekstem, że nie pracowałam dostatecznie szybko, że woda na herbatę gotowała się zbyt długo. Czasami udawało mi się uniknąć walenia po głowie, ale niezbyt często. Nie przypominam sobie, czy moja siostra Kamat była bita równie często jak ja, ale wydaje mi się, że tak, bo bała się tak samo jak ja. Do dzisiaj zachowałam w sobie ten odruch, żeby pracować szybko, chodzić szybko, jakby bez przerwy wisiał nade mną pas ojca. Osioł posuwa się do przodu pod uderzeniami kija. Jeśli kij się zatrzymuje, osioł staje także. Tak samo było z nami, tylko że ojciec bił nas o wiele mocniej niż osła. Nazajutrz także dostawałam lanie, dla zasady, żebym nie zapomniała nauczki z poprzedniego dnia. Aby posuwała się do przodu, bez zasypiania, jak osioł na drodze.

Osioł przywołuje we mnie inne wspomnienie, dotyczy ono mojej matki. Widzę siebie, jak prowadzę stado na łąki, mam potem szybko wrócić do domu i jeszcze szybciej wyczyścić

stajnię. Matka jest razem ze mną, popędza mnie, bo jeszcze musimy zebrać figi. Trzeba załadować skrzynki na grzbiet osła i iść daleko za wieś. Nie umiem usytuować tej historii w czasie, oprócz tego, że zdarzyło się to mniej więcej wtedy co i sprawa z zielonym pomidorem. To musiał być koniec sezonu, bo drzewo figowe, pod którym stałyśmy, było już zupełnie łyse. Przywiązałam osła do pnia w taki sposób, by nie mógł jeść leżących na ziemi owoców i liści.

Zaczęłam zbierać figi, a matka mówi do mnie: „Posłuchaj uważnie, Souad, zostaniesz tu z osłem, zbierzesz wszystkie figi na skraju drogi, ale nie oddalisz się od tego drzewa. Nie wolno ci się stąd ruszyć. Jeśli zobaczysz, że twój ojciec zbliża się tu na białym koniu albo twój brat, albo ktoś inny, masz zagwizdać i ja szybko wrócę”. Oddaliła się kawałek drogą, gdzie czekał już na nią kawaler na koniu. Znałam go z widzenia, miał na imię Fadel. Był to mężczyzna o okrągłej głowie, nieduży i dosyć silny. Nie wiem, czy był żonaty, czy nie. Miał bardzo zadbanego konia, całego białego z jedną czarną plamką i zaplecionym do samego dołu ogonem.

Matka zdradzała z nim mojego ojca. Zrozumiałam to, kiedy powiedziała: „Jeśli ktoś inny będzie szedł, też masz zagwizdać”. Kawaler znikł mi z oczu, moja matka wraz z nim. A ja uważnie zbierałam figi wzdłuż drogi. W tym miejscu nie było ich zbyt dużo, ale nie mogłam się oddalić, bo inaczej nie zobaczyłabym ani ojca, ani nikogo innego, kto by się do nas zbliżał.

Ciekawe, ta historia wcale mnie nie dziwi. Pamiętam, że wcale się tak bardzo nie bałam. Być może dlatego, że matka bardzo dobrze to wszystko zorganizowała. Osioł był przywiązany do łysego figowca, niczego nie mógł zjeść, ani liści, ani owoców, co się często zdarza podczas takich zbiorów. Nie musiałam go więc pilnować jak w pełni sezonu i mogłam pracować sama. Robiłam dziesięć kroków w jedną stronę, dziesięć w drugą, zbierałam figi i wkładałam je do skrzynek. Miałam bardzo dobry widok na drogę w kierunku wioski, każdego mogłam zobaczyć z daleka i w porę zagwizdać. Nie widziałam już Fadela ani mojej matki, ale domyślałam się, że są jakieś pięćdziesiąt kroków ode mnie, schowani gdzieś w polu. Gdyby więc stało się coś niespodziewanego, zawsze mogła udać, że oddaliła się na chwilę w pilnej potrzebie. A mężczyzna, nawet mój ojciec czy brat, nie zadałby nigdy niestosownego pytania na ten temat. To byłby wielki wstyd.

Nie byłam sama zbyt długo: w skrzynce znalazło się niewiele fig, kiedy wrócili, oddzielnie. Matka przysła z pola. Widziałam, jak Fadel wsiada na konia: za pierwszym razem nie udało mu się trafić w strzemię, bo jego koń był bardzo wysoki. Miał śliczną drewnianą szpicrutę, bardzo delikatną; przed odjazdem przesyłał mamie uśmiech.

A ja udawałam, że niczego nie zauważyłam.

Cała rzecz odbyła się bardzo prędko. Kochali się gdzieś na polu, ukryci w wysokiej trawie, albo byli ze sobą tylko po to, aby porozmawiać, nie chcę tego wiedzieć. Nie mam prawa pytać, co tam robili, albo chlubić się zdziwioną miną, nie powinno mnie to obchodzić. Matka dobrze wiedziała, że nikomu o tym nie powiem, po prostu dlatego, iż stałam się współwinna całemu wydarzeniu i zostałabym zbita na śmierć, tak samo jak ona. Mój ojciec umie tylko bić kobiety i zmuszać je do pracy, która dostarcza mu pieniędzy. Więc niech matka uprawia miłość z innym mężczyzną pod osłoną intensywnej pracy, bardzo mnie to cieszy. W końcu ma rację.

No a teraz musimy bardzo szybko zebrać figi, skrzynki powinny zostać wypełnione, mają świadczyć o tym, że pracowicie spędziłyśmy cały ten czas poza domem. Bo jeśli nie, ojciec nas spyta: „Przynosicie puste skrzynki, co więc tam robiłyście?” I zasłużę sobie na lanie.

Jesteśmy dosyć daleko od wioski. Matka wsiada na osła, rozwartymi nogami obejmuje szyję zwierzęcia, bardzo blisko głowy, żeby nie rozgnieść zebranych owoców. Ja idę przodem i prowadzę osła, idziemy powoli, bo ładunek jest ciężki.

Trochę dalej mijamy samotną, starszą kobietę także z osłem, ona również zbierała figi. Jest już dosyć stara i dlatego nie potrzebuje towarzystwa, żeby wyjść z domu - idzie przed nami. Matka pozdrawiają i teraz idziemy razem. Droga jest wąska i trochę niesamowita, pełno w niej dziur i kamiennych garbów. Miejscami jest dość stroma i wtedy osioł ma problemy z podejściem z powodu ciężaru, jaki niesie na grzbiecie. Czasem zatrzymuje się na szczycie takiego wzniesienia albo przed dużym węzem i nie chce się dalej ruszyć. Na próżno matka go poklepuje, zachęca; nic do niego nie dociera. Wręcz odwrotnie, ma ochotę zawrócić, nozdrza drżą mu ze strachu, boi się tak samo jak ja. Nienawidzę węży. A ponieważ wzniesienie jest naprawdę strome, skrzynki na grzbiecie chwieją się niebezpiecznie, w każdej chwili mogą spaść. Na szczęście idąca z nami kobieta nic sobie nie robi z tego naprawdę wielkiego węża. Nie wiem, jak ona to robi, ale widzę, jak bestia zwija się i kurczy. Pewnie zaczęła walić go swoim kijem. W końcu wąż umyka do wąwozu, a osioł może iść dalej.

Dookoła wioski kręci się mnóstwo węży, małych i dużych. Widywałyśmy je codziennie i paraliżował nas strach, tak samo bałyśmy się granatów. Po wojnie z Żydami pozostało ich bardzo dużo. Nigdy nie było wiadomo, czy nie wychodzi się z domu po śmierć, kiedy stanie się na czymś takim przypadkowo. Kiedyś słyszałam, jak o tym rozmawiano w domu, kiedy ojciec mojego ojca przyszedł do nas z wizytą. A może to był wujek? Matka często przestrzegała nas przed granatami, były prawie niewidoczne pod żwirem, tak więc

ciągle patrzyłam pod nogi, bojąc się, że zaraz na coś wejdę. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała jakiś granat, ale wiem, że niebezpieczeństwo było bardzo realne i nieustanne. Lepiej nie podnosić kamienia i dobrze patrzeć, gdzie stawia się stopę. No i te węże. Chowały się w różnych szczelinach, wpełzały do domu, najczęściej do spizarni, między worki z ryżem, albo do stajni, w snopki siana.

Ojca nie było, kiedy wróciliśmy z matką do domu. To była wielka ulga, bo jednak straciłyśmy sporo czasu: dochodziła już dziesiąta. O tej godzinie słońce jest wysoko, upał bardzo mocny i dobrze dojrzałe figi mogły się pomarszczyć i zwiędnąć. A powinny być w doskonałym stanie i starannie przygotowane, tak aby ojciec mógł je korzystnie sprzedać na targu.

Bardzo lubiałam przygotowywać skrzynki z figami. Wybierałam najładniejsze liście figowca, duże, soczyste zielone, i wykładałam nimi dno skrzynek. Potem delikatnie układałam owoce, równiutko, niczym drogocenną biżuterię, na wierzchu również kładłam dorodne liście dla ochrony przed palącym słońcem. Z winogronami postępowалаłam w ten sam sposób: obcinało się je specjalnymi nożycami, potem delikatnie układało, nie można było pozostawić ani jednego uszkodzonego grona, ani jednego zwiędłego czy brudnego liścia. Wykładałam skrzynki liśćmi winorośli i kładłam grona podobnie jak figi i przykrywałam, by pozostały świeże.

Był także sezon na kalafiory, cukinie, bakłażany, pomidory i dynie, a ojciec sprzedawał również sery; robienie ich też należało do moich obowiązków. Wlewałam mleko do wielkiego, metalowego wiadra. Zgarniałam z niego żółty tłuszcz - który tworzył się po bokach, a także śmietankę - odkładałam ją na bok, żeby zrobić *laban*, który sprzedawaliśmy w osobnych paczuszkach na ramadan. Ten *laban* wkładano do dużych wiader i to ojciec zajmował się pakowaniem go do małych paczuszek z bardzo twardego plastiku, aby produkt się nie zepsuł. Na opakowaniu pisał po arabsku: *laban*.

Z mleka, *halib*, robiłam jogurty i sery. Miałam białą, przezroczystą tkaninę i żelazną miseczkę. Najpierw napełniałam miskę do pewnej wysokości, aby sery były zawsze tej samej wielkości, potem przekładałam je na tkaninę, robiłam coś w rodzaju gniazda i ścisakałam bardzo mocno, aby sok spływał do pojemnika. Kiedy w serach nie było już soku, układałam je na dużej, połączanej tacy i przykrywałam materiałem, żeby nie dostały się do nich muchy i nie uszkodziło słońce. Pakowałam je następnie w białe torebki, które ojciec także naznaczał. To staranne, czystiutkie opakowanie wyglądało bardzo ładnie. W sezonie owoców i warzyw mój ojciec jeździł na targ praktycznie codziennie. Z mlekiem i serem - dwa razy w tygodniu.

Ojciec zasiadał za kierownicą furgonetki dopiero wtedy, kiedy samochód był już załadowany, a jeśli nie zrobiliśmy tego na czas, nieszczęście było gotowe. Siadał z przodu razem z matką, ja siedziałam z tyłu, wciśnięta między skrzynki. Droga trwała dobre pół godziny. Potem widziałam duże domy. To było miasto. Ładne miasto, bardzo czyste. Były czerwone światła, samochody stawały. Śliczne sklepy. Pamiętam dobrze wystawę z manekinem ubranym w ślubną suknię. Nie miałam jednak prawa pójść na spacer, nie mówiąc już o oglądaniu sklepów. Jechałam z otwartymi ustami i nieustannie wykręcałam szyję, by popatrzeć na nie choć z daleka możliwie jak najdłużej. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

Tak bardzo pragnęłam zwiedzić to miasto, ale kiedy zobaczyłam idące chodnikiem dziewczyny, ubrane w krótkie sukienki, z gołymi nogami, ogarnęło mnie uczucie wstydu. Gdybym spotkała je z bliska, naplułabym na nie. Każda z nich była *charmuta*. Uważałam to za obrzydliwe. Szły zupełnie same, bez rodziców u boku. Pomyślałam sobie, że nigdy nie będą mogły wyjść za mąż. Żaden mężczyzna nie zechciałby się z nimi ożenić, bo bezwstydnie pokazywały nogi i miały szminkę na ustach. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie trzyma się ich w zamknięciu.

Teraz, po latach, zdaję sobie sprawę, że życie w mojej wiosce nie zmieniło się od narodzin mojej matki, jej matki i jeszcze wcześniej. Czy te dziewczyny z miasta też były tak bite jak ja? Czy pracowały jak ja? Były zamknięte jak ja? Niewolnice jak ja? Nie wolno mi było oddalić się od furgonetki ojca nawet na centymetr. On nadzorował rozładowanie skrzynek, zbierał pieniądze i na jego gest, tak jak osioł, musiałam wejść do środka i tam się schować; jedyną moją przyjemnością było to, że miałam rzadką sposobność, by odpocząć przez chwilę od pracy i obejrzałam przez szpary między skrzynkami niedostępne dla mnie sklepy i butiki.

Targowisko było bardzo duże. Pokryte czymś w rodzaju dachu, oplecionego winoroślą, co dawało cień owocom. Wyglądało to naprawdę ładnie. Kiedy wszystko zostało sprzedane, ojciec był bardzo szczęśliwy. Szedł spotkać się ze sprzedawcą przed zamknięciem targu, sam, i przynosił pieniądze, widziałam je w jego rękach. Przeliczał je wiele razy i zamykał w niedużym, płóciennym woreczku wyposażonym w sznurek. Zawieszał sobie woreczek na szyi. To właśnie za pieniądze zarobione na targu mógł unowocześnić nasz dom.

Lubiłam wsiadać do furgonetki, bo to dawało chwilę odpoczynku. Podczas drogi nie miałam nic do roboty, mogłam sobie spokojnie siedzieć. Ale kiedy przyjeżdżaliśmy na targ, trzeba było się bardzo spieszyć, nosić skrzynki w wielkim pośpiechu. Ojciec chciał pokazać,

jak jego żona i córka potrafią ciężko pracować. Jeździłam zawsze z matką. Nigdy nie brał ze sobą dwóch sióstr.

Kiedy na targ jeździła moja siostra, sprzątałam podwórko, myłam je i zostawiałam, by wyschło na słońcu. Przygotowywałam jedzenie i piekłam chleb. Siadałam na ziemi, kładłam mąkę do dużego naczynia, dodawałam wodę i sól, ciasto wyrabiałam ręcznie. Pozostawiałam je potem pod przykryciem z białego płótna i czekałam, aż wyrośnie. Podsycalałam ogień w piecu, żeby był gorący. Sam piec był ogromny, niczym mały dom pokryty drewnianym dachem, a na żelaznym palenisku w środku zawsze palił się ogień. Żar utrzymywał się bardzo długo, ale żeby upiec chleb, trzeba było podsycić ogień w specjalny sposób.

Widok rosnącego ciasta jest czymś wspaniałym... uwielbiałam wypiekać chleb. Aby go upiększyć, przed włożeniem do pieca robiłam w środku dziurkę. Wkładałam uformowane na chleb ciasto do worka z mąką, żeby nie lepilo się do rąk, pieściłam je delikatnie, aż stawało się białe i miękkie. Chleb przypominał wyglądem duży placek, naprawdę wspaniały, piękny, okrągły chleb, który zawsze musiał mieć tę samą formę. Jeśli było inaczej, ojciec rzucał mi go w twarz.

Kiedy chleb był już gotowy, czyściłam ruszt i zbierałam popiół. Po skończonej pracy moje włosy, twarz, brwi i rzęsy były szare od pyłu. Otrząsałam się niczym psiak, który ma pchły.

Któregoś dnia znajdowałam się wewnątrz domu, kiedy ktoś zauważył dym, wydobywający się przez dach pieca. Pobieglam tam z moją siostrą zobaczyć, co się stało. Zaczęłyśmy krzyczeć, że się pali. Pojawił się mój ojciec z wodą. Buchały płomienie i wszystko w piecu się spaliło. Na ruszcie leżało coś czarnego, małego, przypominającego kozie bobki. Zapomniałam, że w środku jest chleb, i źle wybrałam popiół z paleniska. Pozostał żar i wywołał ogień. To była moja wina. Nie powinnam była zapomnieć o tym kawałku chleba, a przede wszystkim nigdy nie zapomnieć o wymieszaniu popiołu kawałkiem drewna, żeby usunąć z niego wszystko to, co się żarzy.

Byłam odpowiedzialna za ogień w piecu chlebowym, nie mogło mi się przytrafić nic gorszego.

Ojciec zbił mnie jak nigdy przedtem. Były kopniaki, były uderzenia laską po plecach. Złapał mnie za włosy, przycisnął kolanami i wepchnął twarz w popiół, na szczęście już letni. Dusiałam się, ślinałam, popiół wchodził mi do nosa i ust, oczy miałam zaczerwienione. Zmusił mnie do jedzenia popiołu, żeby mnie ukarać. Płakałam. Kiedy mnie w końcu puścił, cała byłam czarna i szara, z oczami zaczerwienionymi jak pomidor. To było bardzo poważne

wykroczenie z mojej strony i gdyby nie było przy tym mojej matki i siostry, myślę, że ojciec wrzuciłby mnie do paleniska, zanim zaczęłby gasić ogień.

Trzeba było odbudować piec za pomocą cegieł i praca ta trwała dość długo. Codziennie towarzyszyły mi przekleństwa albo jakieś złośliwe słowa. Umykałam do stajni ze zgiętym karkiem, podwórko zamiatałam ze spuszczoną głową. Myślę, że mój ojciec naprawdę mnie nienawidził, chociaż, pomijając wypadek z piecem, pracowałam naprawdę dobrze.

Po południu, przed zapadnięciem nocy, robiłam pranie. Zajmowałam się całą domową bielizną, trzepałam baranie skóry, zamiatałam, gotowałam, karmiłam zwierzęta, czyściłam stajnię. Chwile odpoczynku zdarzały się bardzo rzadko.

Nigdy nie wychodziłyśmy wieczorami. Natomiast matka z ojcem robili to bardzo często, szli do sąsiadów, przyjaciół. Mój brat także wychodził, ale my nigdy. Nie miałyśmy żadnych koleżanek, nasza najstarsza siostra nigdy do nas nie zaglądała. Jediną obcą osobą, którą czasem widywałam w domu, była nasza sąsiadka, Enam. Miała kropkę w oku i ludzie kpili sobie z niej, wszyscy też wiedzieli, że nie wyszła za męża.

Z tarasu widziałam willę bardzo bogatych ludzi. Siedzieli na oświetlonym tarasie, słyszałam ich śmiechy, widziałam, że jadali tam często, nawet późnym wieczorem. Ale my u nas w domu byłyśmy zamknięte jak króliki w swoich pokojach. Z naszej wioski pamiętam jedynie tę bogatą rodzinę i Enam, starą pannę, zawsze samą, siedzącą przed swoim domem. Jediną rozrywkę stanowiła jazda furgonetką do miasta na targ.

Chwile odpoczynku były tak rzadkie. Kiedy nie pracowałyśmy dla siebie, pomagałyśmy innym mieszkańcom, a oni robili to samo dla nas.

We wsi było sporo dziewcząt w mniej więcej tym samym wieku i kazano nam wsiadać do autokaru, kiedy miałyśmy jechać zbierać kalafiory na naprawę ogromnym polu. Dobrze je pamiętam, to wielkie pole kalafiorów! Było tak ogromne, że nie widać było końca, miałyśmy wrażenie, że nigdy nie uda nam się wszystkiego zebrać! Kierowca był tak nieduży, że aby prowadzić, musiał podkładać sobie na siedzenie spory Jasiek. Miał okrągłą, śmieszoną, małą głowę i rzadkie włosy.

Cały dzień na czworakach ścinałyśmy kalafiory; wszystkie dziewczyny ustawione w rzędzie, jak zazwyczaj, pilnowane były przez kobietę w średnim wieku. Trzymała w ręku kij. Nie było mowy o pozostawianiu w tyle. Kładłyśmy te kalafiory do dużej ciężarówki. Po zakończonym dniu pracy ciężarówka pozostawała na miejscu, a my wsiadałyśmy do autokaru, żeby wrócić do wioski. Po obu stronach drogi rosło dużo pomarańczy. A ponieważ bardzo chciało się nam pić, kierowca zatrzymał autokar, mówiąc nam, że każda może zerwać dla siebie jedną pomarańczę i szybko wracać na miejsce.

- Jedną pomarańczę i *halasl* - co znaczy „jedną pomarańczę, nie dwie!”

Wszystkie dziewczęta wróciły biegiem do autokaru i kierowca, który zaparkował wóz na małej dróżce, wrzucił tylny bieg. A potem nagle wyłączył silnik, wysiadł i zaczął krzyczeć tak głośno, że wszystkie dziewczyny wyskoczyły z autokaru jak szalone.

Kierowca rozjechał jedną z dziewcząt. Po jej głowie przejechało koło. Ponieważ znalazłam się tuż obok, pochylałam się i uniosłam jej głowę za włosy, sądząc, że jeszcze żyje. Jednak głowa pozostała wbita w ziemię. Zemdlałam z przerażenia.

Pamiętam, że potem znowu znalazłam się w autokarze, na kolanach pilnującej nas kobiety. Kierowca zatrzymywał się przed każdym domem, żeby odstawić kolejne dziewczyny, bo nie miałyśmy prawa wracać samodzielnie, nawet znajdując się już w rodzinnej wiosce. Kiedy wysiadłam przed naszym domem, opiekunka powiedziała matce, że jestem chora. Mama położyła mnie, podała coś do picia. Tego wieczora była dla mnie bardzo miła, bo tamta kobieta o wszystkim jej opowiedziała. Musiała poinformować o wypadku każdą matkę, a kierowca czekał na nią przy autokarze. Może dlatego, żeby wszyscy poznali jednakową wersję wydarzeń?

Bo to, co przydarzyło się tej dziewczynie, było naprawdę dziwne. Kiedy zbierałyśmy kalafiory, zawsze musiała pracować pośrodku rzędu, nigdy na jego obrzeżach. A u nas fakt, że dziewczyna jest tak bardzo pilnowana przez innych, oznaczał, że być może chce uciec. Zauważyłam od razu, że zawsze ktoś ją obserwował, że nie wolno jej było zmieniać miejsca w rzędzie. Wydawało mi się to dziwne, jak i to, że nikt z nią nie rozmawiał. Nie wolno było nawet na nią patrzeć, bo była *charmuta* i gdyby któraś z nas się do niej odezwała, sama też zostałaby potraktowana jak *charmuta*. Czy kierowca specjalnie ją przejechał? We wsi długo było o tym głośno. Przyjechała policja, żeby nas przepytac, zebrano nas w miejscu, gdzie zdarzył się wypadek. Przyjechało trzech policjantów i dla mnie było to prawdziwe wydarzenie, widok trzech mężczyzn w policyjnych mundurach. Nie wolno było patrzeć im w oczy, należało okazać im szacunek, wszystkie nas bardzo to poruszyło. Pokazałyśmy dokładnie miejsce. Pochylałam się. Leżała tam sztuczna głowa, podniosłam ją ręką. Powiedzieli mi: *Ha - las, halas, halas....* I na tym się skończyło.

Wsiadłyśmy do autokaru. Kierowca płakał! Prowadził szybko i jakoś dziwnie. Autokar podskakiwał na drodze, pamiętam dobrze, że opiekunka podtrzymywała sobie rękami piersi, bo też jej bardzo podskakiwały. Kierowcę zamknięto w więzieniu. Dla nas i dla całej wioski to wcale nie był wypadek.

Jeszcze długo po tych wydarzeniach byłam naprawdę chora. Ciągłe prześladował mnie widok mojej ręki, podnoszącej tę rozjechaną głowę, i bałam się rodziców z powodu tego

wszystkiego, co mówili o zmarłej. Musiała zrobić coś naprawdę niedobrego, ale do dzisiaj nie wiem co. W każdym razie mówiono, że była *charmuta*. Nie mogłam spać w nocy, ciągle widziałam tę rozjechaną głowę, słyszałam ten okropny dźwięk opon, kiedy autokar zaczął jechać do tyłu. Nigdy nie zapomnę tej dziewczyny. Pomimo tych wszystkich cierpień, które stały się moim udziałem, ten obraz na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Była w tym samym wieku co ja, miała krótkie włosy, bardzo ładnie obcięte. To także było dziwne, że miała krótkie włosy. Dziewczyny ze wsi nigdy nie obcinały sobie włosów. Dlaczego więc ona? Wyróżniała się wśród nas, była ładniej ubrana. Co sprawiło, że stała się *charmuta*! Nigdy się tego nie dowiedziałam. Wiem natomiast, co się stało ze mną.

W miarę jak stawałam się coraz starsza, z coraz większą nadzieją oczekiwałam, że ktoś poprosi, bym została jego żoną. Ale nikt nie prosił o to Kainat, a ona wcale nie wydawała się tym martwić. Zupełnie jakby zdążyła już przywyknąć do myśli, że zostanie starą panną, ale dla mnie taki jej los wydawał się czymś okropnym i jeszcze gorszym był dla mnie, bo przecież musiałam czekać na swoją kolej.

Zaczynałam już się wstydzić i nie chciałam pokazywać się na ślubach innych dziewcząt, bo bałam się, że będą się ze mnie wyśmiewać. Wyjście za męża to było jedyne, o czym marzyłam, by zdobyć choć trochę wolności. Ale nawet kobieta zamężna ryzykowała utratę życia z błahego powodu. Pamiętam tę kobietę, która miała czworo dzieci. Jej mąż pracował często w mieście, był chyba urzędnikiem, bo chodził w marynarce. Kiedy go dostrzegałam z daleka, szedł zawsze szybkim krokiem, jego buty pozostawiały po sobie tumany piaskowego kurzu.

Jego żona miała na imię Souheila i pewnego razu usłyszałam, jak matka mówiła, że cała wioska opowiada o niej różne rzeczy. Ludzie myśleli, że łączyło ją coś z właścicielem sklepu, bo często chodziła do niego kupować chleb, owoce i warzywa. Może nie miała tak dużego ogrodu jak nasz. A może spotykała się z tym mężczyzną po kryjomu, jak moja matka z Fadelem. Pewnego dnia matka powiedziała, że dwaj bracia tej kobiety przyszli do niej do domu i obcięli jej głowę. A potem zostawili ciało na ziemi i spacerowali po wsi z tą obciętą głową. Mówiła także, że kiedy mąż wrócił do domu, był bardzo zadowolony ze śmierci żony, bo wszyscy podejrzewali, że łączy ją coś ze sklepikarzem. Chociaż wcale nie była ładna i miała już czworo dzieci.

Nie widziałam mężczyzn spacerujących po wsi z głową siostry, słyszałam tylko opowieść mojej matki. Byłam już wystarczająco dojrzała, by to rozumieć, ale jakoś się nie bałam. Bo wtedy, gdy byłam z matką, niczego tak naprawdę nie wiedziałam. Wydaje mi się, że w mojej rodzinie nikt nie był *charmuta*, taka rzecz w ogóle nie przychodziła mi do głowy.

Ta kobieta musiała zostać ukarana i to było normalne. Bardziej normalne niż młoda dziewczyna rozjechana na drodze.

Nie zajmowałam się plotkami, podejrzeniami wobec sąsiadów, bo nawet kłamstwa mogły sprawić, że jakaś kobieta stawiała się *charmuta* i to mogło doprowadzić do jej śmierci dla honoru oszczerców.

Do tego, co nazywa się zbrodnią honorową, *Jarimat al Sharaf*, i co dla mężczyzn w moim kraju nie jest żadną zbrodnią.

KREW PANNY MŁODEJ

Rodzice Husseina przyszli poprosić o rękę Noury. Przychodzili wiele razy, żeby wszystko przedyskutować, bo kiedy u nas wydaje się córkę za męża, sprzedaje się ją za złoto. Tak więc rodzice Husseina przyszli, przynosząc ze sobą złoto, które włożyli do ładnego, połączanego naczynia, i ojciec Husseina powiedział: „Proszę, połowa jest dla ojca, Adnana, a druga połowa dla jego córki, Noury”.

Jeśli się okazuje, że ilość złota jest niewystarczająca, przystępuje się do dyskusji. Obydwie jego części są bardzo ważne, bo w dniu ślubu dziewczyna musi wszystkim pokazać złoto, które otrzymał jej ojciec za sprzedaż córki.

Ta część złota, którą Noura będzie w dniu ślubu nosiła na sobie, tak naprawdę wcale nie należy do niej. Wszystkie te bransolety, naszyjnik, diadem są jej potrzebne dla okazania honoru, zarówno własnego, jak i rodziców. Nie będzie ono zapewniało jej dostatniej przyszłości, nie będzie należało do niej, ale pozwoli jej godnie spacerować po wiosce, bo widząc ją, ludzie będą wyliczać, ile złota przysporzyła swoim rodzicom. Jeśli dziewczyna w dniu swojego ślubu nie posiada żadnej biżuterii, to jest to dla niej i dla całej rodziny straszny wstyd. Mój ojciec zawsze o tym zapominał, kiedy na nas krzyczał, wypominając, że dziewczyna przynosi mniej dochodu niż zwykła owca. Kiedy sprzedawał swoją córkę, należała mu się połowa złota!

Tak więc ojciec może się targować. Dyskusja odbywa się bez naszego udziału, uczestniczą w niej tylko rodzice. Kiedy w końcu dobijają targu, nie podpisują żadnych papierów, liczy się jedynie słowo mężczyzn. Wyłącznie słowo mężczyzn.

Kobiety nie mają prawa nic mówić, ani moja matka, ani matka Husseina, nie wspominając już o pannie młodej. Nikt jeszcze nie widział tego złota, ale wszyscy wiedzą, że małżeństwo dojdzie do skutku, bo przyszła rodzina Husseina. Nie wolno im przeszkadzać, pokazywać się, należy respektować targowanie się obu mężczyzn.

Moja siostra Noura wie, że do naszego domu wszedł ze swoimi rodzicami mężczyzna, więc z pewnością wyjdzie za męża. Jest bardzo zadowolona. Mówi mi, że chce być mężatką, żeby się lepiej ubierać, depilować sobie brwi, mieć swoje własne dzieci i rodzinę. Noura jest bojaźliwa i ma ładną twarz. Kiedy ojcowie dyskutują, jest trochę zmartwiona, bardzo chciałaby wiedzieć, ile przynieśli ze sobą złota, prosi Boga, żeby dobili targu.

Zupełnie nie wie, jak wygląda jej przyszły mąż, w jakim jest wieku i z pewnością nie zapyta o to rodziców. Zadawanie takich pytań to rzecz wstydliva. Nie prosi o to nawet mnie,

choć mogłabym się gdzieś schować i trochę mu się przyjrzeć. A może boi się, że powiem o tym rodzicom.

Kilka dni później ojciec wzywa do siebie Nourę i w obecności matki oznajmia: „Wyjdiesz za mąż tego i tego dnia”. Nie było mnie przy tym, nie miałam prawa być w pokoju razem z nimi.

Właściwie nie powinnam mówić: „nie miałam prawa”, bo u nas coś takiego nie istnieje. To jest po prostu obyczaj - jest właśnie taki i to wszystko. Jeśli ojciec ci powie: „Zostaniesz w tym kącie przez całe życie”, to zostaniesz tam na całe życie. Jeśli ojciec położy ci jedną oliwkę na talerzu i oznajmi: „Dzisiaj zjesz tylko to”, to nie zjesz już niczego innego. Bardzo trudno jest zrzucić z siebie skórę uległego niewolnika, ponieważ rodzisz się dziewczynką i przez całe dzieciństwo jesteś traktowana w taki sposób, jakby cię w ogóle nie było. Nie istniejesz, masz tylko słuchać mężczyzn i być posłuszną stanowionym przez nich prawom, egzekwowanym bezwzględnie przez ojca, matkę, brata, a jedyną nadzieją na uzyskanie odrobiny swobody jest wyjście za mąż.

Kiedy moja siostra Noura osiągnęła ten tak upragniony status, miałam, myślę, niecałe piętnaście lat. Ale może się mylę, może nawet bardzo, bo kiedy staram się wszystko sobie przypomnieć, ułożyć w chronologicznym porządku, nagle zdaję sobie sprawę, że moje tamto życie nie miało żadnego punktu odniesienia, żadnego znaku orientacyjnego, jak to się dzieje tu, w Europie. Nie obchodzi się tam urodzin, nie robi się zdjęć; to jest życie małego zwierzątka, które je, pracuje, jak można najszybciej, śpi i dostaje razy. Potem dowiaduje się, że jest już „dojrzałe”, to znaczy może ściągnąć na siebie gniew całej społeczności za najmniejszy fałszywy krok. I licząc od tego „wieku dojrzałego”, następnym etapem jest małżeństwo. Zazwyczaj dziewczyna dojrzewa w wieku dziesięciu lat i wychodzi za mąż między czternastym a najpóźniej siedemnastym rokiem życia. Noura była chyba blisko tej górnej granicy.

Rodzina zaczęła przygotowania do ślubu, zawiadamiano sąsiadów. Nasz dom nie był wystarczająco obszerny, więc rodzice wynajęli na weselne przyjęcie należące do całej wsi podwórze. Było to bardzo ładne miejsce, podobne do pełnego kwiatów ogrodu, gdzie rosły także winogrona i było miejsce na tańce. Znajdowała się tam również kryta weranda, gdzie panna młoda mogła się schronić przed słońcem i czekać na przybycie męża.

Ojciec sam wybrał barana. Zawsze bierze się młodziutkie jagnię, bo jego mięso jest bardzo kruche i nie trzeba go długo przyrządzać. Jeśli mięso wymaga długiego gotowania, wszyscy mówią, że ojciec nie jest dostatecznie bogaty, bo wybrał starego barana i nie karmi gości jak należy. Zepsuje sobie reputację we wsi, a opinia o jego córce będzie jeszcze gorsza.

Tak więc ojciec osobiście wybiera jagnię. Idzie do obory, obserwuje, łapie upatrzone zwierzę i wlecze je do ogrodu. Wiąże mu nogi, żeby nie mogło się poruszać, bierze nóż i podcina mu gardło jednym pociągnięciem ostrza. Następnie podnosi łeb jagnięcia nieco do góry nad dużym naczyniem, do którego zaczyna spływać krew. Patrę na tę cieknącą krew z uczuciem dużego obrzydzenia. Nogi jagnięcia jeszcze się ruszają. Kiedy ojciec kończy swoją pracę, kobiety zajmują się mięsem. Gotują wodę, żeby wyczyścić wnętrze zwierzęcia. Nie jada się flaków, ale z pewnością do czegoś ich się używa, bo starannie odkłada sieje na bok. Potem należy ściągnąć skórę - tę delikatną pracę wykonuje moja matka. Skóra nie może być uszkodzona. Musi pozostać w jednym kawałku. Jagnię leży teraz na ziemi, dokładnie wypatroszone i czyste. Matka oddziela skórę od mięsa ogromnym nożem. Robi to precyzyjnymi, pewnymi ruchami. Kawałek po kawałku skóra odchodzi, aż w końcu zostaje samo mięso. Matka pozostawia skórę na słońcu do wyschnięcia, potem ją sprzedaje albo zostawi w domu. Sprzedajemy większość baranich skór. Ale nie jest dobrze widziane, gdy przychodzi się na targ z jedną tylko skórą. Trzeba ich mieć więcej, żeby ludzie widzieli, że jest się bogatym.

W przeddzień ślubu, kiedy jagnię jest już gotowe, po zapadnięciu ciemności matka zajmuje się moją siostrą. Bierze starą patelnię, cytrynę, trochę oliwy z oliwek, żółtko i cukier. Rozpuszcza te wszystkie składniki na patelni i zamyka się w pokoju z Nourą. Właśnie tą „miksturą” będzie ją depilować. Trzeba pozbawić łono absolutnie wszystkich włosów. Wszystko musi być gołe i czyste. Matka mówi, że jeśli jakimś nieszczęściem pozostawi się choć jeden włos, mąż nie będzie chciał nawet spojrzeć na swoją żonę i odejdzie, bo jest brudna!

Zastanawia mnie ta historia: włosy łonowe sprawiają, że kobieta jest brudna? Nie depiluje się nóg ani rąk, tylko łono. A także brwi, ale to dla urody. Kiedy u dziewczyny pojawiają się włosy łonowe i zaczynają rosnać jej piersi, jest to pierwsza oznaka, że staje się kobietą. I umrze z owłosionym łonem, bo Bóg tak nas stworzył i takimi nas zabierze. A jednak dziewczyny stają się dumne na samą myśl o depilacji... Jest to znak, że od tej pory będą należeć do innego mężczyzny, nie do ojca. Bez owłosienia łonowego dziewczyna staje się naprawdę kimś. Wydaje mi się, że to nic więcej, jak jeszcze jedna kara, bo słyszałam krzyki mojej siostry. Kiedy w końcu opuściła pokój, tłum zgromadzonych pod drzwiami kobiet zaczął głośno klaskać i krzyczeć: *Jujujuju!* To naprawdę wielka radość: moja siostra była gotowa do ślubu, tego uroczystego poświęcenia dziewictwa.

Po tym seansie Noura mogła iść spać. Kobiety powróciły do domów, widziały moją siostrę i mogły stwierdzić, że wszystko odbyło się według ustalonych reguł.

Następnego dnia, o wschodzie słońca, przygotowujemy jedzenie na ślubnym podwórku. Ludzie muszą widzieć, jak to robimy, i obserwować, ile jest dań. Przede wszystkim nie wolno popsuć potrawy zbyt małą ilością ryżu, bo wtedy cała wioska będzie o tym plotkować. Potowa podwórka przeznaczona jest na wyeksponowanie potraw. Jest mięso, kuskus, warzywa, ryż, kurczaki i bardzo dużo słodczy; ciasta, które matka piekła razem z sąsiadkami, bo sama nigdy nie dałaby rady przygotować tego wszystkiego dla takiego tłumu gości.

Dania są wyeksponowane, wszyscy mogą je obejrzyć, a matka idzie do domu wraz z jedną z kobiet, by przygotować moją siostrę. Suknia ślubna, haftowana z przodu, jest długa do kostek i zapinana na małe guziki obciążone materiałem. Noura wygląda wspaniale, kiedy wychodzi z pokoju cała w złocie. Jest piękna jak kwiat. Ma bransolety, naszyjniki, a przede wszystkim, co dla panny jest najważniejsze, wspaniałe diadem! Ma on kształt opaski zrobionej z niewielkich kawałków złota, która otacza jej głowę. Rozpuszczone włosy posmarowano leciutko oliwą z oliwek, by nadać im więcej blasku. Noura zostanie posadzona na tronie. Ten tron to ustawione na stole krzesło, przykryte białym materiałem. Noura musi wspiąć się na stół, usiąść na krześle, a wszyscy mają ją podziwiać. Ona ma czekać na przybycie męża. Kobiety przepychają się, chcą wejść na podwórko i obejrzyć pannę młodą, krzyczą: *Jujujuju!*

A mężczyźni tańczą na zewnątrz. Nie mieszają się z przebywającymi na podwórku kobietami.

Nie mamy prawa oglądać tańczących mężczyzn, nawet przez okno.

Teraz ma przybyć pan młody. Narzeczoną skromnie pochyla głowę. Jeszcze nie ma prawa patrzeć mu prosto w twarz, ale to pierwszy moment, kiedy może na niego zerknąć i zobaczyć, jaki właściwie jest. Sądzę, że matka powiedziała jej coś na temat jego wyglądu, rodziny, pracy, wieku... ale wcale nie mam takiej pewności. Może powiedziano jej tylko to, że dostarczył złota w wystarczającej ilości.

Matka bierze welon i przykrywa nim głowę mojej siostry; pan młody przybywa niczym książę, jest pięknie ubrany. Noura grzecznie trzyma ręce na kolanach, by pokazać swoje dobre wychowanie, chowa pod welonem skromnie spuszczonej głowę. Ta uległa poza najlepiej ukazuje całą treść życia mojej siostry.

Patrzę na nią wraz z innymi i bardzo jej zazdroszczę. Zawsze zazdrościłam jej tego, że była najstarsza, że wszędzie towarzyszyła naszej matce, podczas gdy ja harowałam z Kainat w stajni. Zazdrościłam, że pierwsza opuszcza rodzinny dom. Każda dziewczyna chciałaby tego dnia być na jej miejscu, w pięknej, białej sukni i przyozdobiona taką ilością złota. Była

piękna. Noura nie miała butów, to moje największe zmartwienie. Według mnie gołe stopy są oznaką nędzy. Na ulicy widywałam czasem idące na targ kobiety z butami na nogach. Może fakt, że mężczyźni zawsze byli obuci, sprawiał, iż buty stały się dla mnie symbolem wolności. Chodzenie boso po żwirze i po różnych kolcach wiecznie raniło mi stopy... Noura miała bose stopy, a Hussein nosił wspaniałe, woskowane buty, które robiły na mnie ogromne wrażenie.

Hussein zbliżył się do mojej siostry. Postawiono dla niego na stole inne krzesło przykryte białym materiałem. Usiadł, podnosi biały welon, a na podwórzu rozległo się głośne *Jujujuju!* Ceremonia się dokonała. Mężczyzna odsłonił twarz tej, która dochowała mu czystości i teraz da mu synów.

Obydwoje pozostali na krzesłach, nieruchomi, przypominający manekiny. Ludzie tańczyli, śpiewali, jedli, ale oni nie ruszali się ze swoich miejsc. Donoszono im jedzenie, pod szyją mieli zawiązane białe serwety, by nie poplamić pięknych ubrań.

Mąż nie dotyka swojej żony, nie całuje jej, nie bierze za rękę. Między nimi nic się nie dzieje, nie ma żadnego gestu wskazującego na jakieś uczucia - miłość czy czułość. Są raczej jakimś obrazem małżeństwa i taki stan trwa długo.

Nic nie wiem o moim szwagrze, ile ma lat, czy ma siostry i braci, gdzie pracuje i gdzie mieszka razem z rodzicami. A przecież pochodzi z tej samej wioski. Nie szuka się żony gdzie indziej! Widzę tego mężczyznę po raz pierwszy. Przedtem nie wiadomo było, czy jest ładny czy brzydki, mały, wysoki, gruby, ślepy, jednoręki, z zajęczą wargą, czy ma uszy, czy też nie, a może ma wielki nos. Hussein jest bardzo pięknym mężczyzną. Nie jest zbyt wysoki, jakieś metr siedemdziesiąt, ma bardzo krótkie, kędzierzawe włosy, ciało dość gibkie. Jego twarz jest smagła, o ciemnej karnacji, wygląda na dobrze odżywionego. Ma bardzo krótki nos, nieco spłaszczony, o szerokich nozdrzach. Wygląda dobrze. Kroczy dumnym krokiem i na pierwszy rzut oka nie sprawia wrażenia kogoś złego czy złośliwego, ale kto wie, może jest odwrotnie. Wyczuwam to, kiedy odzywa się nerwowo.

Aby ogłosić, że uroczystość zbliża się do końca i ludzie mogą wracać do domu, kobiety zaczynają śpiewać, zwracając się bezpośrednio do męża; słowa brzmią mniej więcej tak: „A teraz mnie ochraniaj. Jeśli nie będziesz mnie chronił, to nie jesteś prawdziwym mężczyzną”. A ostatnia piosenka jest obowiązkowa: „Nie wyjdziemy stąd, jeśli teraz nie zatańczysz”. Państwo młodzi muszą zatańczyć, aby zakończyć uroczystość.

Mąż pomaga żonie zejść z podwyższenia - tym razem może jej dotknąć, przecież już do niego należy - i wykonują taniec. Niektórzy młodzi nie tańczą, bo są bardzo nieśmiali. Moja siostra tańczyła ze swym mężem bardzo długo i dla całej wioski było to czymś wspaniałym.

Teraz mąż prowadzi żonę do swojego domu, właśnie zapadła noc. Ojciec Husseina ofiarował mu dom, inaczej jego syn nie byłby mężczyzną. Dom Husseina znajduje się niedaleko domu jego rodziców, w tej samej wiosce. Państwo młodzi idą tam pieszo, sami. Patrzymy, jak się oddalają, i płaczemy. Płacze nawet mój brat. Płaczemy, bo już nas opuściła, płaczemy, bo nie wiemy, co się z nią dalej stanie, jeśli okaże się, że nie zachowała dziewictwa dla swojego męża. Wcale nie jesteśmy spokojni. Trzeba będzie poczekać na chwilę, kiedy mąż wywiesi na balkonie białe prześcieradło zaraz po wschodzie słońca i wszyscy będą mogli stwierdzić obecność dziewiczej krwi. To prześcieradło musi wisieć w widocznym miejscu, by jak najwięcej mieszkańców wioski mogło je obejrzeć. Jeżeli jest tylko dwóch lub trzech świadków, to nie wystarcza. Świadek może być wówczas podważone, nigdy nic nie wiadomo.

Pamiętam, jak wyglądał dom państwa młodych oraz podwórze. Był tam mur zbudowany z kamienia i cementu, który otaczał całą posesję. Stało mnóstwo ludzi i czekało. Nagle na balkon wyszedł mój szwagier z prześcieradłem, na jego widok ludzie zaczęli krzyżeć: *Jujuju!* Mężczyźni gwizdali, kobiety śpiewały, klaskały w dłonie, bo właśnie pokazał prześcieradło. Jest to takie specjalne prześcieradło, które kładzie się na łóżko na tę pierwszą noc. Hussein rozwiesił je teraz na balkonie, po obu bokach przypiął je białymi, plastikowymi szczypczykami do bielizny. Ślub odbywa się w bieli, bielizna jest biała, szczypczyki są białe. Tylko krew jest czerwona.

Hussein pozdrowił ręką tłum i wrócił do pokoju. Zwycięstwo!

Krew barana, krew dziewicy, zawsze tylko krew. Pamiętam dokładnie, jak mój ojciec, Adnan, zabijał barany. Krew spływała do miski, ojciec moczył w niej ścierkę, aby posmarować nią drzwi wejściowe i kafelki. Trzeba było po nich chodzić, żeby przejść przez te drzwi, od góry do dołu pomalowane krwią. Czułam się okropnie, jak chora. Za każdym razem, gdy zabijano jakieś zwierzę, byłam chora ze strachu. Kiedy byłam dzieckiem, zmuszano mnie, jak inne dzieci, do przyglądania się, jak mój ojciec zabija kury, króliki i barany, i byliśmy przekonane, moja siostra i ja, że z łatwością ktoś mógłby skrócić nam kark jak kurze lub wykrwawić nas jak barana. Kiedy oglądałam to po raz pierwszy, byłam tak przerażona, że wtuliłam się w nogi mojej matki, aby tylko nie patrzeć. Jednak matka zmusiła mnie siłą do oglądania. Chciała, żebym widziała, jak ojciec zabija zwierzęta, i abym w ten sposób stała się członkiem rodziny, abym się nie bała. A jednak zawsze mnie to przerażało, bo krew nieodmiennie kojarzyła mi się z ojcem.

Następnego dnia po ślubie jak wszyscy przyglądałam się plamie krwi mojej siostry na białym prześcieradle. Matka płakała, ja też. W takiej chwili zawsze się bardzo płacze, bo

trzeba w ten sposób okazać swoją radość i wyrazić szacunek ojcu, który upilnował dziewictwa swojej córki. Płacze się także z uczucia ulgi, bo Noura zwycięsko przeszła tę wielką próbę. Jediną próbę swojego życia. Teraz pozostało jej tylko udowodnić, że jest w stanie urodzić syna.

Życzę sobie tego samego dla mnie samej, to normalne. Cieszę się bardzo, że siostra wyszła za mąż: potem przyjdzie moja kolej. W tym momencie, co dziwne, nawet nie myślę o Kainat, jakby ta starsza ode mnie o rok siostra w ogóle nie istniała, a przecież to ona powinna wyjść za mąż przede mną!

Opuszczamy podwórko Husseina. Trzeba posprzątać weselne podwórce. To rodzina panny młodej musi wszystko pozmywać, wyczyścić, pozamiatać podwórce, więc jest dużo pracy. Czasem przychodzą z pomocą jakieś sąsiadki, ale to nie jest reguła.

Od chwili zamążpójścia Noura niezbyt często przychodzi do nas do domu, nie ma zresztą powodu, żeby przychodziła, musi się przecież zajmować własną rodziną. A jednak w jakiś czas po ślubie, w każdym razie nie później niż po miesiącu, przychodzi do domu poskarżyć się mamie, płacząc. Ponieważ nie mogłam spytać, co się jej stało, czatowałam u schodów, żeby coś usłyszeć i zrozumieć.

Noura pokazała jej ślady uderzeń. Hussein zbił ją tak mocno, że nawet miała siniaki na twarzy. Zdjęła spodnie, pokazując fioletowe uda, a matka płakała. Musiał ją chyba wlec za włosy po podłodze; mężczyźni często tak robią. Nie usłyszałam jednak, dlaczego Hussein ją zbił. Czasem wystarczy po prostu, że młoda mężatka nie potrafi jeszcze dostatecznie dobrze gotować, zapomni coś posolić albo nie ma sosu, bo zapomniała dolać wody. To w zupełności wystarczy, żeby dostać lanie. Noura skarżyła się matce, bo ojcu nie mogła, gdyż był zbyt gwałtowny i odesłałby ją do męża natychmiast, bez wysłuchania. Matka też jej wcale nie pocieszała, powiedziała tylko: „To twój mąż, to nic takiego, musisz do niego wrócić”.

I Noura wróciła. Tak jak stała, pobita. Wróciła do męża, który korygował jej postępowanie uderzeniami kija.

Nie miała zresztą innego wyboru. Nawet gdyby nas duszono, nie miałyśmy wyboru. Przyglądając się mojej siostrze, mogłam sobie powiedzieć, że małżeństwo służy tylko do tego, żeby być bitym, tak jak przedtem. Ale nawet mając taką perspektywę, myślałam o małżeństwie jak o czymś szczególnym, jak o niczym innym na świecie. Bo to jednak interesujące - to przeznaczenie arabskich kobiet, przynajmniej kobiet z mojej wioski. Akceptują one wszystko w naturalny sposób. Nie przychodzi im do głowy żadna myśl o buncie. Zresztą nie wiedzą nawet, co to jest bunt. Płaczą, kryją się z bólem, kłamią, jeśli trzeba, aby tylko uniknąć razów kija, ale buntować się? Nigdy. Po prostu nie ma innego

wyboru - tylko życie pod opieką ojca lub męża. Kobieta żyjąca samotnie - to nie do pomyślenia.

Hussein nawet nie przyszedł po swoją żonę. Zresztą nie pozostała u nas długo, moja matka zbyt się bała, że będzie chciała wrócić do rodziców! Później, kiedy Noura zaszła w ciążę i wszyscy mieli nadzieję, że to będzie chłopiec, dla rodziny męża, dla Husseina i dla nas stała się prawdziwą księżniczką. Czasem ogarniała mnie zazdrość. Teraz ona była w rodzinie ważniejsza ode mnie. Już przed ślubem o wiele więcej rozmawiała z matką, a potem stały się sobie jeszcze bliższe. Kiedy chodziły razem po siano, zajmowało im to więcej czasu, tak długo ze sobą rozmawiały. Zamykały się w pokoju, za zielonymi drzwiami, dobrze to pamiętam, a ja mogłam tylko przechodzić pod tymi drzwiami. Byłam sama, opuszczona, bo moja siostra była za tymi drzwiami z matką, która ją depilowała. To pomieszczenie służyło również do przechowywania zboża, oliwek i mąki.

Nie wiem, dlaczego te zielone drzwi tak brutalnie wryły się w moją pamięć. Często przez nie przechodziłam, z torbami, prawie codziennie. Za tymi drzwiami wydarzyło się coś niepokojącego, ale co to mogło być? Myślę, że schowałam się tam, między workami, ze strachu. Widzę się tam jak małą małą przycupniętą na kolanach w zupełnej ciemności. W tym pomieszczeniu nie było zbyt wiele światła. Więc ukrywam się tam z czołem przytulonym do ziemi. Kafelki były brązowe, takie małe, brązowe kafelki. Fugi między nimi mój ojciec pomalował na białe.

Bardzo się czegoś boję. Widzę matkę z workiem na głowie. To ojciec wsadził jej głowę w ten worek. Czy to było tam, czy może w innym miejscu? Czy miał zamiar ją ukarać? Chciał ją udusić? Nie mogę krzyczeć. Bądź co bądź on jest moim ojcem, mocno ścisną worek z tyłu głowy matki, widzę jej profil, rysujący się pod materiałem nos. Ojciec trzymając za włosy jedną ręką, drugą ręką przytrzymuje worek.

Matka jest ubrana na czarno. Czy coś się wydarzyło kilka godzin wcześniej? Ale co? Siostra przyszła do domu, bo jej mąż ją zbił. Mama jej wysłuchiwała; czy matka nie może uznać się nad swoją córką? Nie może płakać, nie może próbować obronić jej przed własnym ojcem?

Wydaje mi się, że moje wspomnienia wiążą się w jakiś sposób z tymi zielonymi drzwiami. Wizyta mojej siostry i ja ukryta między workami ze zbożem, matka duszona przez ojca pustym workiem. Musiałam tam wejść, żeby się schować. Chowanie się było dla mnie czymś prawie codziennym. W stajni, w pokoju albo w stojącej w korytarzu szafie, gdzie suszyły się baranie skóry, zanim trafiły do sprzedaży. Wisiały w tej szafie jak na targu, chowałam się między nimi, choćbym miała się udusić, aby tylko nie dać się złapać. Natomiast rzadko chowałam się między workami, bałam się, że mogą wypełznąć stamtąd węże. Skoro

się więc tam schowałam, to musiałam się bać także o własną skórę. A może to był dzień, kiedy ojciec również mnie dusił baranią skórą w pokoju na piętrze.

Chce, żebym wyznała mu prawdę, żebym powiedziała, czy mama go zdradza, czy nie. Wziął worek i złożył go na pół. A potem wcisnął mu go na głowę. Wolę umrzeć, niż zdradzić moją matkę. Nawet jeśli widziałam ją na własne oczy z obcym mężczyzną. Jeśli powiem mu prawdę, zabije nas obie. Nawet z nożem na gardle nie mogę niczego powiedzieć. Mam trudności z oddychaniem. Zabije mnie czy zdołam się wymknąć? Pamiętam, że zbiegam na dół, za te zielone drzwi, między nieprzebrane ilości ogromnych worków, które wyglądają niczym potwory. Zawsze bardzo się bałam tego ciemnego pomieszczenia. Wyobrażałam sobie, że ojciec w ciągu dnia wysypywał z worków zboże, a nocą wkładał do nich węże!

Oto jak porozrywane kawałki mojego poprzedniego życia próbują znaleźć swoje miejsce w mojej pamięci. Zielone drzwi, worek, ojciec duszący matkę, a także mnie, chcąc wymusić na mnie wyznanie prawdy, mój strach w ciemności i węże.

Nie tak dawno temu wkładałam śmieci do wielkiego, plastikowego worka i mały kawałek papieru z jakiegoś opakowania pozostał przyklejony na górze. A potem powolutku opadł na dół worka, wydając dziwny dźwięk. Podskoczyłam, jakby nagle z worka miał wypełznąć wąż. Zaczęłam się trząść i rozpłakałam się jak małe dziecko.

Mój ojciec umiał zabijać węże. Miał specjalną laskę z dwoma hakami na końcu. Blokował węża między tymi dwoma hakami i bestia nie mogła się ruszać. A potem zabijał ją kijem. A skoro był zdolny unieruchomić węża, by go zabić, tym samym mógł włożyć go do pustego worka po to, by mnie ukąsił, kiedy zanurzałam rękę, żeby nabrać mąki. A więc dlatego bałam się panicznie zielonych drzwi, które jednocześnie bardzo mnie intrygowały, bo moja siostra i matka depilowały się w tym pomieszczeniu, a ja nie mogłam w tym uczestniczyć. Bo nadal nikt nie przyszedł prosić o moją rękę.

Chociaż coś działo się w tej sprawie, dotarło to coś do moich uszu, kiedy miałam jakieś dwanaście, może trzynaście lat. Jakaś rodzina przyszła do nas, by porozmawiać o mnie z rodzicami, dosyć nieoficjalnie. Gdzieś na wsi szykowano dla mnie męża. Trzeba było tylko czekać. Kainat powinna wyjść za mąż przede mną.

ASSAD

Nie byłam jedyną, która biegła do niego, kiedy koń się potknął, a on upadł na ziemię. Zawsze mam przed oczami obraz mojego brata: miał na sobie zieloną koszulę w kolorowe wzory, która powiewała za nim na wietrze. Wspaniale wyglądał na koniu. Zawsze bardzo kochałam mojego brata, tak bardzo, że ten obraz nigdy mnie nie opuścił.

Wydaje mi się, że stałam się dla niego jeszcze miłsza po zniknięciu Hanan. Leżałam mu u stóp. Nie odczuwałam przed nim lęku, nie bałam się, że zrobi mi jakąś krzywdę... Może dlatego, że byłam od niego starsza? Że byliśmy sobie bliscy? Chociaż przecież bił nas, kiedy ojca nie było w domu. A nawet zaatakował matkę, choć zdarzyło się to tylko raz. Kłócili się, a on w pewnym momencie chwycił ją za włosy, pociągnął po podłodze, a ona płakała. Widzę ich wyraźnie, chociaż nie pamiętam, o co w tej kłótni poszło i od czego się zaczęła. Ciągle mam duże problemy z uszeregowaniem poszczególnych obrazów i zrozumieniem ich znaczenia. Zupełnie jakby moja palestyńska pamięć rozsypała się na małe kawałki w tym nowym życiu, które musiałam sobie zbudować w Europie.

Moje uczucia do brata trudno dzisiaj zrozumieć, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę to, co zrobił; ale kiedy przerażenie minęło, pewnie nie uświadamiałam sobie tak do końca, że Hanan nie żyje. To dzisiaj, kiedy ta scena pojawiła się nagle w mojej pamięci, nie mogę już myśleć o niczym innym. Kiedy staram się pozbierać te kawałki w jakąś całość, próbuję myśleć logicznie i ustalić chronologię. Z jednej strony rodziców nie było wtedy w domu, tak więc za każdym razem, kiedy miał się rozegrać dramat, to znaczy gdy rodzina skazywała kobietę na śmierć, osoba mająca wykonać wyrok zostawała w domu sama z ofiarą. Potem już nigdy nie zobaczyłam Hanan. Nigdy. Tego wieczora Assad zachowywał się jak szalony, był wściekły, upokorzony odsunięciem go od porodu żony, upokorzony przez teściów. Czy wiadomość o śmierci tak oczekiwanego dziecka przyszła za pośrednictwem telefonu? Czy Hanan niewłaściwie się do niego odezwała? Nie wiem. Przemoc wobec kobiet w mojej rodzinie, jak i całej wiosce, była czymś codziennym i tak normalnym! A jednak tak kochałam Assada. Im bardziej nienawidził go ojciec, tym bardziej ubóstwiałam jedyne brata.

Pamiętam jego ślub jak nadzwyczajne święto. To najprawdopodobniej jedyne wspomnienie prawdziwej radości i szczęścia w całej mojej naznaczonej obłędem przeszłości. Musiałam mieć już z osiemnaście lat i byłam stara. Odmówiłam nawet uczestnictwa w innym ślubie, bo dziewczyny kpiły sobie ze mnie w żywe oczy. Robiły złośliwe uwagi, rozdzielały szturchańce i chichotały. A ja ciągle płakałam. Czasem wstydziłam się wyjść ze stadem,

bałam się cudzych spojrzeń. Nie byłam lepsza od sąsiadki z plamką na oku, która była samotna, bo nikt jej nie chciał. Matka pozwoliła mi nie iść na ślub pewnej sąsiadki, rozumiejąc moją rozpacz. To wtedy ośmieliłam się powiedzieć do ojca: „To wszystko twoja wina! Pozwól mi wyjść za mąż!” Ale on nie chciał się zgodzić, zdzielił mnie pięścią po głowie: „Twoja siostra musi wyjść za mąż przed tobą! Wynoś się!” Powiedziałam to do niego tylko raz, już nigdy więcej.

Ale z okazji ślubu mojego brata cała rodzina była szczęśliwa, a ja chyba najbardziej. Narzeczoną miała na imię Fatma i nie mogę zrozumieć, dlaczego pochodziła z „cudzoziemskiej” rodziny, to znaczy z innej wioski. Czyżby wokół nas nie było żadnej rodziny z córką na wydaniu? Ojciec wynajął autokary, aby cała wieś mogła pojechać na ślub. Jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet, ten z mężczyznami jechał przodem, jakżeby inaczej.

Jechaliśmy przez góry i za każdym razem, kiedy autokar wychodził z zakrętu, kobiety krzyczały *Jujujuju!*, by podziękować Bogu, że nie wrzucił nas do wąwozu. Droga była naprawdę niebezpieczna. Krajobraz przypominał pustynię, a droga nie została wysypana żwirem. Była to tylko zeschnięta, czarna ziemia, a z kół jadącego przed nami autokaru mężczyźni sypały się na nas tumany kurzu. Ale wszyscy tańczyli. Między kolanami trzymałam bębenek i wybijałam rytm do taktu śpiewającym kobietom. Sama także tańczyłam, z szalem, byłam w tym bardzo zręczna. Wszyscy tańczyli, wszyscy byli radośni, poza jedną osobą - kierowcą!

Ślub brata to o wiele większe święto niż zamążpójście siostry. Żona Assada była młoda, ładna, malutka i bardzo śniada. Nie była już dzieckiem, osiągnęła mniej więcej ten sam wiek co mój brat. W naszej wiosce ludzie kpili sobie nieco z moich rodziców, bo Assad był „zmuszony” ożenić się z dojrzałą panną, a w dodatku nieznaną. Powinien wziąć sobie za żonę jakąś młodszą dziewczynę; nie było normalne żenić się z dziewczyną w tym samym wieku! I po co w ogóle szukać takiej w innej wiosce? Fatma to była bardzo ładna dziewczyna i pochodziła ze szczęśliwej rodziny, bo miała wielu braci. Mój ojciec wydał na nią dużo złota. Pamiętam, że miała na sobie dużo biżuterii.

Uroczystości zaślubin trwały pełne trzy dni, wśród tańców i ogólnej radości. I pamiętani, że w drodze powrotnej kierowca zatrzymał autokar na drodze i jeszcze tańczyliśmy. Widzę siebie z szalem i tamburynem, serce przepełnione mam radością, jestem dumna z Assada. Jest dla nas bogiem i nadal dziwi mnie, że moja miłość do niego wcale nie chce odejść. Jest jedyną osobą, której nie mogłabym zdradzić, chociaż mnie bił, chociaż zbił swoją żonę, chociaż stał się mordercą.

Dla mnie pozostaje zawsze jako Assad *ahouia*. Assad - mój brat. Assad *ahouia*. Dzień dobry, mój bracie, Assadzie. Nigdy nie szłam do pracy, zanim nie powiedziałam mu: „Dzień dobry, bracie Assadzie!” Zupełna dewocja. Kiedy byliśmy dziećmi, dzieliliśmy się między sobą wieloma rzeczami. Teraz, kiedy się ożenił i mieszka u nas ze swoją żoną, nadal mu usługuję. Kiedy brakuje ciepłej wody na jego kąpiel, natychmiast mu ją grzeję, szoruję wannę, piorę i układam jego bieliznę. Jeśli trzeba, reperuję ją przed położeniem na miejsce.

Tak naprawdę nie powinnam go kochać i usługiwać mu z taką miłością. Bo był taki jak inni mężczyźni. Wkrótce po ślubie Fatma dostała solidne lanie i naraziła go na wstyd, wracając do swoich rodziców. I, wbrew wszelkim obyczajom, jej matka i ojciec nie odesłali jej na siłę do męża jeszcze tego samego dnia. Może byli bogatsi, bardziej cywilizowani niż my, a może, ponieważ była ich jedyną córką, bardziej ją kochali; sama nie wiem. Sądzę, że niesnaski między moim ojcem a Assadem zaczęły się z tego właśnie powodu. To mój brat chciał sobie wziąć za żonę tę kobietę z innej wioski, zmusił ojca do wyłożenia dużej ilości złota, a rezultatem tego wszystkiego stało się to, że ta kobieta miała poronienie, zamiast urodzić mu syna, a w dodatku narobiła wstydu całej naszej rodzinie, bo ze szpitala wróciła do rodzinnego domu! Oczywiście nie uczestniczyłam w rodzinnych zebraniach, nie mam więc żadnej pewności, czy moje dzisiejsze rozumowanie jest prawidłowe, ale doskonale pamiętam mojego ojca na tarasie, z koszykiem niedużych kamieni, które ciskał, jeden po drugim, na głowę Assada. I tę szafę, którą brat zablokował drzwi do swojego pokoju, aby ojciec nie mógł wejść. Assad wolałby może mieć dom dla siebie samego, dlatego zachowywał się tak, jakby wszystko należało wyłącznie do niego. Myślę, że ojciec nie chciał, by teraz Assad miał władzę w domu. I pozbawił ojca autorytetu i pieniędzy.

Ojciec często mówił do niego: „Jesteś jeszcze dzieckiem!” Assad buntował się tym bardziej, że był bardzo pewny siebie i był przez nas za bardzo rozpieszczony. W domu traktowano go jak księcia. U nas nie można mówić do mężczyzny, że jest dzieckiem, to bardzo wielka hańba! Dlatego krzyczał: „Jestem u siebie!” Ojciec nie mógł tego znieść. W wiosce ludzie zastanawiali się, jaką głupotę popełniła Fatma, dlaczego tak często jeździła do swojego ojca? A może widziano ją z innym mężczyzną? Szybko rozprzestrzeniły się jakieś plotki. Mówiono o niej paskudne rzeczy, choć niezgodne z prawdą, to była bardzo miła dziewczyna. Na nieszczęście, jeśli ktoś raz powie: „Ona jest zła”, to staje się taka zła dla całej wioski i wszyscy patrzą na nią złym okiem.

Matka była nieszczęśliwa z tego powodu. Próbowwała czasem powstrzymać ojca, gdy zaczynał czepiać się Assada:

- Dlaczego to robisz? Zostaw go w spokoju!

- Mam ochotę go zabić! Jeśli spróbujesz go bronić, tobie też się dostanie!

Widziałam Fatmę leżącą na podłodze, kiedy mój brat kopał ją w plecy. Któregoś dnia miała bardzo zaczerwienione oko, a całą twarz pokrytą niebieskimi sińcami. Nie mogliśmy jednak nic powiedzieć ani zrobić. Przed brutalnością ojca i brata można było się jedynie gdzieś ukryć, by samemu nie narazić się na ciosy.

Czy mój brat kochał swoją żonę? W odniesieniu do tego miłość jest dla mnie tajemnicą. U nas mówi się o małżeństwie, nie o miłości.

O posłuszeństwie i absolutnej podległości, nie o związkach uczuciowych między mężczyzną i kobietą. Tylko o obowiązkowym związku seksualnym dziewicy sprzedawanej przyszłemu mężowi. W innym przypadku czeka ją zapomnienie albo śmierć. Więc gdzie w tym wszystkim miejsce na miłość?

A przecież pamiętam pewną kobietę z wioski, tę, która mieszkała z mężem i dziećmi w najpiękniejszym domu. Znani byli z luksusu, jaki panował w ich domu, i ze swego bogactwa. Dzieci chodziły do szkoły. To była duża rodzina, bo małżeństwa zawierali zawsze wśród kuzynów. Wszędzie były u nich kafelki. Nawet droga przed domem była nimi wyłożona. W innych domach były kamyki lub piasek, czasami smoła. A u nich była śliczna aleja pomiędzy drzewami. Zatrudniano człowieka, który zajmował się ogrodem i podwórzem ogrodzonym siatką z kutego żelaza, które błyszczało jak złoto. Ten dom widać było z daleka. Bo u nas uwielbia się wszystko to, co się błyszczy. Jeśli mężczyzna ma złoty ząb, to dopiero musi być bogaty! A kiedy jest się bogatym, należy to pokazać. Ten dom był nowoczesny i całkiem nowy, z zewnątrz prezentował się wspaniale. Zawsze przed nim stały zaparkowane dwa lub trzy samochody. Oczywiście nigdy nie weszłam do środka, ale kiedy przechodziłam obok z baranami, marzyło mi się, żeby go obejrzeć. Właściciel nazywał się Hassan. Był to bardzo wysoki mężczyzna, bardzo śniady i bardzo elegancki. Byli do siebie bardzo przywiązani, on i jego żona, zawsze i wszędzie widywano ich razem. Była w ciąży z bliźniakami, wkrótce miała urodzić. Na nieszczęście z porodem poszło coś nie tak, bliźniaki przeżyły, ale kobieta umarła. Pokój jej duszy, była taka młoda! To był jedyny pogrzeb, jaki widziałam w wiosce. Byłam wzruszona i wstrząśnięta tym, co zobaczyłam: cała rodzina zmarłej krzyczała i płakała, stojąc przy noszach, na których spoczywało ciało, a mąż płakał najbardziej ze wszystkich. Szedł za tym ciałem i z rozpaczy rwał na sobie białą, tradycyjną koszulę. A jego teściowa też rwała swoją suknię. W pewnym momencie dostrzegłam nagie piersi tej starszej kobiety, opadały jej na brzuch pomiędzy kawałkami rozdartej tkaniny. Nigdy przedtem nie widziałam podobnej rozpaczy. Kobieta, którą chowano, była naprawdę kochana, jej śmierć zasmuciła całą rodzinę, a nawet całą wioskę.

Czy brałam udział w tym pogrzebie, czy może obserwowałam wszystko z tarasu? Chyba raczej z tarasu, bo byłam zbyt młoda. Pamiętam w każdym razie, że także płakałam. Na pogrzebie było mnóstwo ludzi. Powoli szli przez wieś. I ten mężczyzna, który wykrzykiwał swój ból i rwał na sobie koszulę z rozpacz - nigdy go nie zapomnę. Był taki piękny, z tym krzykiem miłości do żony.

Ten mężczyzna miał bardzo dużo godności i wyglądał naprawdę imponująco.

Rodzice mojej matki i wujek mieszkali w tej samej wiosce. Mój dziadek, Mounther, też zawsze był bardzo zadbany. Był bardzo wysoki jak jego syn, starannie ogolony, wyglądał zawsze elegancko, nawet jeśli nosił tradycyjny strój. W rękę nieodmiennie trzymał swój „różaniec” i liczył perełki, jedną po drugiej, przesuwając je między długimi palcami. Czasem przychodził wypalić fajkę z moim ojcem, wyglądało na to, że dobrze się rozumieją. Ale pewnego dnia moja matka opuściła dom i poszła spać do swoich rodziców, tak mocno zbił ją nasz ojciec. Zostawiła nas samych w domu. Bo u nas tak jest, kobieta nie może zabrać dzieci ze sobą. Czy to chłopcy, czy dziewczynki, muszą pozostać z ojcem. Im stawałam się starsza, im więcej ojciec ją bił, tym częściej chodziła do rodziców. A dziadek Mounther przyprowadzał ją siłą z powrotem. Czasem nie było jej w domu przez tydzień, czasem tylko dzień albo jedną noc. Kiedyś wyprowadziła się prawie na miesiąc, a dziadek nie chciał w ogóle rozmawiać z moim ojcem.

Myślę, że gdyby matka umarła, nigdy nie miałyby takiego pogrzebu jak ta kobieta, a mój ojciec nie krzyczałby i nie płakał, rozrywając na sobie koszulę jak pan Hassan. Ojciec nie kochał matki.

Musiałam być przekonana, że u nas miłość w ogóle nie istnieje, a w każdym razie nie ma jej w moim domu. Tak więc do kochania miałam jedynie brata, pomimo jego gwałtowności, a nawet szaleństwa. Moje siostry też go kochały. Noura już z nami nie mieszkała, ale Kainat postępowała jak ja: chroniła go i wpadała w zachwyty, kiedy wsiadał na konia.

Poza moimi małymi siostrami, za małymi, żeby marzyć o małżeństwie, byłyśmy w domu tylko my dwie. Dwie stare panny. Jeśli chodzi o Kainat, odnosiłam wrażenie, że pogodziła się z losem. Nie była brzydka, lecz... niezbyt ładna i rzadko się uśmiechała. Kainat była inna niż ja. Byłyśmy dwiema wieśniaczkami, może źle ubranymi, źle uczesanyymi... Ale ja byłam nieduża i szczupła, a ona dość korpulentna, z o wiele za dużym biustem. U nas mężczyźni lubią, gdy kobieta ma trochę ciała, ale nie akceptują aż tak dużego biustu. Kainat nie mogła się podobać i z tego powodu chodziła smutna. Nie mogła nic zrobić, by wydać się ładniejszą.

Robiła się coraz grubsza, chociaż jadła dokładnie to samo co ja. To naprawdę nie była jej wina. Prawdę mówiąc, żadna z nas nie miała możliwości, by choć trochę się upiększyć; byliśmy takie, jak nas Bóg stworzył. Bo niby jak miałyśmy to zrobić? O ładnych sukienkach nie było mowy, chodziłyśmy ciągle w tych samych białych lub szarych spodniach, nie robiłyśmy makijażu, nie nosiłyśmy biżuterii. No i byłyśmy zamknięte jak stare kury, przemykałyśmy się pod murami, licząc własne kroki, z opuszczonymi głowami, oczywiście ze stadem baranów.

O ile Kainat straciła już wszelką nadzieję i zamykała mi drogę do zamażpójścia, o tyle jednak wiedziałam dobrze, że przynajmniej jeden mężczyzna ubiegał się o moją rękę. Matka powiedziała mi: „Ojciec Faieza przyszedł do nas i prosił o ciebie dla swojego syna. Ale teraz nie możemy rozmawiać o twoim ślubie, trzeba poczekać na twoją siostrę”.

Od tamtej pory wyobrażam sobie, że on czeka na mnie i niecierpliwie się odmową mojego ojca.

Mój brat Assad go zna. Faiez mieszka naprzeciwko naszego domu, po drugiej stronie drogi. To nie są wieśniacy jak my, bo nie widać, żeby dużo pracowali w ogrodzie. Jego rodzice mają trzy zameżne córki, teraz w domu pozostał tylko on i powinien się ożenić. W domu nie ma już dziewczyn, dlatego posesja nie jest ogrodzona murem, tylko ładnym płotem, a furka nigdy nie jest zamknięta na klucz. Ściany domu są różowe i zawsze stoi tam szary samochód.

Faiez pracuje w mieście. Nie wiem, co tam robi, ale wyobrażam sobie, że jest zatrudniony w biurze jak mój wujek. W każdym razie wygląda o wiele lepiej niż Hussein, mąż mojej najstarszej siostry. Mój szwagier nosi zawsze ubranie robotnika, niezbyt czyste, i do tego brzydko pachnie.

Faiez - to elegancja, piękny samochód dla czterech osób, którym co rano odjeżdża do miasta.

Tak więc zaczęłam śledzić jego samochód, żeby go zobaczyć. Najlepszym punktem obserwacyjnym jest taras, na którym trzępię dywany z baranich skór, zbieram winogrona lub rozwieszam bieliznę. Postępując bardzo ostrożnie, często mogłam znaleźć sobie jakieś zajęcie na tym tarasie.

Na początku zorientowałam się, że parkuje samochód zawsze w tym samym miejscu, kilka kroków od bramy. Ponieważ nie mogłam pozostawać zbyt długo na tarasie, upłynęło wiele dni, zanim się dowiedziałam, że wychodzi do pracy każdego ranka około siódmej, a więc w porze, kiedy trudno było mi znaleźć jakiś pretekst do przebywania na górze.

Kiedy ujrzałam go po raz pierwszy, miałam naprawdę szczęście. Błyskawicznie uwinęłam się ze sprzątaniami stajni i niosłam dobrze wysuszone siano dla chorej owieczki, która wkrótce miała się kocić. Byłam z tym sianem o dwa, trzy kroki od furtki, kiedy wyszedł z domu. Był tak elegancki jak mój wujek, w garniturze, w czarno - beżowych butach wiązanych na sznurowadła, z teczką w ręku. Miał kruczoczarne włosy i bardzo śniadą cerę. I wdzięczną, dumną postawę.

Spuściłam głowę, wsadzając nos w siano. Słuchałam odgłosu jego kroków aż do samochodu, odgłosu zamykanych drzwi, dźwięku silnika i sunących po żwirze opon. Dopiero gdy auto odjechało spory kawałek i wiedziałam, że już go nie widać, ośmieliłam się podnieść głowę; serce mocno waliło mi w piersi, a nogi drżały. Powiedziałam sobie: „Chcę tego mężczyznę na męża, kocham go. Chcę go, chcę go...”

Ale jak to zrobić? Jak go ubłagać, by on z kolei ubłagał mojego ojca, żeby się zgodził na ślub? Przede wszystkim - jak z nim porozmawiać? Dziewczyna nie może odezwać się do mężczyzny nawet jednym słowem. Ani nawet spojrzeć mu w twarz. To rzecz niedopuszczalna, i jeśli nawet chłopak chce się ze mną ożenić, to nie on o tym decyduje. To mój ojciec, zawsze on, a ten zabiłby mnie, gdyby się dowiedział, że przez długą minutę wlokłam się po drodze z wiązką siana po to, by Faiez zwrócił na mnie uwagę.

Nie spodziewałam się czegoś nadzwyczajnego tamtego dnia, chciałam po prostu, żeby mnie zobaczył, żeby zrozumiał, iż ja także trwałam w oczekiwaniu. Tak więc postanowiłam uczynić wszystko, co możliwe, by móc się z nim jakoś potajemnie spotkać i porozmawiać. Nawet ryzykując śmierć przez ukamienowanie lub od uderzeń kija. Nie chciałam już dłużej czekać, całe miesiące, a może lata, że Kainat opuści w końcu dom, to było zbyt niesprawiedliwe. Nie chciałam bardziej się zestarzeć i stać się pośmiewiskiem całej wsi. Nie chciałam tracić resztek nadziei, że wyjdę wreszcie z tego domu z jakimś mężczyzną, że wyzwolę się od brutalności mojego ojca.

Codziennie rano i wieczorem będę tkwić na tarasie, czatować na ukochanego aż do chwili, gdy podniesie w górę oczy i da mi jakiś znak. Uśmiech. Bo jeśli tego nie zrobię, to jestem pewna, że poprosi o rękę innej dziewczyny w wiosce albo gdzie indziej. A potem, pewnego dnia, zamiast siebie, zobaczę inną kobietę wsiadającą do tego samochodu.

Kobietę, która ukradnie mi Faieza.

SEKRET

Zdaję sobie sprawę, że ryzykuję życie, snując opowieść o tej miłosnej intrydze, która rozpoczęła się prawie dwadzieścia pięć lat temu w mojej rodzinnej wiosce w Cisjordanii. Wiosce tak maleńkiej, położonej na terytorium okupowanym przez Izrael; nazwy tej miejscowości nie mogę wymienić. Nie mogę, bo nadal ryzykuję życie, mimo że znajduję się tysiące kilometrów od tamtego miejsca. Tam, w wiosce, oficjalnie jestem martwa, już od dawna zapomniano o moim istnieniu, ale gdybym tam dzisiaj wróciła, zabito by mnie po raz drugi dla ratowania honoru mojej rodziny. Takie jest prawo zwyczajowe.

Czatuując na tarasie rodzinnego domu na pojawienie się mężczyzny, w którym się zakochałam, jestem młodą dziewczyną ryzykującą życie. A jednak mogę myśleć tylko o jednej rzeczy: o małżeństwie.

Jest wiosna. Nie umiem powiedzieć, jaki to był miesiąc, prawdopodobnie kwiecień. W mojej wiosce nie liczy się miesiące w taki sposób jak w Europie. Nie zna się prawdziwej, dokładnej daty urodzin ojca czy matki, nie zna się daty swoich własnych urodzin. Czas oblicza się według ramadanu, okresu żniw lub zbioru fig. W ciągu dnia kierujemy się słońcem, bo dzień pracy zaczyna się i kończy razem ze wschodem i zachodem.

Sądzę więc, że mam około siedemnastu lat, dopiero później się dowiem z papierów, że miałam dziewiętnaście. Ale nic wtedy nie wiem o istnieniu takich papierów ani w jaki sposób zostały sporządzone. Jest bardzo prawdopodobne, że moja matka pomyliła daty urodzin swoich dwóch córek w momencie, kiedy zaszła potrzeba nadania mi urzędowego, oficjalnego istnienia. Jestem dojrzała od czasu pojawienia się u mnie pierwszej menstruacji, gotowa do zamążpójścia od trzech czy czterech ramadanów. Prawdziwą kobietą stanę się w dniu ślubu. Moja matka jest jeszcze młoda, ale już wygląda staro, ojciec jest sporo starszy, bo nie ma już zbyt wielu zębów.

Faiez z pewnością jest ode mnie starszy, ale to bardzo dobrze. Oczekuję od niego, że da mi poczucie bezpieczeństwa. Mój brat As - sad ożenił się zbyt młodo z dziewczyną w tym samym wieku i jeśli nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności nie urodzi mu synów, będzie musiał pewnego dnia poszukać sobie innej żony.

Słyszę kroki Faieza na żwirze. Trzepię dywan z baraniej skóry na balustradzie tarasu, a on podnosi oczy. Obserwuje mnie i wiem, że zrozumiał. Żadnego znaku, oczywiście żadnego słowa, po prostu wsiada do samochodu i odjeżdża. Moje pierwsze „spotkanie” trwa tyle co zjedzenie oliwki, a wrażenie pozostało niezapomniane.

Następnego dnia rano, jeszcze bardziej zuchwała, udaje, że staram się złapać kozę, żeby tylko znaleźć się przed jego domem. Faiez uśmiecha się do mnie, a ponieważ nie odjeżdża od razu, wiem, że daje mi do zrozumienia, żebym poszła ze stadem na łąki. Rano jest znacznie chłodniej niż w ciągu dnia, co daje mi pretekst do włożenia marynarki z czerwonej wełny, mojego jedyne nowego ubrania zapiętego na guziki od pępka po szyję, w którym mogę wydać się ładniejsza. Gdybym mogła zatańczyć pośrodku stada baranów, z pewnością bym to zrobiła. Moje drugie spotkanie trwa o wiele dłużej, bo kiedy się dyskretnie oglądam w kierunku wsi, widzę, że samochód jeszcze nie odjechał.

Nie mogę się dalej posunąć w dawaniu znaków. Teraz to on musi pomyśleć, w jaki sposób będzie mógł ze mną w tajemnicy porozmawiać. Wie, dokąd idę i o jakiej porze.

Następnego dnia matki nie ma w domu, pojechała z ojcem do miasta, brat jest ze swoją żoną, a Kainat zajmuje się stajnią i młodszymi siostrami. Tak więc tylko ja mogę iść po trawę dla królików. Jakiś kwadrans później Faiez jest już na miejscu, przede mną. Poszedł dyskretnie za mną, pozdrawia mnie. Ta jego nagła obecność doprowadza mnie do szaleństwa. Rozglądam się wokół siebie, boję się, czy od strony wsi nie nadejdzie mój brat lub jakaś sąsiadka. Nikogo nie ma, ale pomimo to kryję się za dość wysokim zboczem na skraju drogi. Faiez idzie tam za mną. Bardzo się wstydzę, patrzę na stopy, skubię guziki marynarki, nie wiem, co powiedzieć.

On przybiera zarozumiałą pozę i zaczyna mnie przepytować:

- Dlaczego nie wychodzisz za mąż?
- Muszę znaleźć odpowiedniego mężczyznę i moja siostra musi wyjść za mąż.
- Ojciec ci powiedział?
- Dawno temu ojciec mi powiedział, że twój ojciec przyszedł do niego.
- Dobrze ci się mieszka w twoim domu?
- On mnie zbije, jeśli mnie z tobą zobaczy.
- Chcesz, żebyśmy wzięli ślub?
- Ale moja siostra musi wyjść za mąż przede mną...
- Boisz się?
- Tak, boję się. Mój ojciec jest bardzo zły. Dla ciebie to też niebezpieczne. Ojciec może mnie zbić, ciebie zresztą też.

Siedzi spokojnie u stóp zbocza, podczas kiedy ja szybko zbieram trawę. Wygląda, jakby na mnie czekał, a przecież bardzo dobrze wie, że nie może wrócić do wioski razem ze mną.

- Zostaniesz tutaj, a ja wrócę sama.

I idę szybko, żeby wrócić do domu, jestem z siebie bardzo dumna. Chcę, żeby odniósł dobre wrażenie, by zobaczył, że jestem grzeczną dziewczyną. Muszę bardzo dbać o moją reputację w jego oczach, bo przecież to ja zrobiłam ten pierwszy krok.

Chyba jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa. Być z nim tak blisko, nawet przez te kilka minut, to było coś cudownego. Czuję to w całym moim ciele, choć w tym momencie nie umiałabym jasno określić, co się ze mną dzieje. Jestem za bardzo naiwna, nie otrzymałam więcej nauki niż zwykła koza, ale uczucie, które mnie ogarnia, jest naprawdę cudowne, bo jest wyzwoleniem mojego serca, a także ciała. Po raz pierwszy w moim życiu stałam się kimś, bo to ja sama zdecydowałam, by zrobić to, co zrobiłam. Jestem istotą żyjącą. Nie słucham się ojca ani nikogo innego. Nawet wręcz przeciwnie - stałam się nieposłuszna.

Moja pamięć dość dobrze zachowała tę chwilę i te, które po niej nastąpiły. Przedtem jakbym w ogóle nie istniała. Nie widzę siebie, prawie nie wiem, jak wyglądam, czy jestem ładna, czy nie. Nie mam świadomości bycia istotą ludzką, która myśli i ma jakieś uczucia. Znam strach, pragnienie, kiedy jest gorąco, cierpienie i poniżenie, kiedy jestem przywiązana jak zwierzę w stajni i bita tak, że już nie czuje własnych pleców. Przerażenie, że mogę zostać uduszona albo wrzucona do studni. Zniosłam przecież bez sprzeciwu, uległe, tyle razy. Mój ojciec wprawdzie nie biega tak szybko jak my, zawsze jednak znajdzie sposób, żeby nas w końcu złapać. To dla niego takie łatwe, tłuc moją głowę o brzeg wanny tylko dlatego, że rozlałam wodę. To takie łatwe, walić mnie laską po nogach, bo za późno przyniosłam herbatę. Człowiek nie zastanawia się nad sobą, kiedy żyje w ten sposób. Moje pierwsze prawdziwe spotkanie z Faiezem, na porośniętym zbożem polu, po raz pierwszy w życiu uświadamia mi, kim naprawdę jestem. Kobieta, niecierpliwie wyczekującą spotkania z nim, kobietą, która go kocha i jest gotowa go poślubić za wszelką cenę.

Następnego dnia, na tej samej drodze, on czeka, aż znowu pójde na pole, gdzie będzie się mógł ze mną spotkać.

- Czy przyglądasz się innym chłopakom tak samo jak mnie?
- Nie. Nigdy.
- Chcesz, żebym porozmawiał z twoim ojcem o ślubie?

Chciałabym ucałować mu stopy za te słowa. Chciałam, żeby poszedł już teraz, by w tej minucie pobiegł oznajmić swojemu ojcu, że on, Faiez, nie chce już dłużej czekać, że chce poprosić moją rodzinę, przynieść dla mnie złoto i biżuterię, przygotować uroczystość.

- Dam ci znak następnym razem, ale nie zakładaj na nasze spotkanie tej czerwonej marynarki, za bardzo rzuca się w oczy, to niebezpieczne.

Dni mijają, słońce wschodzi i zachodzi, codziennie rano wypatruję znaku, czatując na tarasie. Teraz jestem pewna, że się we mnie zakochał. Nie przyszedł na nasze ostatnie spotkanie. Czekałam długo, ponad kwadrans, ryzykując, że wrócę za późno do domu i ojciec mnie dopadnie. Byłam niespokojna i nieszczęśliwa, ale następnym razem - przyszedł. Widziałam go z daleka, jak idzie drogą, dał mi znak, żebym schowała się głęboko w polu, za wzniesieniem, gdzie nikt nie mógłby nas zobaczyć, bo rosło tam mnóstwo wysokiej trawy.

- Dlaczego nie przyszedłeś?

- Przyszedłem, ale schowałem się trochę dalej, chciałem zobaczyć, czy nie spotykasz się z nikim innym.

- Nie patrzę na nikogo innego.

- Ale chłopcy gwizdzą, kiedy przechodzisz.

- Moje oczy nie patrzą ani na prawo, ani na lewo. Jestem skromna.

- Teraz wiem. Widziałem się z twoim ojcem. Niedługo weźmiemy ślub.

Zrobił to, poszedł zobaczyć się z moim ojcem po naszym ostatnim spotkaniu. I nawet jeśli data nie była jeszcze ustalona, to zanim ten rok dobiegnie końca, będę już mężatką.

Tego dnia jest ładnie i ciepło, figi jeszcze nie dojrzały, ale jestem pewna, że nie będę czekać na początek lata i porę żniw; matka już wcześniej przygotowuje wosk, żeby mnie wydepilować. Faiez zbliża się do mnie, bardzo blisko. Zamykam oczy, trochę się boję. Na szyi czuję jego rękę, całuje mnie w usta. Odpycham go natychmiast, nic nie mówiąc, mój gest oznacza: „Uważaj. Nie posuwaj się dalej”.

- Do jutra. Czekaj na mnie, ale nie na drodze, to zbyt niebezpieczne. Schowaj się w tym wgłębieniu. Przyjdę do ciebie, jak skończę pracę.

Odchodzi pierwszy. Czekam, żeby oddalił się dostatecznie daleko, bym mogła jak zwykle wrócić do domu, ale tym razem bardziej nerwowo. Ten pocałunek, pierwszy w moim życiu, bardzo mną wstrząsnął. A następnego dnia obserwuję z kryjówki, jak się zbliża, i wszystko we mnie drży. Nikt w domu nie podejrzewa, że mam sekretne randki. Rankiem siostra towarzyszy mi czasem przy wyprowadzaniu baranów i kóz, ale potem wraca zwykle do domu, by zająć się stajnią i domem, więc po południu zostaję sama. To taka namiastka, iluzja wolności, na jaką zgadza się moja rodzina, bo ojciec zawsze jest obecny przy wyprowadzaniu stada i przy moim powrocie do domu. Wioska, sąsiedzi zawsze są na miejscu, by mi przypomnieć, że nie mam prawa do żadnego odstępstwa od przyjętych zwyczajów. Komunikuję się z Faiezem z tarasu, za pomocą niewidzialnych znaków. Ruch głowy - i wiem, że przyjdzie. Ale kiedy wsiada szybko do samochodu i odjeżdża nawet nie

spojrzawszy w górę, to znaczy, że nie przyjdzie. Tego dnia wiem, że się pojawi, potwierdził to ruchem głowy. I mam nieodparto przecucie, że coś się wydarzy.

Boję się, że Faiez nie poprzestanie tylko na pocałunku, będzie chciał czegoś więcej, a jednocześnie chcę, żeby tak było, choć tak naprawdę nie wiem do końca, czego się mogę spodziewać. Boję się go odepchnąć, jeśli posunie się za daleko, i boję się, że się obrazi. Mam do niego zaufanie, bo sam doskonale wie, że przed ślubem nie ma prawa mnie tknąć. Dobrze wie, że nie jestem *charmuta*. I obiecał mi małżeństwo. Ale pomimo wszystko boję się, kiedy tak czekam na polu pośrodku stada. Schowana w wysokich trawach, pilnuję jednocześnie zwierząt i drogi. Nie widzę nikogo. Łąka jest cudowna, pełna kwiatów. O tej porze roku barany zachowują się spokojnie, spędzają cały czas na jedzeniu i nie próbują uciekać jak w pełni lata, kiedy nie ma już tak dużo trawy.

Spodziewałam się go z prawej strony, ale Faiez nadchodzi z przeciwnej, przez zaskoczenie. To dobrze, znaczy to, że uważa, by nikt go nie widział, ochrania mnie. Jest taki piękny. Ma na sobie spodnie, obcisłe od pasa do kolan i szerokie dołem. To moda dla mężczyzn ubierających się nowocześnie, w zachodnim stylu. Ma biały pulower z długimi rękawami, z dekoltem w szpic, co pozwala mi zobaczyć kawałek owłosienia na klatce piersiowej. Uważam, że w porównaniu ze mną jest bardzo elegancki, szykowny. Posłuchałam go, nie włożyłam czerwonej marynarki, aby nikt nie mógł mnie zobaczyć z daleka. Założyłam szarą sukienkę i spodnie w tym samym kolorze. Uprałam ubranie bardzo starannie, bo przy pracy nietrudno je ubrudzić. Schowałam włosy pod białym szalem, ale bardzo żałuję czerwonej marynarki, chciałabym być ładniejsza.

Siadamy na ziemi, on mnie całuje. Kładzie rękę na moim udzie, nie pozwalam mu na to. On się gniewa. Ma złe spojrzenie, kiedy patrzy mi w oczy:

- Dlaczego nie chcesz? Pozwól sobie na to!

Tak bardzo się boję, że sobie pójdzie, że poszuka sobie innej dziewczyny... Może to zrobić, kiedy chce, to piękny mężczyzna, mój przyszły mąż. Kocham go, z jednej strony nie chcę ustąpić, za bardzo się boję, ale chyba jeszcze bardziej obawiam się go stracić. Jest moją jedyną nadzieją. Więc pozwalam mu działać, chociaż nie wiem, co mi się przytrafi i dokąd to nas zaprowadzi. Jest obok mnie, mam go przed oczyma, chce mnie dotykać, nic innego się nie liczy. Słońce niedługo zacznie zachodzić, nie jest już tak gorąco, nie pozostało mi zbyt wiele czasu do powrotu do domu. On popycha mnie w trawę i robi ze , co chce. Już nic nie mówię, nie robię żadnego ruchu, żeby go odepchnąć. Nie jest gwałtowny, nie zmusza mnie, wie bardzo dobrze, co należy robić. Nagle zaskakuje mnie uczucie bólu. Nie spodziewałam się go, ale płaczę z zupełnie innego powodu. On nic nie mówi ani przed, ani po, nie pyta mnie,

dlaczego płaczę, sama zresztą nie wiem, skąd mi się wzięły te wszystkie łzy. Nie umiałabym odpowiedzieć, gdyby mnie zapytał. Nie chciałam. Jestem dziewicą, nic nie wiem o miłości między mężczyzną a kobietą, nikt nigdy mi o tym nie mówił. Kobieta musi krwawić, kiedy jest pierwszy raz ze swoim mężem - to wszystko, czego mnie nauczono jeszcze w dzieciństwie. On robi to ze mną w milczeniu, aż zaczynam krwawić, no i proszę, on ma zdumioną minę, jakby się tego w ogóle nie spodziewał. Czyżby naprawdę sądził, że robiłam już to z innymi mężczyznami? Bo chodziłam sama ze stadem baranów? Sam przecież powiedział, że będzie nade mną czuwał, że jestem poważną dziewczyną. Nie ośmielałam się spojrzeć mu w twarz, bardzo się wstydzę. Podnosi mi do góry podbródek i mówi:

- Kocham cię.

- Ja też ciebie kocham.

Nie zrozumiałam w tym momencie, że był z siebie bardzo dumny. Dopiero znacznie później pojęłam, że po prostu wątpił w mój honor i dobre imię, że wykorzystał mnie, choć dobrze wiedział, czym ryzykowałam. Nie chciałam uprawiać z nim miłości schowana w rowie, pragnęłam tego, o czym marzą wszystkie dziewczyny w wiosce. Wyjść za mąż, być wydepilowaną jak należy, mieć piękną sukienkę i spać we własnym domu. Chciałam, aby po wschodzie słońca pokazał wszystkim ludziom zaplamione, białe prześcieradło. Chciałam usłyszeć *Jujujuju!* kobiet. Wykorzystał mój strach, wiedział, że mu ustąpię, żeby go zatrzymać.

Pobiegłam trochę dalej, schowałam się, żeby wytrzeć krew z nóg i poprawić na sobie ubranie, podczas gdy on spokojnie wkładał kolejne części garderoby. A potem błagałam go, by mnie nie porzucił, by ożenił się ze mną jak najszybciej. Dziewczyna, która nie jest już dziewicą, to zbyt poważna sprawa, dla niej wszystko jest już skończone.

- Nigdy cię nie porzucę.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham. Teraz wróć do domu, zmień ubranie, zachowuj się, jakby nic się nie stało. Przede wszystkim nie płacz w domu.

Odszedł przede mną. Już nie płakałam, ale czułam się trochę jak chora. Ta krew była obrzydliwa. Uprawianie miłości z mężczyzną wcale nie było świętem. Bolało mnie, czułam się brudna, nie miałam wody, żeby się umyć, tylko trawę do wytarcia, w brzuchu czułam palący ogień, a jeszcze musiałam pozbierać barany i wrócić do domu w poplamionych spodniach. I uprać je szybko, ukradkiem. Maszerując szybko po drodze, myślałam o tym, że już nie będę krwawić, ale zastanawiałam się, czy zawsze będzie mnie bolało, gdy będę to robić z mężem. Czy zawsze będzie to takie obrzydliwe jak dzisiaj?

Nie wiem, czy po powrocie do domu z mojej twarzy nie można było niczego wyczytać? Nie płakałam, ale cierpiałam wewnętrznie i bardzo się bałam. Dotarło do mnie, co naprawdę zrobiłam. Nie byłam już dziewczyną. Jeśli nie wyjdę za mąż, nie będę miała poczucia bezpieczeństwa. W dniu ślubu nie będę już dziewicą. Ale to nie jest ważne, on wie, że byłam nią dla niego. Jakoś sobie poradzę, potnę się nożem, poplamie krwią ślubne prześcieradło. Będę jak wszystkie inne kobiety.

Czekałam przez trzy dni. Czatowałam na tarasie, by Faiez dał mi jakiś znak. Tym razem poprowadził mnie do małej chatynki z kamienia, po drugiej stronie pola. Zwykle służyła ona za schronienie przed deszczem. Tym razem nie krwawiłam. Nadal mnie bolało, ale już się tak nie bałam. Wrócił i to było dla mnie najważniejsze. Był przy mnie tu i jeszcze bardziej go kochałam. To, co wyprawiał z moim ciałem, nie miało znaczenia, kochałam go głową i sercem. Był całym moim życiem, jedyną nadzieją na opuszczenie domu rodziców, na to, by stać się kobietą, która idzie z mężczyzną po ulicy, która siada obok niego w samochodzie, jedzie z nim do sklepu kupować sukienki i buty, robić zakupy.

Cieszyłam się, że z nim jestem, że do niego należę...

To mężczyzna, prawdziwy. Od razu się zorientowałam, że dla niego nie był to pierwszy raz, że wie, jak się to robi. Ufałam mu w sprawie małżeństwa. Ani ja, ani on nie wiedzieliśmy, kiedy to nastąpi, ale nie zadawałam mu pytań. Wbiłam sobie do głowy, że tak się na pewno stanie.

Przez ten czas muszę bardzo uważać, aby nikt mnie nie zadenuncjował. Na następne spotkanie pójdę inną drogą. Obliczam, ile czasu zajmie mi dojście na miejsce, a w międzyczasie nie ośmielam się samotnie przekroczyć żelaznej bramy mojego domu. Staram się robić to zawsze z matką lub siostrą. Codziennie rano czatuję na odjazd Faieza. Kiedy tylko słyszę jego kroki na żwirze, podchodzę szybko do cementowego murku. Jeśli na zewnątrz jest jeszcze ktoś inny, odwracam się plecami; jeśli nie ma nikogo - czekam na sygnał. Spotkaliśmy się już dwa razy, od kiedy przestałam być dziewicą. Nie możemy spotykać się codziennie, to byłoby nieostrożne. Znak sygnalizujący trzecie spotkanie nadchodzi po sześciu dniach. Ciągle się boję i ciągle mam zaufanie. Nad słuchuję najmniejszego hałasu od strony wioski. Unikam przebywania na skraju pola. Czekam, siedzę w wysokiej trawie rowu z kijkiem w rękę, przyglądam się pszczołom siadającym na polnych kwiatach. Marzę o dniu, w którym nie będę już musiała doglądać baranów i kóz ani wnosić gnojówki ze stajni. On zaraz przyjdzie, on kocha mnie, a kiedy będzie odchodził, powiem mu jak za pierwszym i za drugim razem: „Nie porzuć mnie”.

Kochamy się po raz trzeci. Słońce jest żółte, muszę wracać, by wydoić owce i krowy. Mówię:

- Kocham cię, nie porzuć mnie. Kiedy znowu przyjdiesz?

- Nie możemy zobaczyć się tak szybko. Trzeba trochę poczekać. Musimy być ostrożni.

- Do kiedy?

- Dopóki nie dam ci znaku.

Moja miłość trwa już dwa tygodnie, przez ten czas widzieliśmy się na polu trzy razy. Faiez ma rację, że należy zachować ostrożność, muszę być cierpliwa, poczekać na rozmowę z rodzicami, tak jak rozmawiali z moją siostrą Nourą. Mój ojciec nie może już zwlekać, nie może być tak, że wyda Kainat za mąż przede mną! A skoro Faiez prosił o moją rękę, a ona jest już dwudziestolletnią, starą panną, mógłby się mnie pozbyć, przecież ma jeszcze dwie inne córki! Khadija i Salima, dwie małe, zaczną pracować z moją matką, zajmować się stadem i zbiorami. Fatma, żona mojego brata, znowu jest w ciąży, wkrótce będzie rodzić. Czekam na moje przeznaczenie z odrobiną lęku, bo ono nie zależy ode mnie. Ale czekam zbyt długo. Dni mijają, a Faiez nie daje żadnego znaku. Ciągle jednak mam nadzieję, co wieczór, że zobaczę go nadchodzącego, tak jak to on potrafi, zjawia się to z prawej, to z lewej strony rowu, w którym się ukrywam.

Pewnego ranka jestem w stajni i bardzo dziwnie się czuję. Zapach gnojówki przyprawia mnie o zawrót głowy. Kiedy przygotowuję posiłek, baranie mięso wywołuje we mnie mdłości. Jestem nerwowa, chce mi się płakać albo spać bez żadnego powodu. Za każdym razem, gdy Faiez wychodzi z domu, patrzy zupełnie gdzie indziej, nie daje mi żadnego znaku. Czas się dłuży, za bardzo się dłuży, nie pamiętam, kiedy miałam okres ani kiedy powinnam go dostać. Często słyszałam, jak matka pytała moją siostrę Nourę:

- Masz okres?

- Tak, mamo.

- Więc to jeszcze nie teraz. - Albo: - Nie miałaś okresu? To dobrze, to znaczy, że jesteś w ciąży!

A ja ciągle nie dostaję miesiączki. Codziennie to sprawdzam, po kilka razy. Za każdym razem, gdy idę w domu do toalety albo gdzieś za krzak w polu, sprawdzam, czy nie pokazała się krew. Czasem czuję się tak dziwnie, że nadzieja znowu powraca. Ale to ciągle nie to. I tak strasznie się boję, że ten strach ściska mnie za gardło, jakbym zaraz miała wymiotować. Nie czuję się jak przedtem, nie chce mi się pracować, wstawać. Coś się we mnie zmieniło.

Staram się znaleźć jakąś przyczynę, nie tę najgorszą. Zastanawiam się, czy szok spowodowany tym, że nie jest się już dziewczicą, zmienia dziewczynę w taki właśnie sposób. Może okres nie pojawia się wkrótce potem? To naiwne wytłumaczenie, ale nie mam nikogo, kogo mogłabym o to zapytać. Najmniejsze pytanie na ten temat sprowadziłyby na moją głowę pioruny zagniewanego Boga.

Myślę o tym bez przerwy, w każdej chwili dnia, a głównie wieczorem, kiedy zasypiam obok moich sióstr. Jeśli jestem w ciąży, ojciec udusi mnie pod tą baranią skórą. Kiedy budzę się rano, cieszę się, że jeszcze jestem przy życiu.

Boję się, że ktoś z rodziny zauważy, że nie jestem taka jak przedtem. Na widok osłodzonego ryżu mam ochotę wymiotować, w stajni najchętniej zapadłabym w drzemkę. Jestem ciągle zmęczona, mam blade policzki, matka z pewnością wkrótce to zauważy i spyta mnie, czy nie jestem chora. Dotąd nigdy nie chorowałam. Więc się ukrywam, udaję dobre samopoczucie, ale to staje się coraz trudniejsze. A Faiez się nie pokazuje. Wsiada do samochodu w tym swoim pięknym garniturze, z teczką i w eleganckich butach, a potem odjeżdża tak szybko, że koła pozostawiają za sobą wielki obłok kurzu. Zaczyna się kto. Od samego rana jest bardzo gorąco. Muszę wyprowadzać zwierzęta o świcie i przyprowadzać, gdy słońce grzeje już za mocno. Nie mogę już czatować na tarasie, muszę koniecznie znaleźć jakiś sposób, by porozmawiać z nim o małżeństwie. Bo na moim nosie pojawiła się dziwna plamka. Mała, brunatna plamka, którą próbuję ukryć, bo dobrze wiem, co ona oznacza. Noura miała taką samą, gdy była w ciąży. Matka patrzy na mnie zdumionym wzrokiem:

- Coś ty zrobiła?

- To henna, potarłam nos palcami, byłam nieuważna. Naprawdę pobrudziłam się henną, specjalnie posmarowałam sobie nos. Ale to kłamstwo nie utrzyma się zbyt długo. Jestem w ciąży i nie widziałam się z Faiezem od ponad miesiąca.

Koniecznie muszę z nim pomówić. Pewnego wieczora, gdy słońce jeszcze na dobre nie zaszło, grzeję w ogrodzie wodę, jakbym miała robić pranie, i wchodzę na taras z bielizną w ręku, mniej więcej w porze, kiedy wraca z pracy. Tym razem daję mu wyraźny znak głową i nalegam, gestykulując, żeby dobrze zrozumiał: „Chcę cię zobaczyć, teraz schodzę na dół, idź za mną...”

Zobaczył mnie, a ja się wymykam, zamiast iść do stajni opiekować się chorą owieczką, jak dałam mu to do zrozumienia. Owieczka jest naprawdę chora, wkrótce ma się okocić i nieraz już przy niej siedziałam. Przespałam nawet przy niej na słomie całą noc ze strachu, że tego nie zauważę.

Przybywa na miejsce naszych schadzek wkrótce po mnie, zaraz chce się ze mną kochać, przekonany, że właśnie po to go wezwałam. Odsuwam się:

- Nie, nie po to chciałam się z tobą zobaczyć.

- No więc po co?

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Porozmawiamy potem... Chodź!

- Ty mnie nie kochasz, czy nie możemy się spotkać tylko po to, żeby porozmawiać?

- Ależ tak, Kocham cię, Kocham cię tak, że za każdym razem, gdy cię widzę, mam na ciebie ochotę.

- Faiez, za pierwszym razem niczego nie chciałam, potem mnie pocałowałeś i trzy razy się zgodziłam, a dzisiaj nie mam już okresu.

- Może się spóźnia?

- Nie, nigdy mi się nie spóźniał i bardzo dziwnie się czuję.

Już mu przeszła ochota. Widzę jego twarz: zrobił się biały.

- Co teraz zrobimy?

- Teraz musimy szybko wziąć ślub! Nie można dłużej czekać, musisz pójść do mojego ojca, nawet gdyby nie miało być wesela, jest mi wszystko jedno!

- Tak się nie robi, ludzie we wsi będą gadać.

- A co zrobimy z wywieszeniem prześcieradła na balkonie?

- Nie martw się, zajmę się tym, poradzę sobie. Nie możemy urządzić małego ślubu, mówiliśmy o hucznym ślubie, więc będzie huczny ślub. Przyjdę porozmawiać z twoim ojcem. Czekać na mnie tutaj, o tej samej porze.

- A to nie zawsze jest możliwe. Ty jesteś mężczyzną, możesz robić, co chcesz... Musisz poczekać na mój znak. Jeśli mi się uda, będę zaplatać włosy. Jeśli zobaczysz, że nie zdejmuję szala, nie przychodź.

Następnego dnia ryzykuję i mówię, że idę po trawę dla chorej owieczki. Daję mu znak i biegnę na spotkanie, cała drżąca. Mój ojciec niczego nie powiedział, nic nie usłyszałam. Tak strasznie się boję, że nie mogę oddychać. Faiez nadchodzi dobre pół godziny po mnie. Atakuję go, przez ostrożność:

- Dlaczego nie przyszedłeś rozmówić się z moim ojcem?

- Nie ośmielam się spojrzeć twojemu ojcu w twarz. Boję się.

- Ale musisz się pospieszyć, to już prawie dwa miesiące. A potem zaczną rosnać mi brzuch i co ja wtedy zrobię?

Zaczynam płakać. Więc mówi:

- Przestań, nie możesz płakać, wracając do domu. Jutro przyjdę do twojego ojca.

Uwierzyłam mu, tak bardzo chciałam mu uwierzyć. Bo go kochałam, a w dodatku miałam podstawę, żeby mu zaufać: przecież kiedyś był już u mojego ojca, żeby prosić o moją rękę. Rozumiałam, że bał się spojrzeć mu w oczy. Nie tak łatwo było wytłumaczyć, dlaczego ślub ma nastąpić tak szybko. Jakie argumenty można było znaleźć wobec podejrzliwości i nieżyczliwości mojego ojca, bez wyjawiania sekretu i odebrania honoru mnie i całej naszej rodzinie?

Jak zwykle tak i tego wieczora też żarliwie modliłam się do Boga. Moi rodzice byli bardzo religijni, matka dość często chodziła do meczetu. Córki musiały się modlić dwa razy dziennie w domu. Nazajutrz rano podziękowałam Allachowi, że po przebudzeniu nadal jestem przy życiu.

Kiedy weszłam na taras, samochód już odjechał. Więc pracowałam jak zwykle, zajmowałam się owieczką, czyściłam stajnię, wyprowadziłam stado, zbierałam pomidory.

Czekałam nadejścia wieczora. Tak strasznie się bałam, że poszukałam dużego kamienia i uderzałam nim w brzuch w nadziei, że pojawi się krew i wszystko wróci do ustalonego porządku.

OSTATNIE SPOTKANIE

Nadszedł wieczór. Zdesperowana czekam na przyjście Faieza, samego albo z rodzicami, ale dobrze już wiem, że nie przyjdzie. Dzisiaj jest już zbyt późno. A przed jego domem nie ma samochodu i okiennice są zamknięte.

Dla mnie jest to katastrofa. Spędzam noc bez zmruczenia oka i usiłuję sobie wyobrazić, że może pojechał gdzieś dalej, do rodziny, a okiennice są zamknięte z powodu upału.

To naprawdę niezwykle, że w mojej pamięci tak wyraźnie odcisnęły się obrazy tych kilku tygodni mojego życia. Mam przecież tyle problemów z odtworzeniem dzieciństwa, widzę w nim tylko obrazy okrucieństwa, bez żadnych wspomnień szczęścia czy spokoju, ale nigdy nie zapomniałam tych chwil skradzionej ukradkiem wolności, strachu i nadziei. Widzę to tej nocy dokładnie i wyraźnie, leżę pod baranią skórą, z kolanami przyciśniętymi do podbródka, obiema rękami trzymam brzuch i nasłuchuję najmniejszego hałasu w czerni nocy. Jutro przyjedzie, jutro nie przyjedzie... Uratuje mnie, porzuci mnie... To było jak muzyka, która bez przerwy rozbrzmiewała w mojej głowie.

Następnego dnia rano widzę samochód przed jego domem. Mówię sobie: „On żyje!” Znowu mam nadzieję. Nie mogłam czatować na moment jego odjazdu, ale wieczorem, gdy wrócił, jestem na tarasie. Daję mu znak, który ma oznaczać spotkanie nazajutrz, przed zachodem słońca.

I pod koniec popołudnia, tuż przed zachodem słońca, idę po słomę dla baranów. Czekam dziesięć minut, kwadrans, mam nadzieję, że schował się gdzieś dalej. Jest już po żniwach, ale jeszcze w niektórych Miejscach mogę zebrać dobre snopki, które przewiążę słomą. Układam je obok drogi i wiążę ze sobą. Pracuję szybko, ale specjalnie pozostawiam trzy wiązki do związania, aby zapewnić sobie pretekst do pozostania w tym miejscu, na wypadek gdyby ktoś tędy przechodził, bo w tym miejscu jestem bardzo na widoku. Wystarczy pochylić się nad snopkami i udawać, że się jest zajętym pracą. To daje mi dodatkowy kwadrans zwłoki przed powrotem do domu. Powiedziałam matce, że pobieram snopki w ciągu pół godziny. O tej porze barany są już w domu, kozy i krowy także, muszę je jeszcze wydoić i zrobić sery na jutro. Użyłam wszelkich możliwych pretekstów, by wymknąć się na to spotkanie. Poszłam do studni po wodę dla zwierząt, co oznacza kilka małych spacerów z wiadrem na głowie. Króliki potrzebowały świeżej trawy, kurom trzeba było dać ziarna, więc musiałam zebrać kłosa z ziarnem. Chciałam zobaczyć, czy figi zaczynają dojrzewać, potrzebowałam cytryn do kuchni, dokładałam coś do żaru w piecu do chleba.

Trzeba bez przerwy podejrzewać rodziców, którzy także bez przerwy podejrzewają swoją córkę. Córka może zrobić tak wiele rzeczy... Idzie na podwórze? Co będzie tam robić na tym podwórzu? A czy przypadkiem nie wyznaczyła sobie jakiegoś spotkania za piecem do pieczenia chleba? Idzie do studni? A wzięła ze sobą wiadro? A czy zwierzęta już wcześniej nie piły? Idzie po siano? Ile wiązek przyniesie?

Tego wieczora ciągnę za sobą moją płócienną torbę, od snopka do snopka. Wkrótce torba jest pełna i czekam, czekam. Wiem, że mój ojciec siedzi jak zwykle przed domem pod lampą i czeka z pasem, paląc fajkę, zupełnie jak jakiś pasza, aż jego córka wróci do domu o tej godzinie, o której ma wrócić. Liczy minuty. On ma zegarek i jeśli powiedziałam pół godziny, to ma być pół godziny, ani minuty dłużej, jeśli nie chcę zostać zbita pasem. Pozostają mi do związania tylko trzy snopki. Niebo przybiera szary kolor, blednie intensywna żółć księżycy. Ja nie mam zegarka, ale wiem, że pozostaje mi kilka minut do zapadnięcia zmroku, który w moim kraju robi się tak szybko. Można by powiedzieć, że słońce jest tak zmęczone oświetlaniem nas, że pada jak kamień, brutalnie pogrążając nas w ciemności.

Straciłam nadzieję. To już koniec. Porzucił mnie. Wracam do domu. Przed jego domem nie ma samochodu. Kiedy wstaję nazajutrz rano, samochodu nadal nie ma.

To już naprawdę koniec. Zrozumiałam, że nie mam już nadziei na życie. Wykorzystał mnie, dla niego był to miłe spędzony czas. Ale nie dla mnie.

Gryzę palce na samą tę myśl, ale jest już za późno. Już nigdy więcej go nie zobaczę. Po upływie tygodnia przestaję nawet czatować na niego na tarasie. Okiennice różowego domu są stale zamknięte, a on uciekł samochodem jak podlec. Nie mogę nikogo prosić o pomoc.

Po trzech lub czterech miesiącach mój brzuch zaczyna rosnąć. Dotąd dość dobrze go ukrywam pod sukienką, ale kiedy noszę wodę lub coś innego na głowie, z wygiętymi plecami i podniesionymi ramionami, muszę robić znaczny wysiłek, żeby nie było go widać. I ta plamka na twarzy; usiłuję ją zetrzeć, pocierając bardzo mocno, ale ona nie chce zniknąć. Nie mogę znowu posłużyć się henną, tym razem matka by mi nie uwierzyła.

Największa trwoga ogarnia mnie nocą. Często chodzę spać z baranami. Znalazłam dobrą wymówkę: kiedy owca ma się kocić, wzywa pomocy zupełnie jak człowiek i jeśli się jej nie usłyszy, zdarza się, że małe dusi się w jej brzuchu.

Myślę często o tej owieczce, której małe nie chciało się urodzić. Musiałam włożyć rękę aż do samej głębi jej brzucha, bardzo delikatnie, odwrócić łepkę jagnięcia we właściwym kierunku i pociągnąć je ku sobie. Bardzo się bałam, że zadam jej ból, i bardzo długo walczyłam o życie tego jagniętka. Jego matka, bidulka, nie miała już siły przeciw, dlatego musiałam jej pomóc. A mniej więcej godzinę później już nie żyła.

Jagnię było małą owieczką. Chodziło za mną jak dziecko. Kiedy widziało, że odchodzę, wzywało mnie z powrotem. Doiłam najpierw inne owce, a potem karmiłam je z butelki. Musiałam mieć wtedy z piętnaście lat. Pomagałam rodzić wielu owcom, ale pamiętam dobrze tylko to jagnię. Chodziło za mną po ogrodzie, wchodziło po schodach do domu. Wszędzie, dokąd szłam, biegło za mną. Matka umarła, a dziecko pozostało przy życiu.

To dziwne, że tak się przejmuję trudnymi porodami owiec, podczas gdy moja matka dusiła swoje dzieci. Ale wtedy zupełnie o tym nie myślałam. To był obyczaj i należało go przyjąć. Kiedy dzisiaj obrazy te przesuwają mi się przed oczami, wszystko się we mnie buntuje. Gdybym wówczas miała taką świadomość jak dzisiaj, raczej udusiłabym własną matkę, by ocalić choć jedną z jej nowo narodzonych dziewczynek.

Dla kobiety, podporządkowanej do takiego stopnia, zabijanie dziewczynek jest czymś normalnym. Dla ojca, takiego jak mój, obcięcie córce włosów nożycami do strzyżenia owiec jest czymś normalnym. Bić córki pasem czy laską jest czymś normalnym, przywiązywać je na całą noc w stajni, pośród krów, jest czymś normalnym. Co więc mógłby mi zrobić mój ojciec, gdyby się dowiedział, że jestem w ciąży? Moja siostra Kainat i ja myślałyśmy zawsze, że przywiązanie na całą noc w stajni to najgorsza rzecz, jaka może się nam przytrafić. Ręce skrepowane na plecach, szal na ustach, żeby nie krzyczeć, nogi związane sznurem, który służy także do bicia. Nieme, czuwające całą noc, mogłyśmy tylko na siebie patrzeć i myśleć o jednym: „Dopóki jesteśmy związane, dopóty żyjemy”.

I to właśnie mój ojciec podchodzi do mnie w dniu, kiedy robię pranie. Słyszę, jak kuleje za moimi plecami i uderza laską o ziemię. Zatrzymuje się za mną, nie ośmielam się podnieść:

- Jestem pewny, że jesteś w ciąży.

Wypuszczam bieliznę z rąk do wanienki, nie mam siły podnieść na niego oczu. Nie będę mogła przybrać zdumionej czy zawstydzonej miny, nie uda mi się skłamać, jeśli tylko na niego spojrzę.

- Ależ nie, tato.

- Ależ tak! Spójrz na siebie! Utyłaś! A ta plamka, mówiłaś, że to słońce, a potem, że to henna? Matka musi obejrzeć twoje piersi.

A więc to matka nabrała podejrzeń. A on wydaje odpowiedni rozkaz.

- Musisz je pokazać.

I ojciec odchodzi ze swoją laską, nie mówiąc więcej ani słowa.

Nie zbił mnie. Nie protestowałam, usta mam jak sparaliżowane. Myślę, że tym razem naprawdę stało się, jestem już martwa. Teraz kolej na matkę. Okrąża wanienkę, ręce trzyma na biodrach. Jest spokojna, ale sroga.

- A teraz przestań prać! Pokaż mi piersi!
- Nie, błagam cię, mam, to mnie krępuje.
- Pokażesz mi je czy mam ci rozerwać sukienkę?

Więc odpinam guziki od szyi do wysokości piersi, rozchyłam materiał.

- Jesteś w ciąży?

- Ależ skąd!

- Masz okres?

- Tak!

- Jak dostaniesz okres następnym razem, to mi go pokażesz!

- Powiedziałam „tak”, by mieć chwilę spokoju, by ją uspokoić i dla własnego bezpieczeństwa. Wiem, że będę musiała się pociąć, poplamić papier i pokazać jej to podczas następnego nowiu.

Zostawiam pranie, opuszczam dom, przechodząc przez ogród bez pozwolenia, idę schować się w gałęziach starego drzewa cytrynowego. To głupie, że właśnie tu szukam schronienia, bo przecież drzewo wcale mnie nie ochroni, ale tak strasznie się boję, że już sama nie wiem, co robię. Ojciec szybko zaczyna mnie szukać, zaraz też mnie znajduje, siedzącą na gałęzi jak koza pośród liści. Wystarczyło mu pociągnąć mnie za nogi, żebym spadła na ziemię.

Jedno kolano mi krwawi, a ojciec zabiera mnie do domu. Bierze liście szałwi, żuje je i przykłada mi tę papkę na ranę, żeby powstrzymać krwawienie. To bardzo dziwne. Nie rozumiem, dlaczego, po tak brutalnym potraktowaniu, zadaje sobie trud opatrywania mnie, czego nigdy do tej pory nie robił. W tym momencie mówię sobie, że może wcale nie jest taki zły, że może uwierzył w to, co mu powiedziałam. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że zrobił to raczej po to, żebym przypadkiem nie posłużyła się tą krwią, by przekonać matkę, iż dostałam okres...

Przy upadku rozboleł mnie brzuch i nabrałam nadziei, że ten upadek przyniesie mi upragnioną miesiączkę.

Nieco później odbywa się narada rodzinna, w której nie mam prawa uczestniczyć. Rodzice sprowadzają Nourę i Husseina. Słucham pod ścianą. Mówią wszyscy naraz, słyszę, jak ojciec stwierdza: „Jestem pewien, że ona jest w ciąży, nie chce nam tego powiedzieć, czekamy, aż pokaże nam okres”...

Kiedy tylko kończą rozmawiać, wbiegam na górę i udaję, że śpię.

Następnego dnia rodzice jadą do miasta. Mam zakaz wychodzenia. Brama na podwórzu jest zamknięta, ale przechodzę przez ogrody i biegnę, by ukryć się w polu. Znajduję duży kamień i zaczynam nim regularnie bić się po brzuchu przez sukienkę, chcę w ten sposób wywołać krwawienie. Nikt mi nigdy nie powiedział, w jaki sposób rosną dzieci w brzuchu swojej matki. Wiem, od jakiego momentu dziecko zaczyna się ruszać. Widziałam moją matkę w ciąży. Wiem, ile czasu potrzeba, by dziecko przyszło na świat, ale poza tym niczego więcej. Od jakiego momentu dziecko zaczyna być żywe? Dla mnie jest to chwila narodzin, bo właśnie w tym momencie widziałam matkę podejmującą decyzję, czy ma je pozostawić przy życiu, czy też nie. Skoro więc jestem w ciąży od trzech i pół, może od czterech miesięcy, ogarnia mnie szalona nadzieja, że krwawienie znowu się pojawi. W ogóle nawet nie podejrzewam, że to dziecko w moim brzuchu jest już istotą ludzką.

I płaczę z wściekłości, bo krew nie chce się pojawić. A rodzice niedługo wrócą do domu i muszę się tam zjawić przed nimi.

To wspomnienie jest tak bliskie i tak bolesne... czuję się taka winna. Mogłabym się usprawiedliwiać, że byłam ignorantką, sterroryzowaną tym, co mnie czekało, ale to jawi się jak prawdziwy koszmar, gdy pomyślę, że tłukłam się kamieniem po brzuchu, aby tylko to dziecko przestało istnieć.

Następnego dnia robię to samo, uderzam się po brzuchu wszystkim, co mi wpadnie w rękę, i kiedy nikt mnie nie widzi. Matka czeka. Dała mi miesiąc od dnia, w którym kazała mi pokazać piersi. Wiem, że oblicza wszystko w swojej głowie. Podczas tego oczekiwania nie mogę nigdzie wychodzić. Muszę zostać w domu i zadowalać się pracami domowymi. Matka mówi do mnie: „Nie wolno ci przekroczyć drzwi! Nie będziesz chodzić z baranami ani po siano”.

Mogę uciec przez podwórka i ogrody, ale dokąd miałabym pójść? Nigdy sama nie jechałam autobusem, nie mam pieniędzy, zresztą kierowca i tak nie pozwoliłby mi wsiąść.

Muszę być już chyba w piątym miesiącu. Poczulałam ruchy w brzuchu i tak jak stoje, rzucam się w kąt muru jak szalona. Już nie mogę kłamać ani ukrywać brzucha i piersi, nie mam żadnego wyjścia.

Jedyna myśl, która przychodzi mi do głowy, jedyna możliwa, to ucieczka z domu. Myślę o poszukaniu schronienia u siostry mojej matki. Mieszka w tej samej wiosce. Znam jej dom. Więc pewnego ranka, kiedy rodzice jadą na targ, przechodzę przez ogród, obok studni, przeskakuję rów i biegnę do niej. Nie mam zbyt wielkiej nadziei, bo ona jest złośliwa i zazdrosna o moją matkę, ale nie wiem, z jakiego powodu. Ale może właśnie dlatego zatrzymam

mnie u siebie i znajdzie jakieś wyjście. Widząc, że przyszłam sama, niepokoi się przede wszystkim o moich rodziców. Dlaczego nie ma ich razem ze mną?

- Musisz mi pomóc, ciociu.

I opowiadam jej wszystko, o przewidywanym i opóźniającym się ślubie, o polu pełnym zboża.

- Kto to jest?

- Nazywa się Faiez, ale już go nie ma we wsi, on obiecał...

- Dobrze. Pomogę ci.

Ubiera się, zakłada szal i bierze mnie za rękę.

- Chodź, pójdziemy teraz razem.

- Ale dokąd? Co ty chcesz zrobić?

- Chodź, daj mi rękę, nikt nie powinien widzieć, że chodzisz sama.

Myszę, że chce mnie zaprowadzić do innej kobiety, która zna sposób na wywołanie okresu albo umie zapobiec temu, by dziecko nie rosło bardziej w moim brzuchu. Albo że ma zamiar gdzieś mnie schować, aż się od niego uwolnię.

Jednak ona prowadzi mnie prosto do mojego domu. Ciągnie mnie jak osła, który nie chce posuwać się naprzód.

- Dlaczego odprowadzasz mnie do domu? Błagam cię, pomóż mi!

- Bo tam jest twoje miejsce i to oni się tobą zajmą, nie ja.

- Błagam cię, zostań ze mną! Przecież wiesz, co mnie czeka!

- Tu jest twoje miejsce! Zrozumiałaś mnie? I nigdy więcej nie wychodź z domu!

Zmusza mnie do przejścia przez furtkę, woła moich rodziców, odwraca się i wychodzi, nawet się nie ogląda. Na twarzy ciotki widzę złośliwość i pogardę, wyczuwam też jej myśli: „Moja siostra wyhodowała sobie w domu zmię, ta dziewczyna pohańbiła całą rodzinę”.

Ojciec zamyka za mną furtkę, matka rzuca mi złe spojrzenie, ruch jej podbródka i ręki wyraża jednoznacznie: „*Charmuta...* dziwka... ośmieliłaś się pójść do mojej siostry!” One się naprawdę nienawidzą. Kiedy jednej przydarzy się jakieś nieszczęście, druga ma powód do radości.

- Tak, byłam u niej, sądziłam, że może mi pomóc, gdzieś mnie ukryć...

- Wracaj do domu! Idź do swojego pokoju!

Całe moje ciało ogarnia drżenie, nie mogę utrzymać się na nogach. Nie wiem, co może mnie spotkać, kiedy już zostanę zamknięta w tym pokoju. Nie jestem w stanie zrobić kroku.

- Souad! Wracaj!

Siostra nie odzywa się już do mnie ani słowem. Ona także się wstydi mnie, a poza tym z mego powodu też nie może wychodzić z domu. Matka pracuje jak zwykle, moje małe siostry zajmują się zwierzętami, a ja pozostaję w zamknięciu niczym zadżumiona. Czasami słyszę, jak ze sobą rozmawiają. Boją się, że ktoś ze wsi mnie widział i może ludzie zaczęli już gadać. Próbując ocalić własną skórę i uciekając do ciotki, przysporzyłam wstydu zwłaszcza matce. Sąsiedzi się dowiedzą, wezmą nas na języki, będą nadstawiać uszu.

Od tamtego dnia nie wystawiam na zewnątrz nawet czubka nosa. Na drzwiach mojego pokoju ojciec instaluje nowy zamek, który każdego wieczora wydaje dźwięk jak wystrzał z karabinu. Furtka do ogrodu tak samo dźwięczy.

Czasem, gdy myję podwórko, spoglądam na tę furtkę z uczuciem duszności w piersiach. Już nigdy stąd nie wyjdę. Nawet nie zdaję sobie sprawy, jak kretyńska jest ta furtka, bo przecież ogród i otaczający go kamienny murek nie stanowią przeszkody nie do pokonania. Przechodziłam tamtędy wiele razy. Ale każdej dziewczynie w mojej sytuacji domowe więzienie daje jakąś pewność. Na zewnątrz jest jeszcze gorzej. Na zewnątrz jest wstyd, pogarda, rzucanie kamieniami, plujące w twarz sąsiadki, ciągnące za włosy, by zhańbioną zawlec z powrotem do domu. Nawet nie marzę o wyjściu na zewnątrz. Tygodnie mijają. Nikt mnie nie pyta, nikt nie chce wiedzieć, kto mi to zrobił, jak i dlaczego. Nawet gdybym oskarżyła Faieza, mój ojciec nie poszedłby do niego, żeby kazać mu się ze mną ożenić. To moja wina, nie jego. Mężczyzna, który odebrał dziewczynie dziewictwo, nie jest temu winny, to ona tego chciała. Gorzej, prosiła go o to! To ona sprowokowała mężczyznę, ponieważ jest dziwką bez honoru. Nie ma nic na swoją obronę. Moja naiwność, moja miłość do niego, jego obietnica małżeństwa, a nawet jego pierwsza wizyta w tej sprawie u mojego ojca, to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia. U nas szanujący się mężczyzna nie poślubia dziewczyny, którą osobiście rozdziewiczył przed ślubem.

Czy on mnie kochał? Nie. I jeśli popełniłam błąd, to dlatego, że miałam nadzieję zatrzymać go przy sobie, zgadzając się, by zrobił to, co zrobił. Czy byłam zakochana? Bałam się, że znajdzie sobie inną? Taka obrona zupełnie nie ma znaczenia... nawet dla mnie nie ma już żadnego sensu.

Pewnego wieczora odbywa się kolejne zebranie rodzinne: moi rodzice, najstarsza siostra i jej mąż, Hussein. Mojego brata nie ma w domu, bo jego żona wkrótce będzie rodzić i pojechał z nią do jej rodziny.

Podśłuchuję pod drzwiami, sterroryzowana. Moja matka mówi do Husseina:

- Nie można o to poprosić naszego syna, nie będzie do tego zdolny, jest jeszcze za młody.

- Ja mogę się nią zająć.

Z kolei zabiera głos ojciec:

- Jeśli masz to zrobić, to zrób to jak należy. Jak chcesz to wykonać?

- Nie martw się, znajdę sposób.

I znowu matka:

- Więc musisz się nią zająć, ale trzeba, żebyś to załatwił za jednym zamachem.

Słyszę, że moja siostra płacze, mówi, że nie chce tego słuchać i pragnie wrócić do domu. Hussein mówi, by zaczekała, i zwraca się do rodziców:

- Wy musicie wyjść. Wyjedźcie z domu, nie powinniście tu zostać. Kiedy wrócicie, będzie już po wszystkim.

Wysłuchałam wydanego na mnie wyroku śmierci na własne uszy i pobiegłam szybko na górę, bo moja siostra szykowała się do wyjścia. Nie słyszałam dalszego ciągu. Trochę później ojciec zrobił obchód całego domu, doszedł mnie odgłos szczęknięcia zamka w pokoju dziewcząt.

Nie spałam. Ciągle nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Pytałam siebie: czy to zły sen? Czy to jakiś koszmar? Naprawdę to zrobią? Czy może chcą mnie tylko nastraszyć? A jeśli to zrobią, to kiedy? I jak? Obetną mi głowę?

Może pozwolą mi urodzić to dziecko i zabiją mnie potem? Czy zatrzymają dziecko, jeśli to będzie chłopiec? Czy matka je udusi, jeżeli to będzie dziewczynka?

A może zabiją mnie wcześniej?

Następnego dnia zachowywałam się tak, jakbym niczego nie usłyszała. Bardzo uważałam, ale tak naprawdę nie mogłam w to uwierzyć. A potem dostaję dreszczy i zaczynałam wierzyć. Najważniejszym pytaniem było kiedy i gdzie. Chyba nie mogło to nastąpić zbyt szybko... zresztą Hussein sobie poszedł. I nie mogłam sobie wyobrazić Husseina pragnącego mnie zabić!

Tego dnia matka powiedziała do mnie zwyczajnym, normalnym tonem:

- Teraz jest pora prania, zrób je. Ojciec i ja jedziemy do miasta.

Wiedziałam, co się ma stać. Wychodzili z domu, tak jak powiedział Hussein.

Kiedy nie tak dawno przypomniało mi się zniknięcie Hanan, spostrzegłam, że wszystko odbywało się w ten sam sposób. Rodzice też wtedy wyszli, dziewczyny zostały w domu same ze swoim bratem. Jediną różnicą w mojej sytuacji był fakt, że z chwilą wyjścia rodziców Husseina jeszcze nie było w naszym domu. Rozglądałam się po podwórzu, było

bardzo duże, częściowo wyłożone kafelkami, częściowo wysypane piaskiem. Dookoła znajdował się mur, wykończony wysoką, szpiczastą siatką. Z szarą bramą w kącie, metalową, gładką od strony podwórza, bez zamka i klucza, ze zwykłą klamką na zewnątrz.

Moja siostra Kainat nigdy nie robiła prania razem ze mną, nie potrzebowałyśmy robić tego we dwie.

Nie wiem, jaką pracę kazano jej wtedy wykonać ani gdzie się podziała razem z małymi. Kainat już się do mnie nie odzywała. Spała obok mnie, ale odwracała się plecami, od kiedy usiłowałam uciec do naszej ciotki.

Matka czeka, aż pozbięram rzeczy do prania. Jest tego dużo, bo zazwyczaj robimy pranie raz w tygodniu. Jeśli zacznę pracować około drugiej lub trzeciej po południu, nie skończę pracy przed szóstą.

Idę najpierw po wodę do studni w głąb ogrodu. Dokładam drewna do ognia, stawiam na nim wielką wanienkę i wlewam wodę do połowy jej wysokości. Siadam obok na kamieniu i czekam, aż się zagrzeje.

Rodzice wychodzą przez drzwi domu, które zawsze zamykają na klucz.

Ja znajduję się z drugiej strony podwórza. Nieustannie podsycam ogień. Nie powinien przygasać, woda musi być bardzo ciepła, żeby namoczyć w niej bieliznę. Potem będę trzeć zabrudzenia mydłem z oliwy z oliwek, a potem znów pójdę do studni po wodę do płukania.

Jestem tam, bosa, siedzę na kamieniu, w sukience z szarego materiału, zmęczona nieustającym strachem. Nie wiem nawet, od ilu miesięcy jestem w ciąży z tym strachem w brzuchu. W każdym razie ponad sześć miesięcy. Bez przerwy patrzę na bramę, tam, w głębi ogromnego podwórza. Ta brama mnie fascynuje.

Jeśli on nadejdzie, może wejść tylko tędy.

OGIEŃ

Nagle słyszę trzask bramy. Już tu jest, zbliża się.

Jest dwadzieścia pięć lat później, a ja nadal widzę te obrazy, jakby czas się zatrzymał. To ostatnie wspomnienia, jakie mi stamtąd pozostały, z mojego życia w rodzinnej wiosce w Cisjordanii. Przesuwają mi się przed oczami w zwolnionym tempie, niczym film na wideo. Powracają do mnie bez przerwy. Chciałabym je wymazać, kiedy tylko pojawia się pierwszy obraz, ale nie mogę zatrzymać tego filmu. Kiedy trzaska brama, jest już za późno, nic się już nie zatrzyma, muszę znowu wszystko zobaczyć, bo ciągle staram się zrozumieć: jak on to zrobił? Czy zdołałabym się mu wymknąć, gdybym zrozumiała?

Zbliża się w moim kierunku. To mój szwagier, Hussein, w roboczym ubraniu, starych spodniach i podkoszulku. Staje przede mną i mówi: „Cześć, co słyszać?“, z uśmiechem na ustach. Spokojnie żuje trawę i bez przerwy się uśmiecha: „Zajmę się tobą”.

Ten uśmiech... mówi, że się mną zajmie, tego się nie spodziewałam. Więc też się uśmiecham, chcąc mu podziękować, nie ośmielam się wykrztusić ani słowa.

- Masz duży brzuch, co?

Schylam głowę, wstydę się na niego spojrzeć. Pochylam głowę jeszcze niżej, broda dotyka mi kolan.

- Masz tutaj plamkę. Specjalnie położyłaś hennę?

- Nie, kładłam hennę na włosy, nie zrobiłam tego umyślnie.

- Zrobiłaś to umyślnie, żeby to ukryć.

Patrzę na bieliznę, którą właśnie płuczę, ręce mi drżą.

I to jest ostatni obraz, dokładny i przejrzysty. Ta bielizna i moje drżące ręce. Ostatnie słowa, które słyszę z jego ust, brzmią: „Zrobiłaś to umyślnie, żeby to ukryć”.

Nie powiedział już nic więcej, głowę miałam ciągle spuszczoną ze wstydu, trochę uspokojona, że nie zadaje mi dalszych pytań.

I nagle poczułam coś zimnego, coś, co spływało po mojej głowie. I natychmiast miałam na sobie ogień. Zrozumiałam, że to ogień, i wtedy film przyśpiesza, obrazy przesuwają się w zawrotnym tempie. Zaczynam boso biec do ogrodu, rękami uderzam się po włosach, krzyczę, czuję za sobą łopoczącą sukienkę. Czy ogień był także na mojej sukience?

Czuję zapach ropy naftowej, biegnę, dół sukienki nie pozwala mi robić dużych kroków. Kieruje mną przerażenie, poruszam się instynktownie, byle jak najdalej od podwórza. Biegnę w kierunku ogrodu, bo nie ma stąd innego wyjścia. Ale prawie nie

pamiętam, co działo się potem. Wiem tylko, że jestem cała w ogniu i wyję. Jak udało mi się wymknąć? Czy on pobiegł za mną? Czy może czekał, aż upadnę, by spokojnie patrzeć, jak się palę?

Z trudem wdrapałam się na murek otaczający ogród, a potem znalazłam się, nie wiem, albo w ogrodzie sąsiadów, albo na ulicy. Były tam jakieś kobiety, wydaje mi się, że dwie, więc musiała to być ulica, i uderzały we mnie. Szalami zdjętymi z głowy, jak przypuszczam.

Zaciągnęły mnie aż do wiejskiej fontanny i nagle spadła na mnie woda, a ja wciąż wyłam ze strachu. Słyszałam, że te kobiety krzyczą, ale już niczego nie widziałam. Ciągle miałam opuszczoną na piersi głowę, czułam, że lała się na mnie zimna woda, co trwało bez końca, a ja krzyczałam, bo ta zimna woda strasznie mnie paliła. Byłam skulona, czułam zapach smażonego mięsa, dym. Musiałam zemdleć. Już niewiele widziałam.

Dostrzegam jeszcze jakieś rozproszone obrazy, hałasy, jakbym była w furgonetce mojego ojca. Ale to nie jest mój ojciec. Słyszę głosy kobiet, płaczą nade mną. „Biedna”, „biedna”... Pocieszają mnie. Czuję wstrząsy samochodu na drodze. Słyszę, jak drzę.

Potem znowu nic, a później odgłos jadącego samochodu i głosy kobiet. Płonę nadal, jakby ciągle jeszcze był na mnie ogień. Nie mogę podnieść głowy, nie mogę poruszyć ani ciałem, ani rękami, cała jestem w ogniu, ciągle w ogniu... cuchnę benzyną, nic nie rozumiem z dźwięku motoru, z lamentu tych kobiet, nie wiem, dokąd mnie zabierają. Kiedy otwieram nieco oczy, widzę jedynie kawałek mojej sukienki i skóry. To jest czarne i śmierdzi. Ciągle płonę, choć nie ma już na mnie ognia. Ale pomimo to płonę. W myślach nadal biegnę, cała w płomieniach.

Zaraz umrę. To dobrze. Być może już jestem martwa. Nareszcie koniec.

UMRZEĆ

Znajduję się na szpitalnym łóżku, skulona pod prześcieradłem jak pies.

Pojawia się jakaś pielęgniarka i zrywa ze mnie sukienkę. Ciągnie złośliwie materiał, paraliżuje mnie cierpienie. Prawie niczego nie widzę, moja broda przylepiła się do klatki piersiowej, nie mogę jej podnieść. Rękami też nie jestem w stanie poruszać. Czuję ból w głowie, na ramionach, plecach i piersiach. Brzydko pachnę. Ta pielęgniarka jest tak złośliwa, że kiedy wchodzi do pokoju, ogarnia mnie paraliżujący strach. Nie odzywa się do mnie. Przychodzi wrywać mi kawałki mojej skóry, kładzie kompres i wychodzi. Gdyby mogła mnie uśmiercić, zrobiłaby to, jestem pewna. Jestem złą dziewczuchą, skoro mnie spalono. Widocznie sobie na to zasłużyłam. Przecież nie jestem mężatką, a jestem w ciąży. Dobrze wiem, co o mnie myśli.

Ciemność. Śpiączka. Ile czasu, nocy i dni?...

Nikt nie chce mnie dotknąć, nikt się mną nie zajmuje, nie dostaję nic do jedzenia i picia, wszyscy czekają, kiedy umrę.

A ja tak chciałabym umrzeć, tak bardzo się wstydzę, że nadal jestem przy życiu. I tak bardzo cierpię. To nie ja się poruszam, to ta niedobra kobieta przewraca mnie, żeby zrywać kolejne kawałki skóry. Nic więcej. Chciałabym oleju, by trochę stłumić to straszne palenie, chciałabym, żeby ktoś zdjął ze mnie prześcieradło, aby świeże powietrze dało mi nieco chłodu. Jest tu jakiś lekarz. Zobaczyłam nogi w spodniach i białą bluzę. Coś mówił, ale nie zrozumiałam. I ciągle przychodzi ta niedobra kobieta. Mogę poruszać nogami, używam ich, aby od czasu do czasu unieść prześcieradło. Bolą mnie plecy, bolą mnie boki. Śpię z brodą przyklejoną na stałe do klatki piersiowej. Ze zwieszoną głową, tak jak w chwili, gdy pojawił się na mnie ogień.

Moje ręce są dziwne, trochę rozłożone na boki i obie sparaliżowane. Niby są na swoim miejscu, ale już mi do niczego nie służą. Tak bardzo chciałabym się drapać, zedrzeć siebie tę skórę, byle już tylko nie cierpieć.

Zmuszają mnie do wstania. Idę z tą pielęgniarką. Bolą mnie oczy. Widzę moje nogi, wiszące po obu stronach ręce, kafelki. Nienawidzę tej kobiety. Prowadzi mnie do łazienki i bierze szlauch, żeby mnie umyć. Mówi, że tak okropnie śmierdzę, iż chce się jej wymiotować. Cuchnę. Płaczę i stoję tam jak plugawy śmieć, jak obrzydliwa zgnilizna, na którą wylewa się kubek zimnej wody. Jak kupa w sedesie. Uruchamia się rezerwuar i już jest koniec. Cierpienie. Woda odrywa mi skórę, krzyczę, płaczę, błagam, krew spływa mi aż do stóp. Ona

każe mi stać prosto. Wirywa silnym strumieniem lodowatej wody kawałki czarnej skóry, strzępy spalonej sukienki, obrzydliwe śmieci, które gromadzą się w rogu kabiny. Wyraźnie czuję zgniliznę, spalone i uwędzone ciało. Pielęgniarka założyła maskę i od czasu do czasu wychodzi z łazienki, przeklinając mnie i kaszląc.

Budzę w niej obrzydzenie, powinnam zdechnąć jak pies, ale z daleka od niej. Dlaczego więc ze mną nie kończy? Wracam do łóżka, płonąca i lodowata jednocześnie. Ona rzuca na mnie prześcieradło, by mnie więcej nie widzieć. Zdychaj - mówi jej wzrok. Zdychaj, to wyrzucimy cię stąd.

Jest tu mój ojciec ze swoją laską. Jest wściekły, wali nią w podłogę, chce wiedzieć, z kim jestem w ciąży, kto mnie tu przywiózł, jak się to wszystko odbyło. Ma zaczerwienione oczy. Płacze, to stary człowiek, ale ciągle się boję i jego, i tej laski, nie jestem w stanie odpowiadać na pytania. Chcę zasnąć albo umrzeć, lub się obudzić. Ojciec tu był, ale już go nie ma. Ale to nie był sen, w głowie nadal mi dźwięczy: „Mów!”

Udaje mi się trochę unieść, prawie siedzę, co pozwala nie czuć przylepionych do prześcieradła ramion, głowę podtrzymuje mi poduszka. Nic nie sprawia mi ulgi, ale przez uchylone drzwi mogę chociaż widzieć, co się dzieje na korytarzu. Słyszę kogoś, spostrzegam białe stopy, długą, czarną sukienkę, niedużą sylwetkę, taką jak moja, szczupłą, prawie chudą. To nie pielęgniarka. To moja matka.

Jej dwa warkocze posmarowane oliwą z oliwek, czarny szal, to zabawne czoło, wypukłe między schodzącymi się nad nosem brwiami, podobna do żerującego ptaka. Boję się jej. Siada na stołku, na brzuchu trzyma czarną torbę. I zaczyna szlochać, pociągać nosem, wycierać chusteczką łzy, kiwa głową.

Płacze ze zmartwienia i wstydu. Płacze nad sobą i całą rodziną. W jej oczach widzę nienawiść.

Wypytuje mnie, przyciskając torbę do piersi. Dobrze znam tę torbę, przypomina mi dom. Zawsze zabiera ją ze sobą, kiedy wychodzi, jedzie do miasta czy idzie w pole. Wkłada do niej chleb, plastikową butelkę z wodą, czasem mleko. Boję się, ale mniej niż w obecności ojca, jak zwykle. Ojciec może mnie zabić, ona nie. Nie mówi, tylko wyjękuje zdania, ja szepczę.

- Posłuchaj, córko.... Nigdy nie będę mogła przyjąć cię z powrotem do domu w takim stanie, już nie możesz mieszkać w domu, czy ty siebie widziałas?

- Nie mogę się zobaczyć.

- Jesteś spalona. Wstyd spadł na całą rodzinę. Teraz nie mogę cię już zabrać. Powiedz mi, jak to się stało, że zaszłaś w ciążę? Z kim?

- To Faiez. Nie znam nazwiska jego ojca.

- Faiez? Nasz sąsiad?

I znów zaczyna, płakać i wciskać zwiniętą chusteczkę do oczu, jakby chciała ją wbić sobie do głowy.

- Gdzieś ty to zrobiła? Gdzie?

- Na polu.

Wykrzywia się, gryzie sobie wargi i płacze jeszcze bardziej.

- Posłuchaj, moja córko, posłuchaj, bardzo chciałabym, żebyś umarła, będzie lepiej, jak umrzesz. Twój brat jest młody, jeśli nie umrzesz, będzie miał kłopoty.

Mój brat będzie miał kłopoty. Jakie kłopoty? Nic nie rozumiem.

- Przyjechała policja, żeby zobaczyć się z całą rodziną. Z całą rodziną. Twoim ojcem, twoim bratem, twoją matką i twoim szwagrem, z całą rodziną. Jeżeli nie umrzesz, twój brat też będzie miał kłopoty z policją.

Chyba wyjęła szklankę z torby, bo dookoła mnie niczego nie ma. Ani stolika przy łóżku, ani innego mebla. Nie, nie widziałam, żeby szukała w torbie, wzięła szklankę z parapetu pod oknem, to szklanka szpitalna. Ale nie zauważyłam, czym ją wypełniła.

- Jeśli tego nie wypijesz, twój brat będzie miał problemy, do domu przyjechała policja.

Pewnie naląła czegoś do niej, kiedy płakałam ze wstydu, z cierpienia, ze strachu. Płakałam z tylu powodów, z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami.

- Wypij to... co ci ja daję.

Nigdy nie zapomnę tej dużej szklanki, pełnej po brzegi, z przezroczystym płynem w środku, wyglądającym jak woda.

- Wypijesz to i twój brat nie będzie miał kłopotów. Tak będzie lepiej, lepiej dla ciebie, lepiej dla mnie, lepiej dla twojego brata.

I płakała. Ja także. Pamiętam, że łzy spływały mi po oparzeniach na policzkach, brodzie, wzdłuż szyi i rozdzierały mi skórę.

Nie byłam w stanie podnieść rąk. To ona położyła mi dłonie na głowie i nieco ją podniosła, kierując w stronę trzymanej przez nią szklanki. Do tej pory nikt nie dał mi nic do picia. Zbliżyła tę dużą szklankę do moich ust. Chciałam zamoczyć w niej chociaż wargi, tak bardzo chciało mi się pić. Próbowалаm podnieść brodę, ale mi się nie udało.

Nagle do pokoju wszedł lekarz i matka podskoczyła. Wziął szklankę gwałtownym ruchem, postawił ją brutalnie na oknie i krzyknął bardzo głośno: „Nie!”

Widziałam, jak płyn rozpląwał się po parapecie. Płynął wzdłuż szklanki, przezroczysty, zupełnie jak woda.

Lekarz wziął matkę pod ramię i wyprowadził z pokoju. Ciągle patrzyłam na tę szklankę, wypiłabym to nawet z podłogi, wylizalabym językiem jak pies. Chciało mi się pić, chciałam w równym stopniu ugasić pragnienie co umrzeć.

Lekarz wrócił z powrotem i powiedział:

- Masz szczęście, że przyszedłem w odpowiedniej chwili. Najpierw twój ojciec, a teraz matka! Nikt z twojej rodziny więcej tu nie wejdzie!

Wziął szklankę i jeszcze raz powtórzył:

- Miałaś szczęście... Nie chcę już nikogo widzieć z twojej rodziny!

- Mój brat Assad, chciałabym zobaczyć brata, on jest miły.

Nie wiem, co mi odpowiedział. Zachowywałam się dziwnie, w głowie wszystko mi się kręciło. Czy matka mówiła mi o policji, że mój brat będzie miał kłopoty? Dlaczego on, przecież to Hussein rozpałił na mnie ogień? Ta szklanka miała sprowadzić na mnie śmierć.

Na brzegu okna jeszcze widać było plamę. Matka pragnęła mojej śmierci, ja również. A jednak miałam szczęście, tak powiedział lekarz, bo już prawie wypłam tę niewidzialną truciznę. Czułam się wyzwolona, jakby mnie ktoś odczarował od śmierci, jakby lekarz przepędził ją w jednej sekundzie. Moja matka była doskonałą matką, najlepszą z matek, wykonywała swój obowiązek, przynosząc mi śmierć. Tak byłoby dla mnie lepiej. Nie trzeba było ratować mnie od ognia, przywozić tutaj na takie cierpienia i pozwalać mi umierać powoli, abym w końcu uwolniła od wstydu siebie i całą rodzinę.

Przyszedł mój brat, trzy lub cztery dni później. Nigdy nie zapomnę tej przezroczystej, plastikowej siatki, widziałam w niej pomarańcze i banana. Od momentu przybycia do szpitala niczego nie jadłam ani nie piłam. Sama nie mogłam, zresztą nikt nie chciał mi pomóc. Nawet lekarz nie ośmielał się tego zrobić. Zrozumiałam, że pozostawiono mnie tak, abym umarła, nie należało mieszać się do mojej historii. W oczach tych wszystkich ludzi byłam winna. Dzieliłam los wszystkich tych kobiet, które splamiły honor mężczyzn. Myto mnie jedynie dlatego, że potwornie cuchnęłam, nie po to, żeby mnie leczyć. Trzymano mnie tu, bo to był szpital, w którym miałam umrzeć i nie przysparzać więcej problemów moim rodzicom i całej wiosce.

Hussein źle wykonał swoje zadanie, pozwolił mi wybiec wraz z ogniem.

Assad nie zadawał mi pytań. Bał się i chciał czym prędzej wracać do wioski.

- Wrócę przez pola, żeby nikt mnie nie zobaczył. Gdyby rodzice wiedzieli, że przyszedłem się z tobą zobaczyć, miałbym sporo kłopotów.

Chciałam, żeby przyszedł, a jednak byłam niespokojna, kiedy tak się nade mną pochylał. Widziałam w jego oczach, że moje poparzenia wywołują w nim uczucie

obrzydzenia. Nikt, nawet on nie zainteresował się, do jakiego stopnia cierpiałam z powodu tej skóry, która się złościła, gniła, sączyła, pożerała mnie powoli niczym jad węża, całą górną część mojego ciała, moją czaszkę pozbawioną włosów, barki, ramiona, plecy, piersi.

Bardzo płakałam. Czy płakałam dlatego, iż wiedziałam, że widzę go po raz ostatni? Czy płakałam dlatego, że tak bardzo chciałam zobaczyć jego dzieci? Wszyscy czekali, aż jego żona urodzi. Dowiedziałam się znacznie później, że miała dwóch chłopców. Pewnie cała rodzina podziwiała ją i gratulowała.

Nie mogłam zjeść owoców. Sama, bez pomocy, nie byłam w stanie i torba zniknęła.

Już nigdy więcej nie zobaczyłam mojej rodziny. Ostatni obraz mojej matki to ten, kiedy trzyma napełnioną trucizną szklanekę. A ojca - jak z wściekłością wali laską w podłogę. I brata z torbą owoców.

W głębi, na samym dnie mojego cierpienia, próbowałam jeszcze zrozumieć, dlaczego nic nie widziałam, kiedy na mojej głowie pojawił się ogień. Obok mnie znajdował się bidon z benzyną, ale był zatkany korkiem. Nie spostrzegłam, żeby Hussein po niego sięgał. Miałam opuszczoną głowę, kiedy mówił, że „się mną zajmie”, i przez parę sekund poczułam się uratowana, zmylona jego uśmiechem i tą trawką, którą spokojnie żuł w ustach. W rzeczywistości chciał zdobyć moje zaufanie, nie chciał ryzykować, że mu ucieknę. Wszystko przedyskutował poprzedniego dnia z moimi rodzicami. Ale skąd wziął ogień? Z żaru pieca? Niczego nie zauważyłam. Czy użył zapalek, skoro to się stało tak szybko? Koło mnie zawsze leżało pudełko zapalek, ale też niczego nie zauważyłam. Więc zapalniczka w jego kieszeni... Jak tylko poczułam zimny płyn na włosach, stanęłam w płomieniach. Tak bardzo chciałabym wiedzieć, dlaczego niczego nie zauważyłam.

Nocą, gdy leżę plackiem na tym łóżku, przeżywam koszmar bez końca. Znajduję się w całkowitej ciemności, dookoła siebie widzę zasłony, okno znikło. Nagle dziwny ból, niczym pchnięcie noża w brzuch, nogi zaczynają mi drżeć... pewnie zaczynam umierać. Staram się nieco unieść, ale nie jestem w stanie. Moje ramiona, ręce są nadal sztywne, dwie plugawe rany, które odmawiają mi posłuszeństwa. Nikogo obok mnie nie ma, jestem sama, kto więc wbił mi ten nóż do brzucha?

Czuję coś dziwnego między udami. Zginam jedną nogę, potem drugą, szukam stopą, próbuję sama uwolnić się od tego czegoś, co mnie przeraża. Na początku nie zdaję sobie zupełnie sprawy z tego, że właśnie rodzę. Macam stopami w ciemności. Całkiem nieświadomie wypycham z siebie dziecko, powoli, na prześcieradło. Potem przestaję się ruszać, wykończona wysiłkiem. Zbliżam nogi i wyczuwam noworodka, z każdej strony. Trochę się porusza. Wstrzymuję oddech. W jaki sposób wyszedł tak szybko? Uderzenie

nożem w brzuch i już jest tutaj? Musiałam chyba zasnąć, to niemożliwe, dziecko nie wyszło ze mnie tak nagle, bez uprzedzenia. Śni mi się jakiś koszmar.

Aleja nie śnię, bo czuję je tam, między kolanami, skórą moich ud. Nogi nie są poparzone, wszystko dokładnie nimi czuję, udami, łydkami i stopami. Nie ośmielam się poruszyć, potem delikatnie podnoszę stopę i, jakby to była ręka, dotykam... maleńkiej główki i słabo poruszających się rączek.

Chyba musiałam krzyczeć. Nie przypominam sobie. Do pokoju wszedł lekarz, odstąpił zasłony, ale ja nadal pozostawałam w ciemności. Na zewnątrz musiała być noc. Widziałam jedynie jakieś światło na korytarzu, jego smuga wpadała przez uchylone drzwi. Lekarz pochylił się, ściągnął prześcieradło i zabrał dziecko, nawet mi go nie pokazując.

Już nic nie mam między nogami. Ktoś zasłania zasłony. Nie pamiętam niczego więcej. Może zemdlałam, spałam bardzo długo, nie wiem. Nazajutrz i w ciągu następnych dni jestem pewna jednej rzeczy, nie mam już dziecka w brzuchu.

Nie wiedziałam, czy jest martwe, czy żywe, nikt mi o nim nie mówił, a ja nie odważyłam się spytać tej złej pielęgniarki, co potem zrobili z tym dzieckiem.

Niech mi ono wybaczy, że nie byłam w stanie dać mu normalnego życia. Wiedziałam, że urodziłam, ale nawet go nie widziałam. Nie położono mi go w ramiona, nie wiedziałam, czy to chłopiec, czy dziewczynka. W tym momencie nie byłam matką, ale ludzkim strzępem skazanym na śmierć. Najsilniejszy był wstyd.

Lekarz powiedział mi później, że urodziłam w siódmym miesiącu maleńkie dziecko, że żyje i znajduje się w zupełnie innym miejscu. Słuchałam bardzo uważnie tego, co do mnie mówił, moje spalone uszy sprawiały mi straszny ból. Cała góra mojego ciała była jednym potwornym cierpieniem, przechodziłam ze śpiączki w stan półczuwania, nie zdając sobie sprawy, ile już przeszło dni i nocy. Wszyscy mieli nadzieję, że w końcu umrę, i nie czekali na nic innego.

Ja też uważałam, że Bóg nie pozwala mi umrzeć dostatecznie szybko. Noce myliły się z dniami w tym samym koszmarze i w rzadkich momentach świadomości miałam tylko jedną obsesję: wyrwać sobie paznokciami tę cuchnącą, gnijącą skórę, która pożera moje ciało. Niestety, ręce już nie chciały mnie słuchać.

Pewnego razu ktoś wszedł do pokoju, w środku takiego koszmaru. Bardziej wyczułam tę czyjąś obecność, niż ją zobaczyłam. Ręka jakiejś kobiety przesunęła się jak cień tuż przed moją twarzą, nie dotykając jej. Kobięcy głos z zabawnym akcentem odezwał się do mnie po arabsku:

- Pomogę ci... Zaufaj mi, pomogę ci, czy mnie słyszysz?

Powiedziałam „tak”, wcale w to nie wierząc, tak strasznie źle było mi w tym łóżku, w którym leżałam wystawiona na pogardę innych. Nie wiedziałam, w jaki sposób można mi pomóc, a zwłaszcza kto mógłby to zrobić.

Zawieźć mnie z powrotem do rodziny? Rodzina mnie nie chciała. Kobieta, podpalona w sprawie honorowej, powinna spłonąć całkowicie. Pomóc mi w cierpieniu, czyli pomóc mi umrzeć, to było jedyne rozwiązanie.

Ale powiedziałam „tak” głosowi tej kobiety, chociaż nie wiedziałam, kim ona jest.

JACQUELINE

Mam na imię Jacqueline. W tamtych latach przebywałam na Bliskim Wschodzie, gdzie pracowałam w organizacji humanitarnej „Ziemia ludzi”. Biegałam po szpitalach w poszukiwaniu dzieci opuszczonych, niepełnosprawnych, w stanie niedożywienia. Współpracowałam z Międzynarodowym Komitetem Czerwonego Krzyża i innymi organizacjami zajmującymi się Palestyńczykami i Izraelitami. Tak więc miałam kontakt z obydwoma tymi społecznościami. Żyłam wśród nich.

A jednak dopiero po siedmiu latach obecności na Bliskim Wschodzie dowiedziałam się o mordowaniu młodych dziewcząt, gdy ich rodziny zarzucały im spotkanie z jakimś chłopcem lub rozmowę z nim. Czasem podejrzewa się je bez najmniejszych powodów i dowodów; wystarczy, że ktoś coś powie. Zdarza się, że te dziewczęta rzeczywiście mają przygodę z chłopcem, co w ich społecznościach jest absolutnie nie do pomyślenia, zwłaszcza że to ojcowie decydują o małżeństwach. Docierało do mnie, że... Mówiono mi... Ale aż do tej pory nigdy nie spotkałam się z podobnym przypadkiem.

Dla umysłu człowieka z Zachodu myśl, że rodzice lub bracia mogą zamordować swoją własną córkę lub siostrę tylko dlatego, że się zakochała, może wydawać się jakąś paranoją, czymś, w co nie da się uwierzyć, zwłaszcza w tamtych czasach. U nas kobiety są wyzwolone, głosują, same decydują o macierzyństwie bez męża....

Ale ja tu przebywałam od siedmiu lat, dlatego natychmiast w to uwierzyłam, nawet jeśli nigdy czegoś podobnego nie widziałam i pierwszy raz ktoś mi o tym powiedział. Trzeba, aby powstał klimat wielkiego zaufania, by w ogóle poruszyć ten temat tabu, zwłaszcza że nie powinno to interesować cudzoziemców.

Pewna znajoma kobieta zdecydowała się mi o tym powiedzieć. To moja dobra koleżanka, jest chrześcijanką, widujemy się dość często, bo ona również zajmuje się dziećmi. Ma więc kontakt z wieloma matkami, przyjeżdżającymi z każdego zakątka kraju, z miasteczek i wiosek. W swoim oddziale jest ona trochę jak *moukhtar*, to znaczy zaprasza te kobiety na kawę lub herbatę i dowiaduje się od nich, co dzieje się w ich wioskach i osadach. Tutaj jest to niezwykle ważna forma komunikacji. Codziennie pije się kawę czy herbatę i rozmawia, to taki tutejszy obyczaj, a dla niej jest to okazja do wykrycia przypadków dzieci znajdujących się w trudnej sytuacji.

Pewnego dnia usłyszała rozmowę toczącą się w niedużej grupie kobiet: „W wiosce była dziewczyna, co się bardzo źle prowadziła, więc rodzice próbowali ją spalić. Mówią, że teraz jest gdzieś w szpitalu”.

Moja koleżanka obdarzona jest pewną charyzmą, to osoba szanowana, a poza tym daje dowód niezwykłej odwagi, wkrótce zdam sobie z tego sprawę. Zwykle zajmuje się tylko dziećmi, ale matka przecież nigdy nie jest daleko od dziecka! Tak więc, około 15 września tamtego roku, koleżanka mówi do mnie:

- Słuchaj, Jacqueline, w szpitalu jest dziewczyna w stanie agonalnym. Asystentka społeczna potwierdziła, że ta dziewczyna została podpalona przez kogoś z rodziny. Czy mogłabyś coś zrobić?

- Co jeszcze wiesz na ten temat?

- Tylko tyle, że jest to młoda dziewczyna, że była w ciąży, a ludzie w wiosce o niej mówią: „Bardzo dobrze zrobili, że ją ukarali, teraz umrze w szpitalu”.

- To potworne!

- Wiem, ale tutaj tak jest. Była w ciąży i proszę, teraz musi umrzeć. To wszystko. To normalne. Mówi się: „Biedni rodzice!”. To nad nimi się litują, nie nad nią. Zresztą, ona i tak wkrótce umrze, z tego co do mnie doszło.

Kiedy usłyszałam tę historię, w mojej głowie rozległ się dzwonek alarmowy. Jak wspomniałam, w tamtych latach pracowałam dla „Ziemi ludzi”, organizacji kierowanej przez fantastycznego człowieka: Edmonda Kaisera. Moją podstawową misją była opieka nad dziećmi. Nigdy dotąd nie zetknęłam się z podobnym przypadkiem, ale powiedziałam sobie: „No, Jacqueline, staruszek, musisz przyjrzeć się z bliska, o co tu chodzi”.

Pojechałam do tego szpitala. Znałam go dość słabo, bo nieczęsto w nim bywałam. Na ogół nie mam problemów, bo znam kraj, jego obyczaje, radzę sobie z językiem i spędziłam już mnóstwo czasu w różnych szpitalach. Po prostu żądałam, aby zaprowadzono mnie do dziewczyny, która została podpalona. Prowadzono mnie bez problemu do dużego pokoju, w którym zobaczyłam dwa łóżka i dwie dziewczyny. Odniosłam wrażenie, że chodzi tu o rodzaj umieralni. Miejsce, gdzie umieszcza się chorych, których nie należy pokazywać.

Pokój był dosyć ciemny, kraty w oknach, te dwa łóżka, a reszta zionęła pustką.

Ponieważ były dwie dziewczyny, spytałam pielęgniarkę:

- Szukam tej, która niedawno urodziła dziecko.

- Ach, tak, to ta!

I to wszystko. Pielęgniarka odchodzi. Nawet nie zatrzymuje się w korytarzu, nie pyta mnie, kim jestem, zupełnie nic! Tylko ten niedbały ruch w kierunku jednego z łóżek: „To ta!”.

Widzę jedną z ich, ma krótkie, kręcone włosy, prawie zupełnie wygolone; ta druga ma włosy półdługie, proste. Obydwie dziewczyny mają czarne twarze, pełne sadzy. Ich ciała przykrywają prześcieradła. Wiem, że są tu od pewnego czasu. Od jakichś dwóch tygodni, tak mi powiedziano. Od razu widać, że nie mogą mówić. Dwie konające. Ta o prostych włosach jest w śpiączce. Druga, ta, która urodziła dziecko, chwilami uchyla z trudem powieki.

Nikt nie zagląda do tej sali, ani lekarz, ani pielęgniarka. Nie ośmielam się odezwać, jeszcze bardziej boję się dotknąć ich ciał, panujący tu odór jest wyjątkowo obrzydliwy. Przyszłam tu zobaczyć jedną, a oto znajduję dwie, potwornie spalone i bez żadnej pomocy medycznej. Idę poszukać innej pielęgniarki niż ta, która przyprowadziła mnie do tej umieralni. Szybko na jakąś trafiam: „Chciałabym się zobaczyć z ordynatorem tego szpitala”.

Jestem zaznajomiona z podobnymi ośrodkami szpitalnymi, nie jest to dla mnie niczym nowym. Ordynator przyjmuje mnie dobrze, jest raczej sympatyczny.

- Są tu dwie spalone dziewczyny. Pan wie, że pracuję w organizacji humanitarnej, może mogłabym im pomóc?

- Proszę posłuchać... nie radzę pani. Jedna z nich upadła w ogień, druga... to sprawa rodzinna. Naprawdę radzę pani się w to nie mieszać.

- Panie doktorze, moja praca polega jednak na niesieniu pomocy, zwłaszcza osobom, które nie mogą liczyć na inną pomoc. Mógłby pan powiedzieć mi coś więcej?

- Nie, nie, nie. Niech pani będzie ostrożna. Proszę się nie mieszać w historii tego typu!

Skoro tak, nie należy nikogo zmuszać. Nie naciskam więc dłużej, schodzę z powrotem do tej strasznej umieralni i siadam na chwilę. Czekam, mam nadzieję, że z tą, która próbuje otworzyć trochę oczy, będzie można się jakoś porozumieć. Stan tej drugiej jest bardziej niepokojący.

Kiedy pielęgniarka przechodzi korytarzem, próbuję zadać jej pytanie:

- Ta dziewczyna, która ma włosy i się nie rusza, co takiego się jej przytrafiło?

- Ach, przewróciła się w ogień, bardzo z nią źle, wkrótce umrze.

W tej diagnozie nie ma żadnej litości. Tylko stwierdzenie faktu.

Ale wytłumaczenie, że „przewróciła się w ogień”, bynajmniej mnie nie myli.

Ta druga trochę się rusza. Zbliżam się do niej i stoję tak, nic nie mówiąc. Obserwuję, próbuję zrozumieć, słucham odgłosów na korytarzu w nadziei, że przyjdzie tu ktoś, do kogo

będę mogła się zwrócić. Ale pielęgniarki przechodzą bardzo szybko, zupełnie nie zajmują się tymi dwiema dziewczynami. Z całą pewnością nie otrzymują tu żadnej pomocy medycznej. Pewnie coś tam przy nich robią, ale nie bardzo widzę co. Nikt do mnie nie podchodzi, o nic nie pyta. A przecież jestem tu kimś obcym, cudzoziemką, ubraną w sposób zachodni, choć zawsze odpowiednio przykrytą, przez szacunek dla tradycji kraju, w którym pracuję. To konieczne, jeśli chce się być przyjmowaną w urzędach, gdziekolwiek. Ktoś mógłby mnie przynajmniej spytać, co tu właściwie robię, ale zamiast tego spotykam się z całkowitą ignorancją.

Po jakiejś chwili pochylałam się nad dziewczyną, która trochę się porusza, może będzie mogła mnie usłyszeć, jednak zupełnie nie wiem, gdzie mogłabym jej dotknąć. Prześcieradło nie pozwala mi zobaczyć, w jakim stopniu jest poparzona. Widzę, że podbródek całkowicie przykleił się do klatki piersiowej. Stał się jakby kawałkiem całości. Widzę także spalone uszy, niewiele z nich pozostało. Przesuwam dłonią przed jej oczami. Nie reaguje. Nie widzę jej ramion ani rąk, ale nie ośmielałam się podnieść prześcieradła. Jestem bezradna, nie wiem, jak się do tego zabrać. Powinnam jednak jakoś jej dotknąć, dać znać o swojej obecności. Zupełnie jak z osobą umierającą, której chcemy przekazać, że ktoś jest tuż obok, żeby poczuła przy sobie fizyczną obecność drugiej osoby.

Jej nogi są rozłożone, kolana pod prześcieradłem podniesione są ku górze, tak siadają kobiety na Wschodzie, tyle że ta jest w pozycji poziomej. Kładę delikatnie rękę na jej kolanie, a ona otwiera oczy.

- Jak się nazywasz?

Nie odpowiada.

- Posłuchaj, pomogę ci. Wrócę tu i pomogę ci.

- *Aioua.*

- Tak - po arabsku, to wszystko. Ponownie zamyka oczy. Nie wiem nawet, czy w ogóle mnie zobaczyła.

To było moje pierwsze spotkanie z Souad.

Ze szpitala wyszłam zbulwersowana. Musiałam coś z tym zrobić, było to dla mnie oczywiste! We wszystkim, czym się do tej pory zajmowałam w organizacji, odnosiłam wrażenie, że odpowiadam na jakiś apel, wezwanie. Mówili mi o jakimś nieszczęściu, więc szłam tam, wiedząc, że jakoś z pewnością pomogę, że odpowiem na to wołanie. W tym przypadku nie wiedziałam jeszcze, co zrobić, ale coś zrobić na pewno musiałam.

Spotkałam się z moją koleżanką, przekazała mi trochę więcej informacji o tej dziewczynie.

- Dziecko, które urodziła, pod nadzorem policji zostało zabrane przez opiekę społeczną. Naprawdę nic tu nie będziesz mogła zrobić. Ona jest młoda, w szpitalu nikt ci nie pomoże. Jacqueline, uwierz mi, nie możesz nic dla niej zrobić.

- Dobrze, zobaczymy.

Następnego dnia wróciłam do szpitala. Nadal nie była w pełni świadoma, a jej sąsiadka na łóżku obok ciągle pozostawała w śpiączce. I ten odrażający odór, nie do wytrzymania. Nie mam pojęcia, jak rozległe były te oparzenia, ale czuło się po zapachu, że nikt ich nie dezynfekował. Nazajutrz jedno z łóżek okazało się puste. Dziewczyna w śpiączce zmarła w nocy. Popatrzyłam na to puste, niedbale posprzątane łóżko z ogromnym poczuciem bezradności i smutku. Zawsze ogarnia nas uczucie bólu, gdy nie możemy w niczym pomóc. Pomyślałam: „Teraz trzeba się zająć tą drugą”. Ale ona nie była w pełni świadoma, bardzo majaczyła i nic nie rozumiałam z tego, co usiłowała mi przekazać.

I oto uzyskuje pomoc. Nazywam to prawdziwym cudem. Pomoc nadchodzi w osobie młodego, palestyńskiego lekarza, którego widzę tutaj po raz pierwszy. Dyrektor szpitala już mi powiedział:

- Niech pani ją zostawi, ona umrze.

Pytam młodego lekarza, co o tym sądzi:

- Jakie jest pańskie zdanie, doktorze? Dlaczego do tej pory nikt nie oczyścił jej choćby twarzy?

- Próbujemy ją czyścić, na ile to możliwe, to nie jest takie proste. Ten rodzaj przypadku jest dla nas bardzo trudny, skomplikowany, z powodu obyczajów... rozumie pani...

- Uważa pan, że można by ją uratować, w ogóle coś zrobić?

- Skoro nie umarła do tej pory, to może jest jakaś szansa. Niech jednak będzie pani ostrożna w tego typu sprawach, naprawdę bardzo ostrożna.

W następnych dniach widzę, że twarz jest coraz bardziej czysta, są na niej ślady merkurochromu. Młody lekarz musiał wydać odpowiednie polecenia pielęgniarce, ale chyba zbyt nie angażował się w całą sprawę. Znacznie później Souad opowiedziała mi, że ciągnięto ją za włosy, by doprowadzić do wanny, a postępowano tak dlatego, że absolutnie nikt nie chciał się do niej dotknąć. Powstrzymuję się więc od krytyki, to tylko pogorszyłoby moje stosunki ze szpitalem. Szukam mojego młodego lekarza, wydaje się, że jest on jedyną osobą, z którą można konkretnie porozmawiać.

- Pracuję w organizacji humanitarnej, mogłabym coś zrobić, więc chciałabym wiedzieć, czy jest nadzieja, że można utrzymać ją przy życiu.

- Wydaje mi się, że tak. Można spróbować jakiegoś leczenia, ale wątpię, by mogło to nastąpić w naszym szpitalu.

- To może trzeba by zmienić szpital?

- Tak, ale ona ma rodzinę, rodziców, jest niepełnoletnia, tak nie można! Nie możemy interweniować. Rodzice wiedzą, że ona tu jest, matka już u niej była, zresztą od tej pory mają zakaz odwiedzin... to bardzo specyficzny przypadek, proszę mi wierzyć.

- Proszę posłuchać, doktorze, ja jednak chcę coś zrobić. Nie wiem, jakie są tu zakazy, ale skoro mówi pan, że jest dla niej nadzieja na życie, na jakiegokolwiek życie, nawet najmniejsze, nie mogę tego tak zostawić.

Wtedy ten młody lekarz przygląda mi się uważnie, trochę zdumiony moim uporem. Myśli pewnie, że nie zdaję sobie sprawy z trudności... ot, taka tam jedna z tych „humanitarnych”, która nic nie rozumie z panujących w tym kraju obyczajów. Palestyńczyk ma około trzydziestu lat, wygląda bardzo sympatycznie. Jest wysoki, szczupły, ciemnowłosy i dobrze mówi po angielsku. Wcale nie jest podobny do swoich kolegów po fachu, tamci są raczej zamknięci na pytania ludzi z Zachodu.

- Jeśli będę mógł, pomogę pani.

Mam go. W następnych dniach chętnie rozmawia ze mną o stanie pacjentki. Ponieważ kończył studia w Wielkiej Brytanii i jest bardziej „cywilizowany”, nasze kontakty są łatwiejsze. Posuwam się trochę dalej w moim „śledztwie” dotyczącym Souad, dowiaduję się, że rzeczywiście nie jest tu leczona.

- Jest niepełnoletnia, absolutnie nie możemy jej dotknąć bez pozwolenia ze strony rodziców. A dla nich ona jest martwa, w każdym razie czekają na jej śmierć.

- Ale gdybym chciała przetransportować ją do innego szpitala, gdzie mogłaby dostać pomoc lekarską, myśli pan, że dostałabym taką zgodę?

- Nie. Tylko rodzice mogą na to pozwolić, a oni na pewno się na to nie zgodzą!

Idę do mojej koleżanki, od której zaczęła się ta cała historia. Przedstawiam jej mój pomysł:

- Chcę ją przewieźć gdzie indziej. Co o tym sądzisz? Czy to możliwe?

- Wiesz, jeśli rodzice chcą, żeby umarła, to niczego nie wskórasz. To sprawa honoru dla nich i dla całej wioski.

Jestem dość uparta w tego typu sprawach. Nie zadowala mnie odpowiedź negatywna, chcę, by negatyw stał się pozytywnem, choćby nawet ów pozytyw był dosyć mizerny. W każdym razie nie zamierzam tego tak zostawić, skoro zaczęłam, chcę iść aż do końca.

- A czy myślisz, że mogłabym pojechać do tej wioski?

- No, w ten sposób to już naprawdę bardzo ryzykujesz. Posłuchaj mnie uważnie. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, czym jest nienaruszalny kodeks honorowy. Oni pragną jej śmierci, bo inaczej ich honor nie zostanie oczyszczony, a rodzina będzie odrzucona przez całą społeczność w wiosce. Będą musieli ją opuścić zhańbieni, czy ty to rozumiesz? Zawsze możesz spróbować rzucić się w paszczę lwa, ale moim zdaniem to zbyt wielkie ryzyko, a poza tym i tak i czego nie osiągniesz. Ona została skazana. Zbyt długo pozostaje bez jakiegokolwiek leczenia przy takich poparzeniach, nie ma szans na przeżycie, biedaczka.

Jednak mała Souad otwiera troszkę oczy, kiedy do niej przychodzę. Słucha, co do niej mówię, i odpowiada pomimo straszliwych cierpień.

- Wiem, że urodziłaś dziecko. Gdzie ono jest?

- Nie wiem. Zabrali je. Nie wiem...

Wobec bólu, jaki musi znosić, i tego, co ją czeka, czyli zaplanowanej śmierci, dobrze rozumiem, że dziecko nie jest jej najważniejszym problemem.

- Souad, musisz mi odpowiedzieć, bo chcę coś zrobić. Gdyby udało mi się wydostać cię stąd, zawieźć gdzie indziej, będziesz chciała ze mną pojechać?

- Tak, ale wiesz, moi rodzice...

- Zobaczą się z twoimi rodzicami. Zobaczymy, co da się zrobić. Zgoda? Ufasz mi?

- Tak... Dziękuję.

Wyposażona w to zaufanie, pytam młodego lekarza, czy wie, gdzie znajduje się ta słynna wioska, w której młode dziewczyny, których jedyną winą jest to, że się zakochały, pali się jak pochodnie.

- Ona pochodzi z małej wioski, właściwie osady, jakieś czterdzieści kilometrów stąd. To dosyć daleko, właściwie nie ma tam bitej drogi, to niebezpieczne, bo nie bardzo wiadomo, co się tam dzieje. W tych rejonach nie ma policji.

- Nie wiem, czy mogę tam pojechać sama...

- Ojej! Absolutnie pani odradzam. Już żeby znaleźć tę osadę, zgubi się pani z dziesięć razy. Tu nie ma aż tak szczegółowych map...

Może jestem naiwna, ale nie tak bardzo. Wiem, że to ogromny problem, zwłaszcza pytać o drogę w takich miejscach, szczególnie gdy jest się cudzoziemcem. Tym bardziej że ta osada znajduje się na terytorium okupowanym przez Izrael. Ja, Jacqueline, z „Ziemi ludzi” czy nie, z misji humanitarnej czy nie, chrześcijanka czy nie, mogę w zupełności przypominać Izraelitkę wysłaną na przesłpiegi do Palestyńczyków. Lub na odwrót, w zależności od odcinka drogi, na której się znajdę.

- Czy byłby pan skłonny oddać mi przysługę i pojechać tam ze mną?

- To czyste szaleństwo.

- Proszę mnie posłuchać, doktorze, moglibyśmy uratować jedno życie... sam pan mówi, że jest nadzieja, gdyby udało się ją stąd zabrać...

Ocalić jedno życie. Ten argument ma dla niego sens, przecież jest lekarzem. Ale także pochodzi z tego kraju, jak pielęgniarki, a dla tych pielęgniarek Souad, lub każda inna dziewczyna jej pokroju, musi umrzeć...

Już jedna z nich nie przeżyła. Nie wiem, czy ona też miała szansę z tego wyjść, wiem jedynie, że w ogóle nie była leczona. Miałabym wielką ochotę powiedzieć temu sympatycznemu lekarzowi, że dla mnie jest czymś nie do przyjęcia pozwolić „zdychać” młodej dziewczynie tylko dlatego, że takie panują tu obyczaje! Ale tego nie zrobię, bo dobrze wiem, że on sam tkwi w kleszczach tego systemu w tym szpitalu, że ma swego dyrektora, pielęgniarki, całą tutejszą społeczność. Jest już i tak wyjątkowo odważny, bo rozmawia o tym ze mną. Zbrodnie honorowe są tematem tabu.

A jednak udaje mi się go w połowie przekonać. To naprawdę bardzo dobry człowiek, szlachetny, rozczuła mnie, kiedy mówi mi, wahając się:

- Nie wiem, czy będę miał wystarczająco dużo odwagi...

- Zawsze możemy spróbować. Jeśli się nie uda, wrócimy.

- Zgoda, ale pozwól mi pani się wycofać, jeśli zdarzą się jakieś najmniejsze komplikacje.

Obiecuję. Ten mężczyzna, nazwę go Hassan, będzie więc mi służył za przewodnika.

Jestem młodą kobietą z Zachodu, pracującą na Bliskim Wschodzie w ramach organizacji „Ziemia ludzi” i zajmuję się wymagającymi opieki dziećmi, bez względu na to, czy są muzułmanami, żydami czy chrześcijanami. To bardzo trudne zadanie, wymagające skomplikowanej dyplomacji. Ale tego dnia, gdy wsiałam do mojego samochodu wraz z tym odważnym lekarzem, nie zdaje sobie do końca sprawy z ryzyka. Drogi nie są pewne, mieszkańcy bardzo nieufni, ciągnę ze sobą arabskiego lekarza, świeżo upieczonego absolwenta angielskiej uczelni, wplątuje go w niesłychaną przygodę, niesłychaną, gdyby nie to, że jej cel jest tak ważny. Musiał uważać mnie za kompletną wariatkę.

W dzień wyjazdu Hassan jest prawie zielony ze strachu. Skłamałabym, mówiąc, że ja byłam na luzie, ale z moją młodzieńczą nieświadomością z tamtych czasów i zaangażowaniem w pomoc innym ludziom rzuciłam się na głęboką wodę. Oczywiście żadne z nas nie miało przy sobie broni.

Dla mnie jest to: „z Bogiem”, dla niego: *insz' Allah!*

Po opuszczeniu miasta przemierzamy klasyczny krajobraz palestyńskiej wsi, przemierzamy się wśród skrawków ziemi należących do drobnych, małych rolnych chłopów. Parcele otoczone są niewysokimi murkami z kamieni, na których wylegają się jaszczurki, a między kamieniami prześlizgują się węże. Ziemia ma kolor czerwonej ochry, rośnie tu mnóstwo opuncji.

Prowadząca z miasta droga nie jest wyasfaltowana, ale przejezdna. Łączy osady i wioski, targowiska. Wyrównały ją dostatecznie izraelskie czołgi, ale pozostała jeszcze wystarczająca ilość dziur, by mój mały samochód zaczął podskakiwać i łomotać. Im bardziej oddalamy się od miasta, tym więcej spotykamy niewielkich upraw. Jeśli parcela jest dostatecznie duża, chłopci uprawiają na niej zboże, natomiast mniejsze służą za pastwiska. Widać trochę kóz i baranów. Więcej, jeśli chłop jest bogaty.

Uprawami zajmują się dziewczyny. Bardzo rzadko (a właściwie w ogóle) chodzą do szkoły, a te, które mają szczęście tam chodzić, szybko są stamtąd zabierane, żeby zająć się w domu młodszym rodzeństwem. Już wiedziałam, że Souad jest zupełnie niepiśmienna.

Hassan zna tę drogę, ale jedziemy na poszukiwanie osady, o której nikt nigdy nie słyszał. Od czasu do czasu pytamy o drogę, ale ponieważ na moim samochodzie widnieje izraelska rejestracja, narażamy się na pewne niebezpieczeństwo. Jesteśmy na terytorium okupowanym i udzielane nam wskazówki wcale nie są wiarygodne.

Po pewnym czasie Hassan mówi do mnie:

- To jednak wcale nie jest rozsądne, będziemy zupełnie sami w tej osadzie. Co prawda uprzedziłem tę rodzinę przez arabski telefon, ale jeden Bóg wie, w jaki sposób nas przywitają. Tylko ojciec? Cała rodzina? A może cała wioska? Oni nie są w stanie zrozumieć pani postępowania!

- Ale powiedział im pan, że mała wkrótce umrze i przyjeżdżamy, żeby o tym porozmawiać?

- Oczywiście. I właśnie tego nie mogą zrozumieć. Oni ją spalili, a ten, który to zrobił, być może czeka na nas za zakrętem. W każdym razie powiedzą, że zapaliła się na niej sukienka, bo przewróciła się na żar w piecu, wpadła tam głową! To dla rodziny skomplikowana sprawa...

Wiem o tym. Od dobrych dziesięciu dni mnóstwo osób powtarza mi, że spalona kobieta to skomplikowana sprawa i byłoby lepiej, żebym się w to nie mieszała. Tylko że ja właśnie się mieszam.

- Zapewniam panią, że lepiej byłoby zawrócić...

Staram się podtrzymać odwagę mojego bezcennego towarzysza podróży. Być może pojechałabym tam również bez niego, ale w tych regionach kobieta nie włości się samotnie po drogach.

W końcu docieramy do celu naszej podróży. Ojciec przyjmuje nas na zewnątrz, w cieniu olbrzymiego drzewa rosnącego przed domem. Siadam na ziemi z Hassanem po mojej prawej stronie. Ojciec też siedzi, oparty plecami o pień drzewa w typowej tutaj pozie, jedną nogę mą wyprostowaną, na niej trzyma laskę. To mały mężczyzna, rudy, o bladej twarzy usianej piegami, trochę przypomina albinosa. Matka pozostaje w postawie stojącej, ma na sobie czarną suknię i trzyma się bardzo prosto, jej głowę przykrywa welon tego samego koloru. Twarz jest odkryta. To kobieta bez wieku, o wyżłobionych rysach i twardym spojrzeniu. Palestyńskie chłopki często mają takie spojrzenie. Ale Przy pracy, jaką wykonują, liczbie dzieci i niewolnictwie, w jakim żyją to zupełnie normalne.

Dom jest raczej średniej wielkości, bardzo typowy dla tego regionu, ale niewiele widzimy. Sprawia wrażenie zamkniętego od zewnątrz. Widać jednak wyraźnie, że mężczyzna nie jest biedny.

Hassan przedstawia mnie po zwyczajowych grzecznościach.

~ Ta pani pracuje w organizacji humanitarnej...

I rozmowa rozpoczyna się na modłę palestyńską, najpierw pomiędzy mężczyznami:

- Czy ze stadami wszystko w porządku?... A jak zbiory?... Dostaje pan dobrą cenę?...

- Jest brzydka pogoda... zaczyna się zima, Żydzi stwarzają nam mnóstwo kłopotów...

Rozmawia się o deszczu i ładnej pogodzie. Trwa to dość długo, zanim nie przejdziemy do celu naszej wizyty. To normalne. Mężczyzna nie mówi o swojej córce, więc Hassan też nie, a ja tym bardziej. Proponują nam herbatę - ponieważ jestem cudzoziemką, nie mogę odmówić tej zwyczajowej gościnności - i zaraz potem nadchodzi pora odjazdu. Pożegnania.

- Znowu przyjedziemy z wizytą...

Nie posuwamy się dalej, odjeżdżamy. Bo właśnie tak należy tu rozpoczynać, obydwójce dobrze o tym wiemy. Trzeba powolutku wchodzić w temat, nie zaprezentować się jak wrogowie czy „oficerowie śledczy”, trzeba pozwolić, by upłynęło trochę czasu, i powrócić.

I znowu jesteśmy na szlaku prowadzącym do miasta, oddalonego stąd o czterdzieści kilometrów. Pamiętam moje głośnie: „uuffffl”.

- Chyba nie poszło tak źle? Wrócimy tam za kilka dni.

- Naprawdę chce pani tam wrócić?

- No pewnie, przecież dzisiaj niczego nie załatwiliśmy.

- Ale co może im pani zaproponować? Jeśli myśli pani o pieniądzach, to niech pani od razu o tym zapomni, proszę na to nie liczyć. Honor pozostaje honorem.

- Położę główny nacisk na to, że ona umiera. Co na nieszczęście jest prawdą, sam mi pan o tym powiedział...

- Bez natychmiastowego leczenia, choć może już jest za późno, rzeczywiście nie ma szansy.

- Dlatego chcę im powiedzieć, że mogłabym ją zabrać, żeby umarła gdzie indziej... To chyba byłoby im na rękę? Pozbawiłabym ich problemu...

- Ona jest niepełnoletnia i nie ma papierów, bez zgody rodziców niczego nie można zrobić. Nie ruszą się, by załatwić papiery, nie uda się pani...

- W każdym razie i tak tam wrócimy. Kiedy pan znowu do nich zadzwoni?

- Za kilka dni, proszę dać mi trochę czasu...

Ale mała Souad nie ma czasu. Jednak Hassanowi - choć jest dla

I mojego przedsięwzięcia prawdziwym objawieniem - który ma przecież pracę w szpitalu, rodzinę, mieszanie się w sprawę „honorowej

I zbrodni może przysporzyć bardzo poważnych kłopotów. Coraz bardziej go rozumiem i respektuję jego ostrożność. Porwać się na takie tabu, a w każdym razie próbować je obejść, jest dla mnie czymś zupełnie nowym i wkładam w to całą moją energię. Ale to przecież on kontaktuje się z wioską, by zapowiedzieć nasze wizyty, i doskonale sobie zdaje sprawę, jaką siłę perswazji musi w to włożyć, aby załatwić taką prostą sprawę...

SOUAD UMRZE

- Mój brat jest miły. Próbował przynieść mi banany, ale doktor powiedział mu, żeby więcej tu nie przychodził.

- Kto ci to zrobił?

- Mój szwagier, Hussein, mąż mojej starszej siostry. Moja matka przyniosła mi truciznę w szklance...

Poznaję coraz lepiej historię Souad. Mówi do mnie więcej, ale warunki w tym szpitalu są dla niej koszarne. Wykąpano ją tylko raz, trzymając za reszkę włosów, jakie jej pozostały. Oparzenia są zainfekowane, sączą się i krwawią bez przerwy. Obejrzałam górę jej ciała: ma ciągle pochyloną jak do modlitwy głowę, podbródek przykleił się do klatki piersiowej. Nie może poruszać rękami. Benzynę czy ropę wylano jej na czubek głowy. Spływając po szyi, spaliła jej uszy, plecy, ramiona i ręce, górne partie klatki piersiowej. Skuliła się jak dziwaczna mumia, prawdopodobnie podczas transportu, i nadal jest w tym samym stanie, od ponad dwóch tygodni. Nie licząc porodu w pół - śpiączce i zniknięcia dziecka. Urzędniczka opieki społecznej musiała je gdzieś umieścić, ten maleńki, biedny pakunek, pewnie w jakimś sierocińcu, ale gdzie? Zbyt dobrze znam przyszłość, która dziecko czeka. Nie ma dla niego żadnej nadziei.

Mój plan jest szalony. Chcę ją najpierw przewieźć do Betlejem, miasta w tamtych czasach pod izraelską kontrolą, ale dostępnego zarówno dla mnie, jak i dla niej. Nie ma mowy o przewiezieniu jej do innego miasta. Doskonale wiem, że tutaj, na tym terenie, nie ma odpowiednich środków do leczenia tak rozległych oparzeń. To mógłby być jedynie pierwszy etap. Ale w Betlejem można jej zapewnić podstawowe leczenie - to mógłby być drugi etap. Trzeci punkt planu: wyjazd do Europy, za zgodą organizacji „Ziemia ludzi”, z którą jeszcze nie rozmawiałam.

No i dziecko, mam zamiar w międzyczasie je odszukać. Kiedy mój młody lekarz wsiada ze mną do samochodu, by pojechać z drugą wizytą do rodziców Souad, nadal jest bardzo niespokojny. Spotykamy się z takim samym przyjęciem, zawsze na zewnątrz, pod drzewem, z tą samą banalną rozmową na początku, ale tym razem mówię o dzieciach, których nigdy nie uda się nam zobaczyć.

- Macie dużo dzieci? Gdzie one są?

- Są w polu. Mamy zamężną córkę, ona ma dwóch chłopców, oraz żonatego syna, on też ma dwóch chłopców.

Dobrze jest mieć chłopców. Trzeba pogratulować głowie rodziny. A także ponarzekać.

- Wiem, że macie córkę, która przysparza wam wielu kłopotów.
- *Ya haram!* To straszne, co się nam przydarzyło! Jakie nieszczęście!
- To dla was naprawdę wielka krzywda.
- Tak, to jest krzywda. *Allah Karim!* Ale Bóg jest wielki.
- Chyba ciężko żyć w wiosce z takim dużym problemem...
- Tak, dla nas to bardzo ciężkie.

Matka się nie odzywa. Ciągłe stoi, uroczysta.

- No tak, w każdym razie ona i tak wkrótce umrze. Bardzo z nią źle.
- Tak. *Allah Kar im!*

A mój doktor dodaje, bardzo profesjonalnie:

- Tak, jej stan jest bardzo ciężki.

Zrozumiał moje intencje, ten rodzaj przedziwnego targowania się o wyczekiwaną śmierć młodej dziewczyny. Pomaga mi, gestami i mimiką pokazuje z rozmachem nieuniknioną śmierć Souad, choć przecież pragniemy zupełnie czego innego... Przejmuje ode mnie pałeczkę. W końcu ojciec wyjawia mu przyczynę wszystkich zmartwień:

- Mam nadzieję, że będziemy mogli pozostać w wiosce.
- Tak, przecież ona wkrótce umrze.
- Jeśli Bóg zechce. To nasze przeznaczenie. Nie możemy nic zrobić.

Jednak ani słowem nie wspomina, jak do tego doszło. W pewnym momencie to ja robię następny ruch na szachownicy:

- Jednak to dla was chyba duży kłopot, jeśli ona tutaj umrze? Jak zamiar ją pochować? I gdzie?

- Zrobimy pogrzeb tutaj, w ogrodzie.
- A może, gdybym zabrała ją ze sobą, ona mogłaby umrzeć gdzie indziej i w ten sposób nie mielibyście żadnych kłopotów.

Dla rodziców to nic nie oznacza, że chcę ją zabrać ze sobą, żeby umarła gdzie indziej. Nigdy w życiu nie słyszeli o czymś podobnym. Hassan zdaje sobie z tego sprawę, zaczyna delikatnie nalegać:

- Tak, naprawdę byłby to mniejszy kłopot i dla was, i dla całej wioski...
- Tak, ale my pochowamy ją tutaj, jeśli Bóg zechce, i powiemy wszystkim, że ją pochowaliśmy, to wszystko.
- No nie wiem, proszę się zastanowić. Być może mogę ją zabrać daleko stąd, żeby tam umarła. Mogę to zrobić, jeśli tak będzie dla was lepiej...

To okropne, ale w tej chorobliwej grze mogę liczyć jedynie na śmierć, żeby coś załatwić! Byliby przerażeni, że chcę ocalić Souad, zapewnić jej opiekę lekarską. Proszą, by mogli sami o tym porozmawiać, w rodzinie. Dobry sposób na danie nam do zrozumienia, że czas się pożegnać. Więc żegnamy się według tutejszego zwyczaju i obiecujemy, że wrócimy. Co mamy myśleć o dzisiejszej rozmowie? Czy dobrze prowadziliśmy negocjacje? Z jednej strony Souad zniknie, a rodzina odzyska szacunek w wiosce...

Bóg jest wielki, jak powiedział ojciec. Trzeba uzbroić się w cierpliwość.

Tymczasem przychodzę codziennie do szpitala, próbując leczyć ją chociaż w minimalnym zakresie. Moja obecność zmusza personel do pewnych działań. Na przykład do dezynfekcji ran. Ale bez lekarstw przeciwbólowych i odpowiednich środków skóra biednej Souad pozostaje jedną ogromną raną, bolesną nie do zniesienia dla niej i trudną do oglądania dla innych. Czasem marzę, jak w bajkach o dobrych wróżkach, o szpitalach w moim kraju, we Francji, Nawarze lub gdzie indziej, gdzie umieją leczyć tak rozległe i poważne poparzenia z delikatnością i zajądłością, starając się, by cierpienie nie było tak okrutne...

I znów powracamy do negocjacji, jak zwykle we dwoje, mój odważny lekarz i ja. Trzeba kuć żelazo póki gorące, zaproponować układ dyplomatycznie i przekonująco:

- Nie byłoby wcale dobrze, gdyby ona umarła na tym terenie. Nawet w szpitalu, to nie będzie dla was dobrym rozwiązaniem. Ale można ją wywieźć bardzo daleko stąd, do innego kraju. I wtedy koniec sprawy, możecie powiedzieć całej wiosce, że ona umarła. I ona umrze w tym innym kraju i już nigdy więcej o niej nie usłyszycie.

Rozmowa jest teraz bardziej napięta. Bez papierów ich zgoda nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Może mi się uda. Nie pytam o nic, ani kto to zrobił, ani kto jest ojcem dziecka. Te sprawy w ogóle nie liczą się w moich negocjacjach, a mówienie o nich jeszcze bardziej zbrukałoby ich honor. Jedyne, co mnie interesuje, to przekonanie ich, że córka umrze, tyle że gdzie indziej. Muszą mnie brać za wariatkę, ekscentryczną cudzoziemkę, która jednak może za nich załatwić ważną sprawę.

Czuje, że argumenty zaczynają do nich przemawiać. Gdyby powiedzieli tak, to zaraz po naszym odjeździe mogliby oznajmić całej wiosce, że ich córka umarła, nie wdając się w szczegóły i nie wspominając o pogrzebie. Będą mogli opowiedzieć, co tylko zechcą, nawet że pomścili honor na własną modłę. Jest to zupełne szaleństwo, gdy myśli się o tym z punktu widzenia Europejki... to szaleństwo osiągnąć cel takimi sposobami. Ale im te targi zupełnie nie przeszkadzają w sensie moralnym. Tutaj moralność jest bardzo szczególna, zwraca się przeciwko kobietom i dziewczętom, narzuca im prawo korzystne wyłącznie dla mężczyzn klanu. Choćby matka Souad, bez mrugnięcia zgadza się na śmierć i zniknięcie rodzonej córki.

Nie może postąpić inaczej i w głębi duszy prawie zaczynam czuć dla niej litość. Nie chcę czuć nienawiści, bo nigdy się z niej nie wyzwolę. We wszystkich krajach, w których pracuję, w Afryce, Indiach, Jordanii czy Cisjordanii, muszę dostosować się do kultury i przestrzegać obyczajów przodków. Jedynym celem jest udzielenie pomocy tym, którzy stają się ich ofiarą. Ale po raz pierwszy w życiu negocjuję czyjeś istnienie w taki sposób. W końcu ustępują.

Ojciec każe mi obiecać, matka też się przyłącza, że nie zobaczą jej już nigdy więcej!
NIGDY WIĘCEJ?

- Nie! Nigdy więcej! NIGDY!

Obiecuję. Jednak żeby dotrzymać obietnicy i wywieźć Souad do innego kraju, ona musi mieć odpowiednie papiery.

- Muszę was o coś poprosić... To może trudne do przeprowadzenia, ale będę z wami, pomogę wam we wszystkim. Musimy razem pojechać do biura, w którym wydają papiery tożsamości, konieczne do wyjazdu.

Ta nowa przeszkoda natychmiast wzbudza ich niepokój. Każdy kontakt ze społecznością izraelską, a zwłaszcza z administracją, jest dla nich problemem.

- Muszę was zawieźć samochodem do Jerozolimy, pana i panią, bo trzeba podpisać papiery.

- Ale my nie umiemy pisać!

- Nic nie szkodzi, wystarczy odcisk palca...

- Dobrze, pojedziemy tam z panią.

Tym razem muszę przygotować do sprawy administrację, zanim przywiozę tam rodziców. Na szczęście znam sporo ludzi w wydziale wizowym w Jerozolimie. Tam mogę przedstawić całą sprawę, a urzędnicy wiedzą, co robię dla dzieci. Teraz zresztą też chcę ocalić dziecko. Souad powiedziała mi, że ma siedemnaście lat, ale to nieważne, jest jeszcze dzieckiem. W Jerozolimie tłumaczę urzędnikom, że przywiozę do nich rodziców pewnej Palestynki, bardzo ciężko chorej. Nie można kazać im czekać trzech godzin, bo mogą zrezygnować i niczego nie podpiszą. Ci ludzie są niepiśmienni i potrzebują mojej pomocy w załatwieniu wszystkich formalności. Przywiozę tu ich wraz z metryką urodzenia, jeśli w ogóle takowa istnieje, a administracja ma tylko potwierdzić wiek ich córki na specjalnej przepus5|e. Dodaję, że to nie jedyna sprawa, bo dziewczyna wyjedzie razem ze swoim dzieckiem. Chociaż jeszcze nie wiem, gdzie jest to dziecko ani jak mam je znaleźć.

Ale teraz nie ma co zaprzątać sobie tym głowy, trzeba to załatwić po kolei. Moim najważniejszym problemem jest zmuszenie do działania rodziców Souad i zapewnienie jej choć podstawowego leczenia.

Jak było do przewidzenia, izraelski urzędnik pyta:

- Ale znasz nazwisko ojca dziecka?
- - Nie, nie znam j ego nazwiska.
- To napiszemy mu: nieślubne?

Złości mnie podobna deklaracja na papierze.

- Nie, nie napiszemy, że jest nieślubne! Jego matka wyjeżdża za granicę, a tam historie, czy ślubne, czy nieślubne, nie mają znaczenia!

Ten rodzaj przepustki dla Souad i jej dziecka to nie paszport, tylko zwykłe pozwolenie na opuszczenie terytorium palestyńskiego i wyjazd za granicę. Souad już nigdy więcej tu nie wróci. To znaczy, że wirtualnie nie będzie żadnego śladu jej istnienia w rodzinnym kraju. Mała, spalona dziewczyna wymazana zostanie z ewidencji. Duch. Fantom.

- Przygotujcie mi dwie przepustki, jedną dla matki, drugą dla dziecka.
- Gdzie jest to dziecko?
- Znajdę je.

Czas mija, ale po upływie mniej więcej godziny administracja izraelska zapala przede mną zielone światło. I już następnego dnia jadę po rodziców, tym razem sama, jak dorosła osoba. W milczeniu wsiadają do samochodu, takie dwie maski, i oto jesteśmy w Jerozolimie w biurze wizowym. Dla nich jest to wrogie terytorium, zazwyczaj traktuje się ich tu gorzej niż zwierzęta.

Siedzę obok nich i czekam. Dla Izraelczyków jestem pewnym rodzajem gwarancji, że ci ludzie nie przyszedli tu z bombą. Bardzo dobrze mnie tu znają, od kiedy zaczęłam pracować w środowiskach palestyńskich i izraelskich. W pewnej chwili urzędnik, który wydaje papiery, daje mi ręką znać, żebym podeszła:

- Według aktu urodzenia ona ma dziewiętnaście lat! A mówiłaś, że ma siedemnaście!
- Nie będziemy teraz o tym dyskutować, nie zwracaj sobie tym głowy, czy ma siedemnaście, czy dziewiętnaście lat...
- Ale dlaczego jej tu nie przywiozłaś? Ona także musi to podpisać!
- Nie przywiozłam jej, bo jest umierająca, w szpitalu.
- A dziecko?
- Posłuchaj, odpuść sobie. Teraz dasz mi przepustkę dla dziewczyny, w obecności jej rodziców, oni to podpiszą, a co się tyczy dziecka, przywiozę wam wszystkie dane i potem go poszukam.

Jeśli nie ma podejrzeń o zagrożenie terytorium kraju, urzędnicy izraelscy są bardzo chętni do współpracy. Na samym początku mojej działalności w organizacjach

humanitarnych, kiedy zadania wiodły mnie na terytoria okupowane, najpierw wezwali mnie do siebie na coś w rodzaju przesłuchania. Potem musiałam się nauczyć, jak sobie z nimi radzić. Kiedy zrozumieli, że zajmuję się także żydowskimi dziećmi, poważnie upośledzonymi z powodu małżeństw osób bardzo blisko ze sobą spokrewnionych, co zdarza się w pewnych środowiskach, nasze stosunki od razu się polepszyły. Na nieszczęście niektóre żydowskie dzieci pochodzące z rodzin fanatycznie religijnych, gdzie małżeństwa zawierane są jedynie wśród bliskich kuzynów, rodzą się z głębokim mongolizmem lub innym upośledzeniem. Podobnie dzieje się wśród arabskich fanatyków religijnych. Moja praca w tamtych czasach dotyczyła głównie tego problemu, w obydwu społecznościach. Pozwoliło mi to zbudować klimat pewnego zaufania, szczególnie wśród urzędników.

Biuro przepustek usytuowane jest za murami, niedaleko starego miasta Jerozolimy. Do samochodu wróciłam więc pieszo z tym bezcennym dokumentem i rodzicami. Przebrnęliśmy przez sam środek izraelskich posterunków, pełnych uzbrojonych po zęby żołnierzy. Zabrałam tych ludzi z wioski, teraz ich tam odwiozę. Małego mężczyznę o niebieskich oczach i rudych włosach, w białym kwefie, z laską i jego ubraną na czarno żonę, ze wzrokiem wbitym w dół sukienki.

Między ich wioską a Jerozolimą jest mniej więcej godzina drogi. Za pierwszym razem bardzo bałam się spotkania z nimi, robiłam dobrą minę. Teraz już się ich nie bałam, nie osądzałam ich, myślałam tylko: „Biedni ludzie”. Wszyscy jesteśmy igraszką w rękach losu, oni, i my.

Jechali ze mną w jedną i drugą stronę, nie odzywając się ani słowem. Trochę się obawiali, że Izraelczycy będą im robić na miejscu jakieś nieprzyjemności. Mówiłam im, żeby niczego się nie bali, że wszystko pójdzie dobrze. Poza paroma ważnymi informacjami, nie prowadziłam z nimi żadnej rozmowy. Nie widziałam pozostałych członków ich rodziny ani wewnątrz domu. Kiedy na nich patrzyłam, trudno było mi uwierzyć, że chcieli zabić swoją córkę. A jednak, jeśli nawet egzekutorem wyroku był szwagier, to przecież oni sami o tym zdecydowali. Takie samo uczucie ogarnęło mnie o wiele później po tym pierwszym doświadczeniu, w zetknięciu z innymi rodzicami, których spotkałam w podobnych okolicznościach. Nie umiałam traktować ich jak morderców. Ci nie płakali, ale widziałam takich, co płakali, bo sami byli więźniami tego okrutnego zwyczaju: honorowego zabójstwa.

Przed ich domem, jak zwykle zamkniętym, chowającym w środku tajemnicę i nieszczęście, wysiedli z samochodu, milcząc, ja też się nie odezwałam. Już więcej się nie zobaczyliśmy.

Pozostało mi jeszcze dużo do zrobienia. Najpierw musiałam nawiązać kontakt z moim „szefem”.

Edmond Kaiser jest założycielem „Ziemi ludzi”. Jeszcze z nim nie rozmawiałam na temat mojego szalonego przedsięwzięcia. Przed „finalizacją” - jeśli mogę tak to nazwać - całej sprawy powinnam załatwić pewne formalności urzędowe. Skontaktowałam się więc z Edmondem Kaiserem, który do tej pory nigdy nie słyszał o tego typu historiach. Opowiedziałam mu o wszystkim: „Mam tu dziewczynę, którą chciano spalić i która ma dziecko. Zamierzam przywieźć ją do nas, tylko nie wiem jeszcze, gdzie jest dziecko. Zgadzasz się na to wszystko?”

- Oczywiście, że się zgadzam.

To cały on, Edmond Kaiser. Wspaniały człowiek o niesamowitej intuicji. Stawiasz mu pytanie - odpowiedź jest natychmiastowa. Można dojść z nim do porozumienia nieomal bez słów.

Spieszę się, by wyrwać małą Souad z tej brudnej umieralni, gdzie cierpi niewyobrażalne męki, ale w której miałyśmy szczęście, i ona, i ja, doświadczyć nieocenionej pomocy doktora Hassana. Bóg jeden wie, czy bez jego dobroci i odwagi zdołałabym cokolwiek zdziałać.

Postanowiliśmy oboje wynieść ją nocą, dyskretnie, na noszach. Ustaliłam to z dyrektorem szpitala, tak że nikt nie mógł jej zobaczyć. Nie wiem, czy uzgodnili, że powiadomią personel o jej śmierci, ale to bardzo prawdopodobne.

Umieściliśmy ją na tylnym siedzeniu samochodu, była trzecia czy czwarta nad ranem, i pojechałyśmy obie do innego szpitala. W tamtych czasach nie było jeszcze wielu rogatek ze względu na Intifadę. Podróżujemy, kiedy noc zaczyna blednąć, o świcie przybywamy do szpitala, gdzie wszystko jest już przygotowane. Ordynator jest powiadomiony, poprosiłam, żeby nie wypytywano Souad o jej rodzinę, wioskę czy rodziców.

Szpital jest lepiej wyposażony, a przede wszystkim bardziej czysty. Ma zapewnioną pomoc organizacji Kawalerów Maltańskich. Souad ląduje w pokoju. Będę przychodzić do niej codziennie w oczekiwaniu na europejskie wize i przede wszystkim będę szukać dziecka.

Ona nie mówi o nim ani słowem. Wydaje się, że wystarczy jej świadomość, że dziecko gdzieś tam żyje, i ta jej obojętność jest absolutnie zrozumiała. Ból, poniżenie, zmartwienie, depresja: nie jest zdolna ani psychicznie, ani fizycznie zaakceptować się w roli matki. Należy pamiętać, że warunki, w jakich przebywają nieślubne dzieci, pochodzące od matek uznanych za winne, więc skazanych na śmierć w imię honoru, są takie, że lepiej odseparować je od tej społeczności. Gdybym mogła pozostawić to dziecko w dobrych rękach,

nie skazując go na odrzucenie - zrobiłabym to. I dla dziecka, i dla matki byłoby to najlepsze rozwiązanie. Ale niestety, tak się tu nie stanie. Przez całe życie dziecko będzie żyło gdzieś w sierocińcu, z piętnem domniemanego wstydu i winy swojej matki, narażone na pogardę. Muszę więc je stamtąd wyciągnąć, tak jak Souad.

- Kiedy wyjeżdżamy?

Myślała tylko o wyjeździe, pytała mnie o to podczas każdej wizyty.

- Kiedy będziemy miały wizy. Będziemy je miały, nie martw się.

Skarży się na pielęgniarki, które zrywają z niej opatrunki bezwzględными ruchami, zaczyna wycić, gdy tylko się zbliżają, czuje się maltretowana. Zdaje sobie sprawę, że warunki leczenia nie są tu idealne, chociaż bardziej higieniczne niż w poprzednim szpitalu. Ale co mogę na to poradzić, skoro wizy nie są jeszcze gotowe? A dokumenty tego typu nigdy nie są wystawiane dostatecznie szybko.

W tym czasie podejmuję kroki w celu odszukania niemowlęcia, angażuję w to także przyjaciółki. Jedna z nich, ta, która opowiedziała mi o Souad, nawiązuje kontakt, dosyć ostrożny, z urzędniczką socjalną. Ta okazuje się jeszcze bardziej ostrożna i powściągliwa. Przyjaciółka opowiada mi, co udało się jej osiągnąć:

- Powiedziała mi, że wie, gdzie ono jest. To chłopczyk, ale nie można go stamtąd zabrać, to absolutnie niemożliwe. A poza tym, i ja się z tym zgadzam, będzie to dodatkowe obciążenie i dla ciebie, i dla jego matki!

Pytam więc o zdanie samą Souad:

- Jak się nazywa twój syn?

- Nazywa się Marouan.

- To ty dałaś mu takie imię?

- Tak, ja. Lekarz mnie o to pytał.

Souad ma momenty amnezji, a czasami przebłyski świadomości i trudno mi się w tym wszystkim odnaleźć. Zapomniała o straszliwych okolicznościach swego porodu, zapomniała, że powiedziano jej, iż urodziła syna, i na początku nie powiedziała mi jego imienia. A potem nagle: proste pytanie i natychmiastowa odpowiedź. Prowadzę rozmowę w tym samym kierunku:

- Co o tym sądzisz? Wiesz, ja myślę, że nie wyjedziemy bez Marouana. Odszukam go, nie możemy go tutaj zostawić...

Patrzy w dół, nie może inaczej, bo przecież broda przykleiła się jej do piersi.

- Tak uważasz?

- Tak, właśnie tak uważam. Ty stąd wyjedziesz, będziesz uratowana, ale warunki, w jakich przyjdzie żyć Marouanowi, będą dla niego prawdziwym piekłem.

Już zawsze będzie synem dziwki, *charmuty*. Syn dziwki. Nie mówię jej tego, ale ona musi o tym wiedzieć. Intonacja głosu w jej „tak uważasz?” zupełnie mi wystarcza. To intonacja pozytywna.

Szukam więc tego dziecka. Odwiedzam na początku dwa lub trzy sierocińce, usiłując zlokalizować niemowlę, które w chwili obecnej powinno mieć około dwóch miesięcy i ma na imię Marouan. Ale nigdzie go nie ma, nie mogę trafić na jego ślad. Urzędniczka socjalna nie lubi dziewcząt pokroju Souad. Jest Palestynką z dobrej rodziny, co nie przeszkadza w przestrzeganiu tradycji. Jednak bez niej mi się nie uda. Więc bez przerwy nalegam, w końcu, przede wszystkim ze względu na moją jordańską przyjaciółkę, wskazuje mi miejsce, gdzie chłopca umieszczono. W tamtych czasach było to raczej schronienie dla szczurów niż sierociniec. A wyrwanie go stamtąd jest wyjątkowo skomplikowane. Dziecko jest więźniem systemu, który go tam umieścił.

Podjęmę odpowiednie działania, których meandry znajdują swój finał po jakichś dwóch tygodniach. Spotykam pośredników wszelkiej maści. Takich, którzy są zwolennikami skazania tego dziecka na taki sam los, jaki spotkał jego matkę, takich, którzy chętnie pozbyliby się związanym z nim kłopotów i jeszcze jednej gęby do wyżywienia. Niektóre z tych dzieci umierają bez żadnego logicznego powodu. Spotykani wreszcie i takich, którzy mają serce i rozumieją moją determinację. Koniec końców znajduję się z dwumiesięcznym niemowlęciem w ramionach, ma maleńką główkę, troszkę gruszkowatą, i niewielki garbek na czole w wyniku przedwczesnych narodzin. Ale jego stan jest dobry, co okazuje się prawdziwym wyczynem z jego strony. Nie poznał ani inkubatora, ani nie zaznał żadnej czułości. Pozostały tylko drobne ślady żółtaczki, klasycznej u noworodków. Bałam się, że będzie z nim o wiele gorzej. Przecież jego matka płonęła jak pochodnia, kiedy on był jeszcze w jej łonie, a urodziła go w koszmarnych warunkach. Jest chudziutki, ale to nic. Przygląda mi się okrągłymi oczami, nie płacze, jest spokojny.

Kim ja jestem? Zorro? Głupia jestem, przecież on nie wie, kto to jest Zorro...

Wiem, jak postępować z dziećmi cierpiącymi na niedożywienie. W tamtych czasach mamy ich około sześćdziesięciorga w pewnej instytucji. Ale nie chcę go tam zawozić, biore go do siebie, gdzie przygotowałam już wszystko, co może mu być potrzebne. Podróżowałam już z dziećmi dotkniętymi ciężką chorobą, zawoziłam je na operacje do Europy. Na noc kładę Marouana, wykąpanego, ubranego i nakarmionego, do wyłożonego pościelą koszyka. Mam

już wizy. Mam wszystko. Edmond Kaiser czeka na nas w Lozannie wraz z sekcją specjalizującą się w groźnych poparzeniach.

Nazajutrz jest dzień wielkiego wyjazdu. Transport matki na noszach na międzynarodowe lotnisko w Tel Awiwie. Souad pozwala nam działać niczym mała dziewczynka. Strasznie cierpi, ale kiedy pytam ją: „W porządku? Nie za mocno cię boli?”, odpowiada mi po prostu:

- Tak, boli mnie. - I nic więcej.
- A gdybyś się trochę odwróciła, nie byłoby ci lepiej?
- Tak, teraz jest lepiej. Dziękuję.

Ciągle: „dziękuję”. Dziękuję za fotel na kółkach na lotnisku, urządzenie, którego nie widziała nigdy w życiu. Dziękuję za kawę ze słomką, żeby mogła ją wypić. Dziękuję za usadowienie jej w kącie na czas uprawomocnienia biletów. Ponieważ noszę ze sobą dziecko, które krępuje mi ruchy podczas załatwiania formalności, co zawsze trwa jakiś czas, mówię do Souad:

- Posłuchaj, położę ci małego na kolanach, nie ruszaj się...

Ma trochę przerażone spojrzenie. Oparzenia nie pozwalają jej wziąć go w ramiona. Usiłuje przybliżyć je do dziecka z obu stron, sztywna z niepokoju. Przeżywa chwilę strachu, kiedy powierzam jej dziecko. To dla niej ciężkie przeżycie.

- Zostań tu. Zaraz wracam.

Jestem zmuszona wciągnąć ją do pewnych działań przy naszej wyprawie, nie mogę popychać fotela na kółkach, trzymać dziecka i podchodzić do wszystkich stanowisk na lotnisku, gdzie mam pokazać mój paszport, wizy, przepustki i tłumaczyć, skąd się wziął mój dziwny „ekwipunek”.

I to jest koszmar, ponieważ podróżni przechodzą obok niej i postępują jak wszyscy ludzie wobec niemowlęcia: „Och, jaki piękny dzidzius! Ach, jaki jest słodki!”

Nawet nie patrzą na matkę, kompletnie zdeformowaną, z głową opuszczoną nad dzieckiem. Ma opatrunki pod szpitalną koszulą - zbyt trudno byłoby ją ubrać w jedną z moich wełnianych marynarek - jest przykryta cienkim kocem. Nie może podnieść głowy, żeby powiedzieć „dziękuję” przechodniom i tylko ja wiem, w jaką panikę wprawia ją to niemowlę, którym się tak zachwycają.

Odchodząc od niej, by załatwić ostatnie formalności, mówię sobie, że ta scena jest zupełnie surrealistyczna. Siedzi na fotelu, zdeformowana, z niemowlęciem na kolanach. Przeżyła piekło, dziecko także, a ludzie przechodzą obok z uśmiechem: „Och, jaki piękny dzidzius!”

W momencie wsiadania do samolotu pojawia się następny problem: jak pomóc jej wsiąść. Wciągnęłam już po schodkach fotel na kółkach, ale teraz zupełnie nie wiem co dalej. Izraelczycy znaleźli sposób. Przeprowadzili duży dźwig i oto Souad unosi się do góry w czymś w rodzaju kabiny zawieszanej na ramieniu tego dźwigu. Kabina wznosi się powoli, dociera na wysokość drzwi do samolotu i dwaj mężczyźni przenoszą Souad na fotel.

Wykupiłam trzy miejsca z przodu, by ją położyć, a stewardesy rozwiesiły wokół zasłonę, aby osłonić ją od ciekawskich spojrzeń pasażerów. Marouan znalazł się w kołysce należącej do towarzystwa lotniczego. Przed nami lot bezpośrednio do Lozanny.

Souad się nie skarży. Staram się pomóc jej zmieniać pozycję, ale nic nie jest w stanie przynieść jej ulgi. Tabletki przeciwbólowe nie na wiele się zdają. Jest trochę półprzytomna, czasem pogrążona w półśnie, ale pełna zaufania. Czeka. Nie mogę jej nakarmić, podaję jej tylko jakieś napoje przez słomkę. Zajmuję się dzieckiem, przewijam je. Ona stara się na nie nie patrzeć.

Cierpi z powodu tylu skomplikowanych rzeczy. Nie ma pojęcia, co to znaczy Szwajcaria, kraj, do którego ją wiozę na leczenie. Nigdy przedtem nie widziała samolotu, dźwigu, tylu różnych ludzi krzątających się po międzynarodowym lotnisku. Wiozę ze sobą coś w rodzaju małej, niepiśmiennej dzikuski, która do tej pory zdążyła poznać niewiele rzeczy, a większość z tego, co odkryła, było przerażające. Wiem także, że jej cierpienia jeszcze długo się nie skończą. Upłynie dużo czasu, zanim ta dziewczyna, to „utrzymujące się przy życiu”, stanie się „znośnym życiem”. Nie wiem nawet, czy można ją operować i czy przeszczepy są jeszcze możliwe. Potem wystąpi problem z integracją z zachodnim światem, nauka języka i cała reszta. My doskonale wiemy, że kiedy „wyciągamy” jakąś ofiarę, jak powiada Edmond Kaiser, bierzemy odpowiedzialność na całe życie.

Głowa Souad znajduje się koło okna. Nie sędzę, by była zdolna, w obecnym stanie, zastanowić się nad tym wszystkim, co ją czeka. Ma tylko nadzieję, nie zdając sobie do końca sprawy na co.

- Widzisz to? To nazywamy chmurami.

Śpi. Niektórzy pasażerowie skarżą się na zapach, pomimo zaciągniętych wokół niej zasłon. Od dnia, kiedy odnalazłam Souad w tej makabrycznej umieralni w szpitalu, minęły dwa miesiące. Każdy centymetr jej skóry na klatce piersiowej zamienił się w ogromną, ropiejącą ranę. Pasażerowie mogą sobie kręcić nosem i stroić do stewardes miny z obrzydzenia, jest mi wszystko jedno. Wiozę ze sobą spaloną kobietę i jej synka, pewnego dnia dowiedzą się dlaczego. Dowiedzą się także, że takich kobiet jest więcej, już martwych lub umierających, we wszystkich tych krajach, gdzie prawo mężczyzn ustanowiło zbrodnię

honorową. Tu, w Cisjordanii, ale także w Jordanii, Turcji, Iranie, Iraku, w Jemenie, Indiach, Pakistanie, a nawet w Izraelu i w Europie. Dowiedzą się, że nieliczne uratowane są zmuszone ukrywać się do końca życia, aby ich mordercy nie mogli ich odnaleźć, w najdalszych nawet zakątkach naszego globu. Bo zabójcy ciągle szukają. Zwłaszcza gdy dowiedzą się, że większość stowarzyszeń humanitarnych nie ma prawa zajmować się tymi kobietami, bo są to przypadki indywidualne, „kulturowe!”

I że w niektórych krajach prawo chroni takich zbójców! Owe nieszczęsne kobiety nie wzbudzają na tyle dużego zainteresowania, nie powstają wielkie akcje jak w przypadku głodu, wojny, pomocy uchodźcom czy wielkich epidemii. Mogę to zrozumieć i przyjąć do wiadomości. Każdy spełnia swoją rolę na tym smutnym, ziemskim padole. A eksperyment, który właśnie przeprowadzam, dobrze pokazuje trudności i czas, jaki należy spędzić w danym kraju, by wśliznąć się dyskretnie i powoli w jego obyczaje, zająć się ocalałymi ofiarami zbrodni honorowej, pomóc im na własne ryzyko, i stanąć w obliczu zagrożenia.

Souad jest moją pierwszą „ocaloną” tego typu, ale praca nie została zakończona. Ocalić ją od śmierci to jedna sprawa; inna - to pomóc jej dalej żyć.

SZWAJCARIA

Leżąc w samolocie, mogłam patrzeć na jego ładną, małą, śniadą buzię i białą czapczkę na główce. Zupełnie straciłam poczucie czasu i miałam wrażenie, że minęły zaledwie trzy tygodnie, podczas gdy Marouan miał już dwa miesiące. Jacqueline powiedziała mi, że przyjechałyśmy do Genewy 20 grudnia.

Bałam się, kiedy położyła mi go na kolanach. Moje ręce nie były w stanie go trzymać i byłam tak zakłopotana, zawstydzona i cierpiąca, że nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Dużo spałam. Prawie nie przypominam sobie lądowania samolotu ani karetki, która zawiozła mnie do szpitala. Dopiero następnego dnia zrozumiałam, gdzie jestem.

Z tego nadzwyczajnego dnia zapamiętałam głównie buzię Marouana i chmury. Zastanawiałam się, czym są te zabawne, białe... to coś po drugiej stronie okna, a Jacqueline wytłumaczyła mi, że byliśmy w niebie. Rozumiałam, że jedziemy do Szwajcarii, ale wtedy nic mi to nie mówiło. Mylę słowa Szwajcaria i Żyd, bo wszystko, co znajduje się poza moją wioską, to znaczy na północy, jest krajem wrogim.

Nie mam więc żadnego wyobrażenia o świecie, o innych krajach i ich różnych nazwach. Nie znam nawet mojego własnego kraju. Wzrastałam, rozumiejąc tylko jedną rzecz: jest moje terytorium i reszta świata. Wrogiego, jak mawiał mój ojciec, i w dodatku jedzą tam wieprzowinę!

Jechałam więc mieszkać we wrogim kraju, ale pełna zaufania, bo była tam moja „pani”.

W szpitalu ludzie dookoła mnie nie znali mojej historii. Jacqueline i Edmond Kaiser niczego nie powiedzieli. Byłam jednym wielkim poparzeniem i tylko to interesowało personel placówki.

Zajęli się mną już następnego dnia, wzięto mnie na pierwszą, bardzo pilną operację, która polegała na odklejeniu podbródka i podniesieniu mi głowy. Ciało było żywą raną - trzydzieści cztery kilo oparzeń i kości, prawie bez skóry. Za każdym razem, kiedy widziałam wózek pielęgniarki pełen lekarstw i czegoś więcej, płakałam już na zapas. Chociaż dawano mi środki przeciwbólowe, a pielęgniarka była bardzo delikatna. Obcinała martwą skórę, ostrożnie, przytrzymując ją pęsetką. Podawała mi antybiotyki, smarowała maścią. To już nie był horror wymuszanych pryszniców, brutalnego zrywania gazy, co przeżyłam w szpitalu w

moim kraju. Następnie spróbowano rozluźnić mi ramiona, żebym mogła poruszać rękami. Początkowo wisiąły po obu stronach ciała, zablokowane i sztywne niczym ręce lalki.

Zaczęłam trzymać się prosto, spacerować po korytarzach, posługiwać się rękami i odkrywać ten nowy dla mnie świat, którego językiem nie potrafiłam mówić. Ponieważ nie umiałam ani pisać, ani czytać, nawet po arabsku, zamykałam się w ostrożnej ciszy, dopóki nie zarejestrowałam w sobie kilku podstawowych słów.

Mogłam więc porozumiewać się tylko z Jacqueline i Hodą, które mówiły po arabsku. Edmond Kaiser był wspaniały. Podziwiałam go, jak nigdy w życiu nie podziwiałam żadnego mężczyzny. To był mój prawdziwy ojciec, teraz zdając sobie z tego sprawę, ten, który zdecydował o moim życiu, który przysłał do mnie Jacqueline.

Kiedy wyszłam z pokoju, żeby pójść do sali niemowląt, gdzie przebywał Marouan, najbardziej zaskoczyła mnie swoboda dziewcząt. Towarzyszyły mi dwie pielęgniarki. Były umalowane, uczesane, krótko ubrane i rozmawiały z mężczyznami. Mówiłam sobie: „One rozmawiają z mężczyznami, one umrą!” Byłam tak zszokowana, że kiedy tylko mogłam, powiedziałam o tym Jacqueline i Edmondowi Kaiserowi:

- Popatrz na tamtą dziewczynę, ona rozmawia z mężczyzną! Przecież oni ją zabiją.

I ręką zrobiłam ruch, jakby przy obcinaniu głowy.

- Ależ nie, oni są w Szwajcarii, to nie to samo co u ciebie, nikt nie obetnie jej głowy, to jest całkiem normalne.

- Ale zobacz, widać jej nogi, to nie jest normalne, żeby było widać nogi.

- Ależ tak, to normalne, ona założyła bluzę do pracy.

- I oczy. Czy to bardzo niedobrze pomalować sobie oczy?

- Oczywiście, że nie, tutaj kobiety się malują, wychodzą, mają prawo mieć przyjaciela.

Ale nie u ciebie. Tutaj nie jesteś u siebie, jesteś w Szwajcarii.

Nie umiałam sobie tego wyobrazić, nie mieściło mi się to w głowie. Sądzę, że nieźle wymęczyłam Edmonda Kaisera, zadając mu ciągle te same pytania. Kiedy zetknęłam się z tym zjawiskiem po raz pierwszy, powiedziałam sobie: „Nie zobaczę już nigdy więcej tej dziewczyny. Bo ona umrze”.

Jednak następnego dnia zobaczyłam, że nadal tu jest, i bardzo się z tego cieszyłam. Mówiłam do siebie: „Bogu dzięki, jest żywa. Jest ubrana w tę samą białą bluzę, widać jej nogi, więc chyba mają rację, tutaj się za to nie umiera”. Wierzyłam, że we wszystkich krajach dzieje się tak samo jak u mnie. Wystarczy, że dziewczyna tylko raz porozmawia z mężczyzną i ktoś ją przy tym zobaczy - jest już martwa.

Szokował mnie również sposób, w jaki te dziewczyny poruszały się. Były zawsze uśmiechnięte, swobodne i chodziły jak mężczyźni... i widziałam bardzo dużo blondynek:

- Dlaczego one są blondynkami? Dlaczego nie są śniade tak jak ja? Bo tu jest mniej słońca? Kiedy zrobi się cieplej, staną się całkiem czarne i będą miały kręcone włosy? Och! Ona założyła krótkie rękawy. Popatrz, popatrz tam, dwie kobiety się śmieją! U nas kobiety nigdy się razem nie śmieją, kobieta nigdy nie włoży krótkich rękawów...

- I one mają buty!

- Poczekaj, jeszcze nie widziałaś wszystkiego!

Pamiętam ten dzień, kiedy po raz pierwszy mogłam obejrzeć miasto, sama z Edmondem Kaiserem. Jacqueline wyjechała już na kolejną misję. Zobaczyłam kobiety siedzące w restauracji, palące papierosy, z gołymi ramionami i piękną, białą skórą. Widziałam tylko blondynki o białej skórze, one mnie fascynowały. Zastanawiałam się, skąd one mogły pochodzić. U nas blondynki trafiają się tak rzadko, że mężczyźni bardzo je cenią, więc myślałam sobie, iż z tego powodu kobiety te są w niebezpieczeństwie. Edmond Kaiser udzielił mi wtedy pierwszej lekcji geografii.

- One urodziły się białe, inne rodzą się z innym kolorem, w innych krajach. Ale tutaj, w Europie, są także czarnoskóre, białe, rude, z plamkami na twarzy...

- Z plamami jak ja?

- Nie, nie poparzone jak ty. Maleńkimi plamkami z powodu słońca na ich białej skórze!

Przyglądałam się, przez cały czas szukałam kobiety takiej jak ja i powiedziałam do Edmonda Kaisera: „Niech mi Bóg wybaczy, ale bardzo chciałabym spotkać jakąś inną spaloną kobietę, nigdy takiej nie widziałam. Dlaczego jestem jedyną spaloną kobietą?”

Jeszcze do dziś zachowałam tamto uczucie, że jestem jedyną na ziemi spaloną kobietą. Gdybym była ofiarą wypadku, to nie byłoby to samo. To by było przeznaczenie, a na przeznaczenie nie można nic poradzić.

Nocą śniły mi się koszmary, ciągle powracała twarz mojego szwagra. Czułam, że kręci się wokół mnie i słyszę, jak mówi: „Zaraz się tobą zajmę...”

I biegłam z tym ogniem na sobie. Myślałam także o tym podczas dnia, nagle, i ogarniało mnie pragnienie, żeby umrzeć, by więcej nie cierpieć.

Już przez całe życie będę się czuła spalona w innym sensie. Przez całe życie będę musiała się ukrywać, nosić długie rękawy, ja, która marzyłam o krótkich rękawach jak u innych kobiet, nosić bluzki zapięte pod szyję, ja, która marzyłam o dekoltach jak u innych

kobiet. One mają taką wolność. Ja jestem więźniem we własnej skórze, nawet jeśli chodzę wolna po ulicach w tym wolnym mieście.

Tak więc pewnego razu spytałam, bo miałam wielką na to ochotę, czy będę mogła mieć kiedyś złoty, błyszczący ząb. Edmond Kaiser odpowiedział mi z uśmiechem: „Nie, najpierw musisz się leczyć, potem porozmawiamy o twoich zębach”.

U nas złoty ząb jest czymś wspaniałym. Wszystko, co się błyszczy, jest wspaniałe. Chyba musiałam go zaskoczyć tym dziwnym pytaniem. Nie miałam nic własnego, ciągle leżałam, od czasu do czasu spacerowano ze mną między kolejnymi zabiegami, całymi tygodniami nie mogłam brać prysznicu. Nie było mowy, bym mogła w coś się ubrać, zanim rany się nie zabliznią, chodziłam w nocnej koszuli, pokryta opatrunkami. Nie mogłam czytać, bo nie potrafiłam. Nie mogłam rozmawiać, bo pielęgniarki mnie nie rozumiały. Przed wyjazdem Jacqueline zostawiła im karteczki z arabskimi słowami zapisanymi fonetycznie i ich francuskimi znaczeniami. Jeść, spać, toaleta, boli, nie boli, wszystko to, co mogło się przydać podczas leczenia. Kiedy już wstałam, często stawałam w oknie. Patrzyłam na miasto, na światła i górę nad miastem. To był wspaniały widok. Patrzyłam na ten spektakl z otwartymi ustami. Miałam ochotę wyjść i pójść na spacer, nigdy czegoś podobnego nie widziałam, to wszystko było takie piękne.

Każdego ranka chodziłam do Marouana. Musiałam wyjść z budynku, żeby dostać się na oddział noworodków. Było mi zimno. Miałam na sobie tylko tę szpitalną koszulę, zapinaną na plecach, szpitalny szlafrok, szpitalne buty oraz szpitalną szczoteczkę do zębów. To był mój cały stan posiadania. Więc szłam bardzo szybko, z opuszczoną głową, jak u siebie. Pielęgniarka mówiła mi, bym poruszała się delikatniej, ale ja nie chciałam. Chciałam udawać dumę tam, na zewnątrz, bo nadal żyłam, choć ciągle jeszcze się bałam. Pielęgniarki i lekarze nie mogli nic na to poradzić. Miałam wrażenie, że jestem jedyną na świecie spaloną kobietą. Byłam ponizona, winna, nie mogłam się tego pozbyć. Czasem, gdy już leżałam w łóżku, myślałam sobie, że powinnam była umrzeć, bo na to zasługiwałam. Pamiętam, że kiedy Jacqueline zawiozła mnie ze szpitala na lotnisko, przed odlotem do Lozanny, miałam wtedy wrażenie, iż jestem workiem na śmiecie. Mogła rzucić mnie w jakiś kąt i pozwolić mi zgnieć. Ta myśl, wstyd, że jestem tym, kim jestem, wracała do mnie regularnie.

Tak więc zaczęłam zapominać moje wcześniejsze życie, chciałam być kimś innym w tym nowym kraju. Być jak te wolne kobiety, zintegrować się, nauczyć się tu żyć, i to jak najszybciej. Podczas długich lat pogrzebałam moje wspomnienia. Moja wioska, moja rodzina - nie powinno to już istnieć w mojej głowie. Ale był Marouan i pielęgniarki, które uczyły mnie, jak dawać mu butelkę, przewijając, jak być matką przez kilka minut dziennie, na miarę

moich możliwości fizycznych. I niech mi mój syn wybaczy, ale robienie tego, czego ode mnie oczekiwano, było dla mnie bolesnym przeżyciem. Nieświadomie czułam się winna, że jestem jego matką. Kto mógłby to zrozumieć? Byłam niezdolna do podjęcia takiej odpowiedzialności, do wyobrażenia sobie jego przyszłości ze mną i moimi poparzeniami. Jak mu powiedzieć, kiedyś, że jego ojciec był łajdakiem? Jak sprawić, by sam nie czuł się winny temu, co mnie spotkało i kim się stałam? Okaleczonym ciałem, przerażającym widokiem. Ja sama już nie potrafiłam sobie wyobrazić, jaka byłam „przedtem”. Czy byłam ładna? Czy miałam gładką skórę? Krągłe ramiona i uwodzicielskie piersi? Były lustra i spojrzenia innych. W nich widziałam, że jestem brzydka i godna pogardy, zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz. Worek na śmiecie. Ciągle jeszcze cierpiałam. Zajmowano się moim ciałem, przywracano mi siły fizyczne, ale w mojej głowie nie działało się zbyt dobrze. Nie tylko dlatego, że nie umiałam tego wyrazić, ale słowo „depresja” było mi całkowicie nieznane. Poznałam je dopiero wiele lat później. Myślałam jedynie, że nie mogę się skarżyć, i w taki sposób pogrzebałam tak głęboko dwadzieścia lat mego życia, że nawet teraz przywoływanie wspomnień jest dla mnie bardzo bolesne. Myślę, iż mój mózg nie mógł postąpić inaczej, jeżeli chciał przeżyć.

A potem, podczas długich miesięcy, następowały przeszczepy. W sumie dwadzieścia cztery operacje. Moje nogi nie były spalone, więc służyły jako dawca skóry. Pomiedzy każdą kolejną operacją trzeba było czekać na zabliznianie się ciała. A potem następny zabieg. Aż do czasu, gdy nie miałam już więcej skóry do dawania.

Przeszczepiona skóra długo była wrażliwa, potrzeba było wielu działań, by ją ujednolicić i nawilżyć. Nadal tego potrzebuję.

Edmond Kaiser postanowił mnie ubrać. Zaprowadził mnie do dużego sklepu. Tak dużego i pełnego butów i ubrań, że nie wiedziałam, na co mam patrzeć. Nie chciałam haftowanych bamboszy, jakie nosi się w moim kraju. Pragnęłam także prawdziwych spodni, nie szerokich pantalonów. Widziałam już dziewczyny w takich spodniach, gdy jeździłam z ojcem furgonetką na targ, by sprzedać warzywa i owoce. Nosiły modne spodnie, bardzo rozszerzane dołem, nazywano je „charlestonami”. To były złe dziewczyny, ja nie miałam prawa nosić takich spodni.

Nie dostałam moich „charlestonów”. Edmond Kaiser kupił mi parę czarnych butów na niewielkim obcasie, normalne jeansy i bardzo ładny sweterek. Byłam rozczarowana. Czekałam na te nowe ubrania od dziewięciu miesięcy, marzyłam o nich. Ale uśmiechnęłam się i powiedziałam dziękuję. Nabrałam zwyczaju uśmiechania się do ludzi bez przerwy, a ich to bardzo dziwiło. A także to, że ciągle mówię dziękuję. Uśmiech był moją odpowiedzią na ich uprzejmość, ale również, przez długi czas, moją jedyną metodą porozumienia. Żeby pła-

kać, chowałam się... stare przyzwyczajenie. Uśmiech był znakiem innego życia. Tutaj ludzie byli uśmiechnięci, nawet mężczyźni. Bardzo chciałam się uśmiechać. A mówienie dziękuję było taką prostą sprawą. Przedtem nikt nigdy nie powiedział mi dziękuję. Ani ojciec, ani brat, ani nikt inny, kiedy pracowałam jak niewolnica. Byłam przyzwyczajona do razów, nie do podziękowań.

Uważałam, że „dziękuję” jest wyrazem grzeczności i dużego szacunku. Sprawiało mi przyjemność wymawianie tego słowa, bo do mnie też je mówiono. Dziękuję za opatrunek, za tabletkę nasenną, za krem, żeby nie rozerwać sobie skóry, za posiłek, a przede wszystkim za czekoladę. Pożerałam całe tabliczki czekolady... To było takie pyszne, takie pocieszające.

Więc powiedziałam „dziękuję” Edmondowi Kaiserowi za spodnie, buty i ładny sweterek.

- Souad, tutaj jesteś wolną kobietą, możesz robić wszystko, na co masz ochotę, ale radzę ci ubierać się prosto, nosić rzeczy, które do ciebie pasują i nie drażnią ci skóry, postaraj się nie rzucać zbyt w oczy.

Miał rację. W kraju, który przyjął mnie z taką dobrocią, nadal jeszcze byłam małą pasterką z Cisjordanii, nieokrzesaną, bez szkoły i bez rodziny, która marzyła o złotym zębie!

Opuściłam szpital i umieszczono mnie w ośrodku pomocy społecznej, prawie w rok po moim tutaj przybyciu.

Kontynuowano przeszczepy. Wracałam do szpitala, żeby tam cierpieć. W mojej głowie nie zawsze dobrze się działo, ale jakoś to przeżyłam. Nie mogłabym żądać więcej. Uczyłam się francuskiego jak mogłam, zwrotów, kawałków zdań, które powtarzałam jak papuga, chociaż nie wiedziałam nawet, co to jest papuga!

Jacqueline wytłumaczyła mi później, że wtedy, gdy przywiozła mnie do Europy, moje częste pobyty w szpitalu nie pozwalały zapisać mnie na regularne kursy językowe. Ważniejsze było ocalenie mojej skóry niż wysłanie mnie do szkoły. Zresztą wcale o tym nie myślałam. W mojej wiosce były tylko dwie dziewczynki, które co rano wsiadały do autobusu i jechały do miasta do szkoły, wszyscy się z nich wyśmiewali. Ja sama też z nich kpiłam, przekonana, jak moje siostry, że skoro chodzą do szkoły, to nigdy nie znajdą sobie męża!

Moim największym, starannie ukrywanym wstydem było to, że nie mam męża. Nadal pozostała we mnie mentalność mojej wioski, to było bardzo silne. I wmawiałam sobie, że już żaden mężczyzna mnie nie zechce. A dla kobiety z mojego kraju życie bez mężczyzny jest największą karą w życiu.

W domu, który przyjął mnie wraz z Marouanem, myślano, że przyzwyczaję się do tej podwójnej kary: jestem brzydka i nie będzie mnie pragnął żaden mężczyzna. Myślano także,

że będę mogła zająć się moim synem, że będzie możliwe moje pójście do pracy, abym mogła go wychować. Jedynie Jacqueline zdała sobie sprawę, że zupełnie nie jestem do tego zdolna. Najpierw dlatego, że potrzebowałam lat na to, by ponownie stać się istotą ludzką i zaakceptować siebie taką, jaką się stałam. A dziecko mi w tym przeszkadzało. Następnie dlatego, że pomimo moich dwudziestu lat, nadal byłam dzieckiem. Nie wiedziałam niczego o życiu, o odpowiedzialności, o niezależności.

Wtedy właśnie opuściłam Szwajcarię. Moje leczenie zostało zakończone, mogłam więc zamieszkać gdzie indziej. Jacqueline znalazła rodzinę zastępczą, gdzieś na terenie Europy. Przybranych rodziców, których bardzo pokochałam i nazywałam tatą i mamą, tak jak Marouan. To małżeństwo przyjmowało wiele dzieci przysyłanych tu przez „Ziemie ludzi”. Jedne zostawały na dłużej, inne były adoptowane. Rodzina była zawsze bardzo liczna. Trzeba było zająć się najmłodszymi, więc pomagałam, jak mogłam. Pewnego dnia „mama” powiedziała mi, że za dużo zajmuję się Marouanem, a za mało innymi dziećmi. Ta uwaga mnie zdziwiła, bo nie miałam wrażenia, że poświęcam się mojemu synowi. Byłam na to za bardzo zagubiona. Jedynymi momentami samotności były moje spacerowanie wzdłuż rzeki z Marouanem w wózku. Odczuwałam potrzebę chodzenia, przebywania na zewnątrz. Nie wiem, dlaczego tak bardzo pragnęłam spacerować samotnie po wsi, może to dawne przyzwyczajenie chodzenia ze stadem. Jak wtedy brałam ze sobą wodę i coś do jedzenia i pchałam wózek, idąc szybko, wyprostowana i dumna. Miałam podwójną osobowość: chodziłam szybko jak w moim kraju, a wyprostowana i dumna jak w Europie.

Bardzo mocno się starałam, by robić wszystko to, o czym mówiła mama, to znaczy pracowałam więcej, pomagając jej leczyć dzieci. To było normalne, byłam przecież najstarsza. Ale kiedy już zamknęłam się w tym domu, zaczęłam umierać z chęcią wyswobodzenia się stąd, pragnęłam pójść między ludzi, rozmawiać, tańczyć, spotkać jakiegoś mężczyznę, żeby sprawdzić, czy mogę jeszcze być kobietą.

Potrzebna była mi taka próba. Byłam szalona, że miałam takie marzenia, ale to było silniejsze ode mnie, chciałam spróbować żyć na nowo.

MAROUAN

Marouan miał pięć lat, kiedy podpisałam papiery, pozwalające naszej rodzinie zastępczej na jego adopcję. Zrobiłam pewne postępy w języku i chociaż nadal nie potrafiłam ani czytać, ani pisać, wiedziałam, co robię. To nie było porzucenie. Moi nowi rodzice mieli wychować małego chłopca najlepiej, jak można. Stając się ich synem, miał szansę dostępu do prawdziwego wychowania, mógł nosić nazwisko, które całkowicie chroniło go przed moją przeszłością. Byłam zupełnie niezdolna do zapewnienia mu należytej równowagi, opieki i normalnej szkoły. Teraz jeszcze, wiele lat później, czuję się winna, że dokonałam takiego wyboru. Jednak przez ten czas mogłam na nowo odbudować moje życie, w co nie bardzo śmiałam uwierzyć, choć instynktownie to przeczuwałam. Nie potrafię zbyt dobrze wytłumaczyć pewnych rzeczy, nie wylewając przy tym morza łez. Przez te wszystkie lata chciałam przekonać samą siebie, że nie będę cierpieć z powodu tego rozstania. Ale nie można zapomnieć własnego dziecka, zwłaszcza takiego dziecka.

Wiedziałam, że jest szczęśliwy, a on wiedział, że ja istnieję. W wieku pięciu lat nie mógł nie wiedzieć, że ma prawdziwą matkę, ponieważ mieszkaliśmy razem u tej rodziny zastępczej. Nie wiem, jak mu wytłumaczono moje odejście, ale rodzina przyjmowała dużą liczbę dzieci z całego świata i pamiętam, że w pewnym okresie było nas osiemnaścioro przy stole. W większości dzieci chore i zagubione. Wszyscy nazywaliśmy zastępczych rodziców „tata” i „mama”. Ci wspaniali ludzie otrzymywali jakieś pieniądze z „Ziemi ludzi”, środki potrzebne na tymczasowe utrzymanie niektórych z tych dzieci, a kiedy odjeżdżały, zawsze to było bardzo bolesne. Widziałam, jak rzucały się na szyję „taty” i „mamy” i nie chciały stąd wyjeżdżać. Ale ten dom był jedynie przystankiem, miejscem, w którym miały dochodzić do zdrowia - większość z nich mieszkała u naszych zastępczych rodziców przed lub po koniecznej operacji, której nie można było przeprowadzić w ich rodzinnych krajach, a potem tam wracały. Miały więc gdzieś na świecie swój własny kraj i własną rodzinę. Te, które nie mogły nigdzie wyjechać, jak Marouan i ja, były adoptowane. Ja umarłam formalnie w Cisjordanii, a Marouan w ogóle w niej nie istniał. Oficjalnie narodził się tutaj, 20 grudnia, jak ja do nowego życia. A jego rodzice byli także moimi. Trzeba przyznać, że ta sytuacja była trochę dziwna i kiedy opuściłam ten gościnny dom, w którym mieszkałam z moim synem przez cztery lata, miałam wrażenie, że jestem raczej starszą siostrą Marouana niż jego matką. Miałam dwadzieścia cztery lata. Nie mogłam dłużej pozostawać na ich utrzymaniu. Powinnam zacząć pracować, zdobyć niezależność, stać się w końcu dorosła.

Gdybym nie zdecydowała się na pozostawienie go w tamtym domu, sama nie mogłabym go wychować. Byłam matką depresyjną, przenosiłam na jego barki swoje własne cierpienia, nienawiść do mojej biologicznej rodziny. Musiałabym mu opowiedzieć rzeczy, o których tak bardzo chciałam zapomnieć! Nie mogłam, to było ponad moje siły. Nie miałam pieniędzy, byłam chora, byłam uchodźcą i byłam skazana na fałszywą tożsamość przez resztę mojego życia, bo pochodziłam z wioski, gdzie mężczyźni są łajdakami i okrutnikami.

I musiałam wszystkiego się nauczyć. Jedynym wyjściem dla mnie było rzucić się głową naprzód w ten nowy kraj, jego obyczaje i próbować przeżyć. A Marouan musiał pozostać na uboczu mojej osobistej wojny. Mówiłam sobie: „teraz jestem tutaj, muszę zintegrować się z tym krajem, nie mam innego wyboru”. Nie chciałam, żeby ten kraj zasymilował się ze mną, to ja powinnam się z nim zasymilować, odbudować się od nowa. Mój syn dobrze mówił tutejszym językiem, miał europejskich rodziców, papiery, normalną przyszłość, to wszystko, czego sama nigdy przedtem nie miałam. Wtedy też nie miałam.

Chciałam nauczyć się żyć i pozwolić żyć także jemu. Wiedziałam, że będzie mu dobrze w tej rodzinie, sama tam przecież mieszkalam. Kiedy rozmawialiśmy o adopcji, pojawiła się możliwość zabrania go przez inną rodzinę, ale „Nie, nie chcę innej rodziny! Marouan zostanie tutaj albo nigdzie. Mieszkalam razem z wami, wiem, jak będzie tu wychowywany, nie chcę, żeby umieszczono go w jakiejś innej rodzinie”

„Tata” dał mi słowo. Miałam dwadzieścia cztery lata, ale mentalnie nie osiągnęłam jeszcze piętnastu. Pozostawałam zablokowana w moim dzieciństwie przez zbyt wiele nieszczęść. Mój syn stanowił część tego życia, o którym musiałam zapomnieć, by stworzyć sobie nowe. W tamtych czasach nie umiałam sobie tak jasno tego wytłumaczyć, było wręcz przeciwnie. Posuwałam się do przodu, dzień po dniu, niczym we mgle, instynktownie. Ale byłam pewna przynajmniej jednej rzeczy, mój syn miał prawo do bezpieczeństwa i normalnych rodziców. A ja nie byłam normalną matką. Nienawidziłam siebie, płakałam nad moimi oparzeniami, które miały już pozostać do końca życia. Na samym początku, w szpitalu, myślałam, że wszyscy ci wspaniali ludzie zwrócą mi moją skórę i znowu będę wyglądać jak przedtem.

Kiedy dowiedziałam się, że mogą mi zwrócić tylko życie, że pozostanę w tej koszmarnej powłoce do końca moich dni, zamknęłam się w sobie. Byłam niczym, brzydka, powinnam się ukrywać, by nie krępować innych.

Wraz z upływem lat, kiedy powoli zaczynałam poznawać smak życia, chciałam zapomnieć Marouana, przekonana, że jemu i tak udało się bardziej niż mnie. Chodził do

szkoły, miał rodziców, braci, siostrę i z pewnością był szczęśliwy. Ale pozostał, schowany w zakamarkach mojej głowy.

Zamykałam oczy i już tam był. Biegłam po ulicy, był tam, za mną, przede mną lub obok mnie, kiedy uciekałam, on mnie doganiał. Ciągłe widziałam ten obraz dziecka, które pielęgniarka kładła mi na kolanach i którego nie mogłam wziąć w ramiona, ponieważ biegłam przez ogród, na mnie był ogień, a moje dziecko płonęło razem ze mną. Dziecko, którego ojciec nie chciał, doskonale wiedząc, że skazuje nas oboje na pewną śmierć. I pomyśleć, że tak kochałam tego człowieka i wiązałam z nim tyle nadziei!

Bałam się, że już nie znajdę innego. Z powodu moich blizn, mojej twarzy, mojego ciała i tego, czym sama byłam w środku. I zawsze ta myśl, że nie jestem nic warta, ten strach, że się nie podobam, widok odwracających się ode mnie spojrzeń.

Zacząłam pracować na pewnej farmie, a potem, dzięki „tacie”, dostałam pracę w fabryce, która produkowała precyzyjne części. Praca była czysta i zarabiałam całkiem nieźle. Sprawdzałam mechaniczne urządzenia na taśmociągu. Był inny dział w tej fabryce, ale tam trzeba było sprawdzać te części na komputerze, a ja nie czułam się do tego zdolna. Odmawiałam nauczania się pracy na tym stanowisku, twierdząc, że wolę pracować na stojąco, przy taśmie, że nie lubię siedzieć. Pewnego dnia wezwała mnie szefowa:

- Souad? Proszę pójść ze mną.

- Tak, proszę pani.

- Niech pani tu usiądzie, obok mnie, proszę trzymać tę myszkę, wszystko pani pokażę!

- Ale ja nigdy tego nie robiłam, nie nauczę się. Wolę taśmociąg...

- A jeśli pewnego dnia nie będzie już pracy przy taśmie? To co wtedy zrobimy? Zupełnie nic? Nie będzie pracy dla Souad?

Nie ośmieliłam się powiedzieć jej: nie. Nawet jeśli się bałam. Za każdym razem, kiedy miałam się nauczyć czegoś nowego, miałam wilgotne ręce i drżące nogi. To była całkowita panika, ale zaciskałam zęby. Musiałam się uczyć każdego dnia, o każdej godzinie, nie miałam żadnego bagażu wiedzy, niezdolna do czytania i pisania, jak wszyscy inni. Analfabetka, która nigdy się niczego nie uczyła! Ale tak bardzo chciałam pracować, że ta kobieta postanowiła w końcu wylać mi kubeł zimnej wody na głowę.

Tak więc nauczyłam się manipulować myszką i rozumieć ekran komputera. Po paru dniach już mi jakoś szło. Wszyscy byli ze mnie zadowoleni. Przez trzy lata pracy nigdy nie spóźniłam się nawet o minutę, moje stanowisko zawsze było nieskazitelne - dokładnie sprzątałam je przed wyjściem - zawsze byłam punktualna, przychodziłam przed innymi.

„Wytresowano” mnie w dzieciństwie uderzeniami kija do intensywnej pracy i posłuszeństwa, do punktualności i czystości. To była moja druga natura, jedyne, co mi pozostało z poprzedniego życia. Mówiłam sobie: „Nigdy nie wiadomo, może jutro ktoś będzie tu chciał przyjść, nie mogę pozwolić, by zastał moje miejsce brudne...”

W pewnym sensie jestem maniaczką porządku i czystości. Kiedy bierze się jakąś rzecz, należy potem odłożyć ją na właściwe miejsce, codziennie trzeba brać prysznic, zęby myje się trzy razy dziennie, natomiast włosy dwa razy w tygodniu, bieliznę zmienia się codziennie... Wszędzie szukam czystości, to dla mnie bardzo ważne, chociaż nie umiem tego wytłumaczyć.

Lubię wybierać ubrania, ale w tym przypadku rozumiem dlaczego: bo nigdy przedtem nie miałam wyboru, bo było to zabronione. Na przykład lubię czerwień, bo matka zawsze mówiła: „To twoja sukienka i masz ją nosić”. Była brzydka i szara, ale, chociaż jej nie lubiłam, musiałam ją zakładać. Dlatego lubię czerwień, zieleń, niebieski, żółty, czarny, brązowy, wszystkie kolory, które były zabronione. Jeśli chodzi o fason, to nie mam wyboru. Golf, i bez wycięcia pod szyją, zapięta wysoko bluzka koszulowa, spodnie. I włosy na uszach. Nie mogę niczego pokazywać.

Czasami chodziłam posiedzieć na tarasie kawiarni, opatulona w swoje ubrania, zarówno latem, jak zimą, i przyglądałam się przechodzącym ludziom. Kobietom w minispódniczkach lub z dużymi dekolantami, z ramionami i nogami wystawionymi na spojrzenia mężczyzn. Wśród tych męskich spojrzeń czatowałam na takie, które spoczęłyby na mnie, ale takiego nie było, więc wracałam do domu. Aż pewnego dnia spostrzegłam przez okno mojego pokoju samochód i mężczyznę w środku; widziałam jedynie jego ręce i kolana.

Zakochałam się. To był jedyny mężczyzna na calutkiej ziemi. Widziałam tylko jego ręce i nogi, z powodu tego samochodu, ale to mi wystarczyło.

Nie zakochałam się w nim dlatego, że był przystojny, miły, czuły, że mnie nie bił lub że czułam się przy nim bezpieczna. Zakochałam się, bo umiał prowadzić samochód. Wystarczyło, że parkował go pod domem, a już serce zaczynało mi walić. Być tutaj tylko po to, by patrzeć, jak wsiada czy wysiada z samochodu, jak jedzie do pracy albo z niej wraca... i już zaczynałam płakać! Rano drżałam ze strachu, że nie wróci wieczorem.

Zdałam sobie sprawę, że teraz jest tak samo, jak za pierwszym razem. Trzeba było, żeby ktoś mnie zauważył, że muszę coś z tym zrobić. Samochód i mężczyzna, który odjeżdża lub przyjeżdża pod moje okno, którego kocham, nie mówiąc mi o tym, czatuję pełna niepokoju, że samochód już nigdy nie wróci. To było proste. W tamtych czasach nie zastanawiałam się nad tym, co będzie dalej. Czasami próbowałam sięgnąć do pamięci i

zrozumieć przyczynę pewnych rzeczy, które wydarzyły się w moim życiu, ale szybko rezygnowałam; to było dla mnie zbyt skomplikowane.

Samochód Antonia był czerwony. Tkwiłam w oknie, dopóki nie zniknął mi z pola widzenia... Wtedy zamykałam okno.

W końcu go spotkałam, rozmawiałam z nim, wiedziałam, że ma dziewczynę, którą znałam, tak więc czekałam. Najpierw zostaliśmy przyjaciółmi. Minęło co najmniej dwa i pół roku, może trzy, zanim ta przyjaźń przekształciła się w coś innego. Ja byłam zakochana, ale on... nie wiedziałam, co o mnie myśli. Nie śmiałam go o to zapytać, ale starałam się, jak mogłam, żeby mnie pokochał i bym mogła go przy sobie zatrzymać. Chciałam mu wszystko oddać, służyć mu, rozpieszczać, karmić, robić wszystko, żeby chciał być ze mną!

To był jedyny sposób, jaki znałam. Nie znajdowałam innego. Bo niby jak mogłabym go uwieść? Moimi pięknymi oczami? Zgrabnymi nogami? Ładnym, gładkim dekoltem?

Najpierw zamieszkaliśmy ze sobą, bez ślubu, i potrzebowałam sporo czasu, by poczuć się w miarę swobodnie. Żadnego światła, kiedy się rozbierałam, czasem świece. Rano jak najszybciej zamykałam się w łazience i pojawiałam się w zapiętym od stóp do głów szlafroku. To wszystko trwało bardzo długo. Nawet jeszcze dzisiaj mnie to krępuje. Wiem, że one nie są ładne, te moje blizny.

Na początku wspólnego życia przeprowadziliśmy się do kawalerki w mieście. Obydwoje pracowaliśmy. On zarabiał na utrzymanie, ja także. I czekałam, by poprosił mnie o rękę, ale on o tym nie mówił. A ja marzyłam o pierścionku, o ceremonii, dlatego postępowałam z Antoniem tak samo, jak moja matka z ojcem, robiłam to samo, co wszystkie kobiety z mojej wioski robiły dla swoich mężów. Specjalnie dla niego wstawałam o piątej rano, by umyć mu stopy i włosy. Żeby podać mu czyste, starannie wyprasowane ubranie. Żeby patrzeć, jak odjeżdża do pracy, jeszcze raz pomachać mu ręką i przesłać przez okno pocałunek...

I czekałam na niego wieczorem, z przygotowanym posiłkiem, do północy, wpół do pierwszej, czasem nawet, jeśli tak wypadło, do pierwszej w nocy, by zjeść razem z nim. Choćbym była nie wiem jak głodna, czekałam na niego tak, jak robiły to kobiety z mojej wioski. Różnica polegała na tym, że sama sobie wybrałam tego mężczyznę, nikt mi go nie narzucił, no i że go kochałam. Dla niego to musiało być bardzo dziwne. Mężczyzna z Zachodu nie jest przyzwyczajony do czegoś takiego. Na początku mówił mi: „Super! Bardzo ci dziękuję, mogę zaoszczędzić trochę czasu i pozbawiasz mnie kłopotu”.

Był szczęśliwy. Kiedy wracał wieczorem do domu, siadał w fotelu, a ja zdejmowałam mu buty i skarpetki. Wkładałam mu kapcie. Byłam całkowicie do jego dyspozycji, żeby tylko zatrzymać go w domu.

Każdego dnia bałam się, że spotka jakąś inną kobietę. A kiedy wracał wieczorem i jadł posiłek, który dla niego przygotowałam, byłam spokojna i szczęśliwa... aż do następnego dnia.

Ale Antonio nie chciał się żenić i nie chciał mieć dzieci. A ja bardzo tego chciałam. Nie był jeszcze gotowy. Szanowałam jego zdanie, licząc, że to się zmieni. Czekałam siedem lat. Antonio wiedział, że mam dziecko, które zostało adoptowane. Musiałam opowiedzieć mu najważniejsze wydarzenia z mojego życia, wytłumaczyć, skąd mam te blizny po oparzeniach, ale kiedy wszystko zostało raz powiedziane, więcej nie wracaliśmy do tego tematu. Antonio uważał, że znalazłam dla mojego dziecka najlepsze rozwiązanie. Marouan należał do innej rodziny, nie mogłam zbyt wiele powiedzieć o jego życiu. Dostyc regularnie otrzymywałam o nim wiadomości, ale bałam się pojechać tam, żeby go zobaczyć.

Przez te wszystkie lata byłam tam tylko trzy razy. Na czubkach palców. W końcu przyzwyczałam się do tego dodatkowego poczucia winy. Tak bardzo starałam się o wszystkim zapomnieć, że prawie mi się udało.

Ale chciałam mieć jeszcze chociaż jedno dziecko. Najpierw wyjść za mąż, to była konieczność. Musiałam poukładać sobie życie według ustalonej kolejności: mąż, rodzina.

Miałam trzydzieści lat w dniu tego wyczekiwanego ślubu. Antonio był gotowy, nasza sytuacja się poprawiła, mogliśmy zamienić kawalerkę na mieszkanie. Teraz on także chciał mieć dziecko. To był mój pierwszy ślub, moja pierwsza suknia i pierwsze piękne buty.

Długa spódnica ze skóry, koszulowa bluzka ze skóry, zakiet ze skóry i eleganckie pantofle na obcasach. Wszystko było z białej skóry. Skóra jest giętka, a także drogo kosztuje. Lubię wrażenie, które wywołuje na mojej własnej skórze. W sklepach nigdy nie mogłam przejść obok skórzanych ubrań, żeby ich nie dotknąć, wziąć w palce, sprawdzić ich elastyczność. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego to robię, teraz już wiem. To jest tak, jakbym zmieniała skórę. To także pewien rodzaj obrony, sposób na pokazanie innym ładnej skóry, nie mojej własnej. Tak jak uśmiech, sposób na ofiarowanie komuś szczęścia, niekoniecznie mojego.

Ten ślub był radością mojego życia. Jedyłą taką radością, jakiej przedtem zaznałam, było moje pierwsze spotkanie z ojcem Marouana. Ale już o tym nie myślałam. To zdołałam wypędzić z mojej głowy. Kiedy zaszłam w ciążę, byłam w siódmym niebie.

Laetitia była naprawdę upragnionym dzieckiem. Ciągłe do niej mówiłam, kiedy była jeszcze w moim brzuchu, byłam dumna, że mogę go pokazać, nosiłam obcisłe, uwydatniające ciążę ubrania. Chciałam, by wszyscy wiedzieli, że spodziewam się dziecka, żeby wszyscy widzieli mój pierścionek i obrączkę. Cała moja postawa w tamtym czasie była całkowitą odwrotnością tego, co robiłam podczas pierwszej ciąży, ale nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wtedy musiałam się ukrywać, kłamać i modlić się o ślub, błagać, żeby moje dziecko nie urodziło się z mojego brzucha, rzucając dyshonor na całą moją rodzinę. A tutaj żyłam, chodziłam po ulicach z tym nowym brzuchem i nowym dzieckiem. Sądziłam, że wymażę całą przeszłość moim obecnym szczęściem. Wierzyłam w to, bo pragnęłam tego ze wszystkich sił.

W jakimś zakątku mojej głowy ukrył się maleńki Marouan. Być może pewnego dnia będę zdolna stawić mu czoło, opowiedzieć mu o wszystkim, ale jeszcze nie skończyłam się odradzać.

Laetitia pojawiła się niczym kwiat. Starczyło mi czasu, by powiedzieć lekarzowi:

- Myślę, że muszę pójść do toalety...
- Ależ nie, to dziecko się rodzi...

Maleńki kwiatusek, o czarnych włoskach i matowej cerze. Wyślizgnęła się z mojego brzucha z niesamowitą łatwością. Dookoła mnie rozległy się głosy: „Przy pierwszym dziecku, to wspaniałe, rzadko kto rodzi tak łatwo...”

Karmiłam ją piersią przez sześć i pół miesiąca, to było bardzo łatwe dziecko. Jadła wszystko, dobrze spała, żadnych problemów ze zdrowiem.

Dwa lata później chciałam mieć następne dziecko. Chłopca lub dziewczynkę, to nie było ważne. Ale tak bardzo go pragnęłam, że nie chciało przyjść. Doktor nam poradził, żebyśmy wyjechali na wakacje, Antonio i ja, i przestali o tym myśleć. Ale wciąż czekałam i przy kolejnym rozczarowaniu, raz w miesiącu, zalewałam się łzami. Aż do momentu, kiedy następna mała dziewczuszka zarysowała się na horyzoncie.

Szaleliśmy oboje z radości, kiedy na świecie pojawiła się Nadia.

Laetitia była jeszcze całkiem mała, gdy zapytała, głaszcząc mnie po rękę:

- Co to jest, mamusiu? Kuku? Co to?
- Tak, mama ma tu kuku, ale wytłumaczę ci to, kiedy będziesz większa.

Więcej o tym nie mówiła. Powoli, krok o kroku, podnosiłam przy niej wyżej rękawy, odsłaniałam się coraz bardziej. Nie chciałam jej szokować, nie chciałam wywołać w niej uczucia obrzydzenia, dlatego postępowałam powoli, ale konsekwentnie.

Musiła mieć około pięciu lat, kiedy dotknęła mego ramienia:

- Co to jest, mamó?

- Mama była spalona.

- A co cię spaliło?

- To ktoś.

- Ktoś? Jest bardzo niedobry!

- Tak, bardzo niedobry.

- Czy tata może zrobić mu to samo, co on zrobił tobie?

- Nie, tata nie może zrobić tego, co on zrobił mamie, ponieważ to jest bardzo daleko, w kraju, gdzie się urodziłam, to zdarzyło się bardzo dawno temu. Ale to wszystko wytłumaczę ci, kiedy będziesz jeszcze większa.

- A czym on cię spalił?

- Wiesz, w tamtym kraju nie ma pralek, jak tutaj, więc mama grzała wodę na pranie i rozpaliała ogień...

- Jak rozpaliałaś ogień?

- Pamiętasz, jak poszliśmy z tatą do lasu po drewno i rozpaliliśmy ogień, żeby usmażyć kiełbaski? Mama robiła to samo: miałam taki kącik, gdzie rozpalalam ogień, aby zagrać wodę. Robiłam wtedy pranie i przyszedł pewien pan, wziął bardzo groźny produkt, taki, co wszystko pali, może nawet spalić cały dom, wylał ten produkt mamie na włosy i podpalił to zapalką. To w taki sposób mama została spalona.

- On jest niedobry! Nienawidzę go! Pojadę tam, żeby go zabić!

- Nie możesz tam pojechać, żeby go zabić, Laetitia. Może dobry Bóg już go pokarał. Bo mnie pokarał dostatecznie. Ale ja, ja jestem szczęśliwa, bo mam tatę i ciebie. I bardzo cię kocham.

- Mamo, dlaczego on to zrobił?

- Musiałabym ci długo tłumaczyć... jesteś jeszcze za mała.

- - Aleja chcę teraz!

- Nie, Laetitia. Powiedziałam, że kiedyś ci to wszystko wytłumaczę. Bo to są bardzo poważne sprawy, trudne do wytłumaczenia i teraz nie będziesz mogła ich zrozumieć. To, co ci teraz mama powiedziała, powinno ci wystarczyć.

Tego samego dnia, po wieczornym posiłku, siedziałam w fotelu, a ona stała obok mnie. Głaskała mnie po włosach i powoli zaczęła podnosić mój sweter. Nie miałam wątpliwości, po co to robi, poczułam się niedobrze.

- Co ty robisz, Laetitia?

- Chciałabym zobaczyć twoje plecy.

Postanowiłam pozwolić jej na to.

- Och, mammo, twoja skóra nie jest gładka. Popatrz na moją, jaka jest gładka.

- Tak, twoja skóra jest gładka, bo to twoja prawdziwa skóra, a skóra mamy nie jest gładka, bo jest tam wielka blizna. Właśnie dlatego powinnaś bardzo uważać na zapalki. Pamiętaj, że tylko tata, wyłącznie tata może ich używać, żeby zapalić sobie papierosa. Jeśli będziesz ich dotykać, możesz spalić się jak mama. Obiecujesz? Ogień naprawdę może zabić.

- A ty się boisz ognia, co, mammo?

Nie mogłam ukryć tego strachu, pojawiał się znienacka, przy najmniej spodziewanej okazji. A zapalki były moją obsesją. Zresztą są do tej pory.

Laetitię zaczęły prześladować nocne koszmary, słyszałam, jak się rzuca, krzyczała: „Aj, aj!”, ze wszystkich sił szarpała kołdrę. Pewnego razu spadła nawet z łóżka. Miałam nadzieję, że z czasem wszystko się uspokoi, ale któregoś dnia powiedziała mi:

- Wiesz, mammo, nocą przychodzę, żeby zobaczyć, czy śpisz.

- Ale dlaczego to robisz?

- Żebyś nie umarła.

Zaprowadziłam ją do mojego lekarza. Martwiłam się o nią, miałam do siebie pretensje, że za dużo jej powiedziałam. Ale lekarz uważał, że dobrze zrobiłam, mówiąc jej prawdę, ale teraz powinnam uważać przy odpowiedziach na następne pytania.

A potem przyszła kolej na Nadię. Mniej więcej w tym samym wieku. Jednak ona zareagowała zupełnie inaczej. Nie dręczyły jej koszmary, nie bała się o mnie, jednak nie czuła się dobrze. Widziałam, że dusi wszystko w sobie.. Siedziałyśmy obydwie i ona wdychała.

- Dlaczego wdychasz, kochanie?

- Nie wiem, tak sobie.

- Kiedy serce tak wdycha, to znaczy, że czegoś mu brak. Chciałabyś coś powiedzieć mamie, ale boisz się to zrobić?

- Masz bardzo małe uszy! Czy dlatego masz małe uszy, bo jadłaś za mało?

- Nie, kochanie. Mama ma małe uszy, bo była spalona. Tłumaczyłam Nadii wszystko w ten sam sposób. Chciałam, żeby moje córki słyszały ode mnie to samo, te same słowa. Więc używałam tego samego języka, mówiłam Nadii tę samą prawdę.

Źle to na nią wpłynęło. Nadia nie powiedziała, jak jej siostra, że chciałaby zabić tego, kto mi to zrobił, poprosiła tylko, czy może mnie dotknąć. Miałam kolczyki, często je noszę, by ukryć to, co mi jeszcze pozostało z uszu.

- Możesz dotknąć. Tylko delikatnie, nie ciągnij za kolczyki, bo to boli.

Musnęła moje uszy i poszła do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Myślę, że najtrudniej było im to wszystko znieść, kiedy poszły do szkoły. Dorastały, a Antonio nie zawsze mógł po nie pojechać. Domyślałam się pytań innych dzieci. Dlaczego twoja mama taka jest? Dlaczego nawet latem zawsze nosi sweter? Co jest twojej mamie? Dlaczego ona nie ma uszu?

Następny etap wyjaśnień był chyba najcięższy. Starłam się Wszystko uprościć, nie mówiłam o Marouanie. Kłamałam. Spotkałam pana, w którym się zakochałam, on także mnie kochał, ale moi rodzice na to nie pozwolili. Zdecydowali, że powinno się mnie spalić, powinnam umrzeć. Taki był obyczaj w moim kraju. Ale pani Jacqueline, ta, która często przyjeżdża do nas z wizytą, zabrała mnie do Europy, abym tu wyzdrowiała.

Laetitia zawsze była gwałtowniejsza, Nadia cichsza. Laetitia miała dwanaście lat, kiedy oznajmiła mi, że chce tam pojechać i zabić ich wszystkich. To były prawie te same słowa, które wypowiedział jej ojciec, kiedy opowiedziałam mu moją historię i o narodzinach Marouana. „Mam nadzieję, że oni tam wszyscy zdechną za to, co ci zrobili!”

Teraz mnie z kolei zaczęły dręczyć koszmary. Leżałam, spałam i matka przychodziła do mnie z błyszczącym nożem w rękę. Wymachiwała nim mi nad głową, mówiąc: „Zabiję cię tym nożem!” A nóż błyszczał niczym światło... Moja matka objawiała się bardzo realnie, naprawdę tu była, tuż nad moją głową. I budziłam się złana potem, przerażona.

Ten koszmar powracał bardzo często. Budziłam się zawsze w chwili, kiedy nóż zaczynał błyszczeć najjaśniej. Najgorszy do zniesienia był widok mojej matki. Przerażał mnie bardziej niż śmierć, niż ogień. Chciała mnie zabić, zabijała swoje nowo narodzone dzieci, była zdolna do wszystkiego i to była moja matka! Wysłałam z jej brzucha!

Tak bardzo bałam się, że fizycznie będę do niej podobna, iż zniosłam jeszcze jedną operację, tym razem plastyczną. Jedna więcej, jedna mniej... Ta operacja oswoiła mnie z podobieństwa fizycznego, którego widoku już dłużej nie mogłam znieść w lustrze. Małe wypukłość na czole między brwiami, u nasady nosa, identyczna jak u niej. Już jej nie mam, uważam nawet, że teraz jestem ładniejsza. A jednak koszmar nadal mnie prześladował. I lekarz nie umiał nic na to poradzić. Może powinnam była pójść do psychiatry, ale taka myśl nigdy nie przyszła mi do głowy.

Pewnego dnia udałam się do uzdrowicielki, by porozmawiać z nią o moim przypadku. Dała mi mały nóż, zupełnie małeńki, i powiedziała: „Niech pani włoży go pod poduszkę, ostrze należy zamknąć. Koszmary przestaną panią dręczyć”.

Zrobiłam, co przykazała, i terroryzujący mnie we śnie nóż już nigdy nie powrócił.

Niestety, ciągle myślę o mojej matce.

WSZYSTKO, CZEGO BRAKUJE

Bardzo chciałam nauczyć się pisać. Potrafię czytać, ale tylko drukowane litery. Nie mogę zrozumieć listu pisanego ręcznie, bo czytania nauczyłam się na gazetach. Ale zdarza mi się czasem potknąć na jakimś słowie. Wtedy pytam o to moje córki.

Edmond Kaiser i Jacqueline próbowali na początku dać mi jakieś podstawowe wiadomości. Zawsze chciałam się uczyć jak wszyscy inni. Około dwudziestego czwartego roku życia, kiedy zaczęłam pracować, miałam możliwość uczęszczania na kurs przez trzy miesiące. Byłam bardzo zadowolona. Co prawda, było mi ciężko, ponieważ opłata za te zajęcia przewyższała moje zarobki, więc Antonio powiedział: „Nie szkodzi, przecież mogę ci pomóc”. Odpowiedziałam: „Nie. Chcę sama płacić za ten kurs”.

Chciałam osiągnąć coś sama, za własne pieniądze. Skończyłam naukę po trzech miesiącach, ale to mi bardzo pomogło. Nauczono mnie, jak dziecko uczęszczające do przedszkola, trzymać w ręku ołówek i pisać swoje imię. Nie wiedziałam, jak pisać „a” czy „s”, kompletnie nic. Nauczyłam się więc alfabetu, litera po literze, w tym samym czasie co języka mówionego. Po trzech miesiącach mogłam już rozszyfrować kilka słów w gazecie.

Naukę czytania rozpoczęłam od horoskopów, bo ktoś mi powiedział, że jestem Wagą! Codziennie mozolnie odczytywałam moją przyszłość. To, co udało mi się przeczytać, nie zawsze było jasne, ale na początku potrzebowałam krótkich tekstów i krótkich zdań. Przeczytanie całego artykułu było sprawą późniejszą. Do krótkich tekstów należały również nekrologi. Nikt tak ich nie studiował jak ja! „Rodzina X zawiadamia z głębokim bólem o śmierci pani X. Pokój jej duszy!”

Czytałam także ogłoszenia drobne, zwłaszcza matrymonialne, o sprzedaży samochodów, ale szybko to porzuciłam, bo skróty słów to nie było dla mnie! Chciałam zaprenumerować jakiś bardzo popularny dziennik, ale Antonio uważał, że to głupie... Tak więc każdego ranka, przed pracą, szłam do miasta i zaczynałam dzień od picia kawy i czytania gazety. Bardzo lubiłam te chwile. Była to dla mnie najlepsza metoda nauki. Stopniowo, kiedy ludzie wokół mnie rozmawiali o jakimś ważnym wydarzeniu, także mogłam wtrącić się do rozmowy i powiedzieć, że o tym wiem, bo przeczytałam tę informację w gazecie. Ludzie podróżują, jeżdżą w różne miejsca, mówią o morzu, restauracjach, hotelach, plaży. Rozmawiali o całym świecie, a ja nie mogłam nic powiedzieć na ten temat. Teraz już mogę.

Znam troszkę geografie Europy, duże stolice i niektóre małe miasta. Zwiedziłam Rzym, Wenecję i Portofino. Byłam w Hiszpanii, w Barcelonie, jeszcze z moimi przybranymi rodzicami, ale pozostałam tam tylko przez pięć dni.

To były letnie wakacje. Było bardzo gorąco i odnosiłam wrażenie, że pozbawiam tatę i mamę przyjemności chodzenia na plażę, że zmuszam ich do pozostania ze mną w zamknięciu. Więc wróciłam do domu, a oni zostali. Kostium kąpielowy dla mnie - to sobie nawet trudno wyobrazić. Musiałabym być zupełnie sama na plaży, tak jak jestem sama we własnej łazience.

W ogóle niewiele wiem o świecie. Wiem, że to okrągła kula, ale nikt mnie nigdy nie nauczył rozumienia tego. Wiem na przykład, że Stany Zjednoczone znajdują się w Ameryce, ale nie wiem, gdzie na tej kuli leży Ameryka. Nie potrafię nawet zlokalizować na niej Cisjordanii.

Próbowałam przeglądać podręczniki do geografii moich córek, ale nie wiem, od czego mam zacząć, żeby wyobrazić sobie wszystkie kraje. Nie zdaję sobie sprawy z odległości. Jeśli na przykład ktoś mi mówi: „Spotkamy się pięćset metrów od twojego domu”, nie jestem w stanie wyliczyć sobie w głowie tych pięciuset metrów. Umiem wizualnie ustalić położenie ulicy czy sklepu, które znam. Ale całego świata nie potrafię sobie wyobrazić. Oglądałam w telewizji międzynarodową prognozę pogody i próbuję sobie przypomnieć, gdzie znajduje się Anglia, Madryt, Paryż i Londyn, Bejrut i Tel Awiw.

Pamiętam, że pracowałam z moim ojcem niedaleko Tel Awiwu. Byłam jeszcze mała, miałam jakieś dziesięć lat. Zawieziono nas tam do zbierania kalafiorów. Pracowaliśmy dla sąsiada, który przedtem pomagał nam przy koszeniu zboża. Znajdowała się tam barierka, oddzielająca nas od Żydów, byliśmy prawie na ich terytorium. Myślałam, że wystarczy tylko przekroczyć tę barierkę, żeby stać się Żydem, i bardzo się tego bałam. Wszystkie moje wspomnienia z dzieciństwa łączą się ze strachem, teraz zdaję sobie z tego sprawę.

Nauczono mnie, że nie należy zbliżać się do Żydów, bo oni są *halouf*, czyli „świniami”. Więc to, że wtedy znaleźliśmy się tak blisko nich, było czymś okropnym. Jadali inaczej i inaczej żyli. Nie można ich porównywać z nami, jesteście jak dzień i noc, jak jedwab i wełna. Takich rzeczy mnie uczono. Wełna to Żydzi, a jedwab to muzułmanie. Nie wiem, dlaczego wkładano mi to do głowy, ale nie umiałam myśleć o czymś innym. Kiedy widziało się Żyda na ulicy - zresztą nie widziało się ich prawie nigdy - natychmiast powstawał rwetes, leciały kamyki i kawałki drewna. Nie wolno było pod żadnym pozorem zbliżać się do nich ani rozmawiać, bo wtedy samemu stawało się Żydem! Muszę stwierdzić raz na zawsze, że były to straszne głupoty. Ci ludzie nie zrobili nam nic złego! W mojej dzielnicy jest na przykład bardzo ładny, żydowski sklep mięsny. Mięso tam jest lepsze, już je

jadłam, ale nie ośmielałam się wejść tam sama, żeby kupić to mięso. Chodzę więc do Tunezyjczyka, bo jest Tunezyjczykiem. Dlaczego? Sama nie wiem. Często mówię sobie: „Souad, pójdziesz po to ładne mięso jak wszyscy inni!”

Wiem, że pewnego dnia to mi się uda. Ale jeszcze się boję. Zbyt wiele nasłuchiwałam się w dzieciństwie, że należy unikać z nimi jakiegokolwiek kontaktu, że trzeba ich ignorować, jakby w ogóle nie istnieli na tej ziemi. To było coś więcej niż nienawiść. To był największy wróg muzułmanina.

Urodziłam się jako muzułmanka, nadal wierzę w Boga i ciągle jestem muzułmanką, ale teraz nie przestrzegam już wielu obyczajów z mojej wioski. I nie lubię wojny, nienawidzę przemocy. Jeśli ktoś ma mi coś do zarzucenia, na przykład, że neguję religię muzułmańską, mówiąc źle o mężczyznach z mojego kraju - już się z tym zarzutem spotkałam - zamiast bić się, rozmawiam, dyskutuję, staram się go przekonać, zmuszam go do wysłuchania tego, co mam do powiedzenia, by pomóc mu zrozumieć to, czego nie rozumiał.

Moja matka biła się z sąsiadkami. Brała kamyki i ciskała nimi albo wrywała im włosy. U nas zawsze przy bijatyce ciągnie się za włosy. A ja chowałam się wtedy za drzwiami lub za piecem do wypieku chleba, czasem w stajni, za baranami. Nie chciałam na to patrzeć.

Chciałabym nauczyć się wszystkiego, czego nie wiem. Rozumieć panujące na świecie różnice; mam nadzieję, że moje dzieci, żyjąc tutaj, skorzystają z tej szansy. Tę szansę dało im moje nieszczęście, to przeznaczenie chroni je przed przemocą w moim kraju, przed wojną na kamienie i podłością mężczyzn. Nie chcę, by w ich głowach zaległo się to samo, co wbijano do mojej i czego tak trudno jest mi się teraz pozbyć. Staram się nad tym zastanawiać i zdaję sobie sprawę, że gdyby mi powiedziano, iż mam niebieskie oczy i nie dano mi lustra, przez całe życie wierzyłabym, że moje oczy są niebieskie. Lustro prezentuje kulturę, edukację, rozumienie samego siebie i innych. To tak, jakbym spojrzęła w lustro i stwierdziła: „Ależ ja jestem mała!”

Bez lustra chodziłabym po ulicach, nie zdając sobie z tego sprawy, chyba że obok mnie znalazłby się ktoś wysoki. I co bym wtedy o nim pomyślała, że on też tak sobie chodzi, nie wiedząc, że jest wysoki?

Zaczynam rozumieć, że nic nie wiem o Żydach, że nie uczyłam się o ich historii, i gdybym żyła jak przedtem, to też bym powiedziała moim dzieciom, że Żyd jest *halouf*. Przekazałabym im głupotę zamiast wiedzy i możliwości samodzielnego myślenia.

Któregoś dnia Antonio powiedział do Laetiti:

- Nie chciałbym, żebyś pewnego dnia wyszła za mąż za Araba.

- Ale dlaczego, tatusiu? Przecież Arab to taki sam człowiek jak ty, nasz sąsiad, jak wszyscy inni ludzie.

Powiedziałam mojemu mężowi: „Czy to będzie Arab, Żyd, Hiszpan czy Włoch... najważniejsze jest to, żeby one same sobie wybrały tego, którego pokochają, i były szczęśliwe. Bo ja nie byłam”.

Kocham Antonia, ale zupełnie nie wiem, dlaczego on kocha właśnie mnie; nigdy nie miałam odwagi, aby go zapytać, żeby mu powiedzieć: „Popatrz na mnie, skąd pochodzę i jaka teraz jestem. Zostałam spalona, więc jak to się dzieje, że mnie chcesz, właśnie mnie, podczas gdy wokół jest tyle innych kobiet?”

Nie mam do siebie zaufania. Czasem mówię sobie: „Jestem taka szczupła, on poszuka sobie innej i co ja wtedy zrobię?”

To jednak dziwne. Kiedy rozmawiam z nim przez telefon, zawsze zadaję mu to samo pytanie: „Gdzie jesteś, kochanie?” I kiedy odpowiada, że jest w domu, natychmiast odczuwam ulgę. Zawsze noszę w sobie ten mały strach. Strach przed porzuceniem, przed mężczyzną, który już nie wróci. Strach, że będę czekać z niepokojem, tak jak czekałam na ojca Marouana.

Ostatnio często śni mi się, że Antonio jest z inną kobietą.

To dodatkowy koszmar. Zaczął się w dwa dni po narodzinach mojej młodszej córki, Nadii. Antonio był z inną kobietą. Trzymali się za ręce i szli razem ulicą. A ja mówiłam do starszej Laetitii: „Biegnij szybko po tatę!”. Boja nie miałam odwagi, nie ośmieliłabym się tego zrobić. I moja córka ciągnęła ojca za rękaw marynarki: „Nie, tatusiu! Nie odchodź z tą panią! Chodź!”. Musiała ciągnąć go w moim kierunku, ciągnęła go z całej siły. Ten koszmar zdaje się nie mieć końca. Nigdy nie wiem, czy Antonio wróci do domu, czy nie. Ostatnim razem obudziłam się koło wpół do czwartej nad ranem i nie zobaczyłam go koło siebie. Wstałam; nie było go w fotelu, telewizor był wyłączony. Rzuciłam się do okna, żeby sprawdzić, czy pod domem stoi jego samochód, zanim zdałam sobie sprawę, że w jego gabinecie pali się światło, a on pracuje nad rachunkami swojego przedsiębiorstwa.

Tak bardzo chciałabym żyć w spokoju, nie mieć już nigdy więcej koszmarów! Ale moje uczucia nie są spokojne, targają mną emocje, lęk, niepewność, zazdrość i nieustanny niepokój. Coś się we mnie złamało, ludzie nawet nie zdają sobie z tego sprawy, bo często grzecznie się uśmiecham, chcąc wyrazić szacunek i dobre wychowanie.

Jednak kiedy widzę ładną kobietę o pięknych włosach, zgrabnych nogach i delikatnej skórze... Kiedy nadchodzi lato, a wraz z nim czas basenów i skąpych ubrań...

Otwieram moją szafę: pełno w niej ubrań zapinanych po samą szyję. Kupuję także inne, sukienki z dużym dekoltem, bluzki bez rękawów. Żeby sprawić sobie przyjemność. Ale mogę je nosić tylko z zakietem, także zapiętym aż pod samą szyję. To moja druga warstwa...

I każdego lata wpadam we wściekłość. Wiem, że otwarcie basenu następuje 6 maja, a zamyka się go 6 września, i to doprowadza mnie do szaleństwa. Pragnę wtedy, żeby lał deszcz, żeby temperatura nie przekraczała nigdy dwudziestu pięciu stopni. Staję się egoistką, wbrew własnej woli. Kiedy jest zbyt ciepło, wychodzę tylko wczesnym rankiem lub późnym wieczorem. Pilnie śledzę prognozy pogody, zdarza mi się powiedzieć głośno: „Jak to dobrze, że jutro nie będzie ładnie!” A moje dzieci krzyczą:

- Mamo, jesteś złośliwa, że tak mówisz! My chcemy iść na basen!

Kiedy temperatura na zewnątrz dochodzi do trzydziestu stopni, zamykam się w moim pokoju. Zamykam drzwi na klucz i płaczę. Gdybym miała odwagę wyjść wraz z moimi dwiema warstwami ubrań, tą, którą chciałabym pokazać, i tą, która mnie ukrywa... ale lękam się przechodniów. Czy oni wiedzą, kim ja jestem? Czy zadają sobie pytanie, dlaczego latem ubieram się tak samo jak zimą?

Lubię jesień, zimę i wiosnę. Mam szczęście mieszkać w kraju, gdzie gorące słońce pokazuje się tylko przez trzy, cztery miesiące w roku. Nie mogłabym żyć w słońcu, choć przecież urodziłam się w kraju słońca. Zapomniałam o tym kraju, o tych godzinach, kiedy złociste słońce paliło ziemię, kiedy stawało się blade na szarym niebie tuż przed zachodem. Nie chcę słońca.

Czasem patrzę na ten basen obok domu i nienawidzę go. Na moje nieszczęście został zbudowany właśnie dla przyjemności lokatorów naszego budynku.

To właśnie on wywołał tę przeklętą depresję.

Miałam czterdzieści lat. Był właśnie początek lata, upalnie zapowiadający się czerwiec. Właśnie zrobiłam zakupy w znajdujących się na parterze domu sklepach i przez okno mieszkania wyjrzałam na zewnątrz, wszędzie widziałam kobiety w kostiumach kąpielowych, prawie nagie. Jedna z moich sąsiadek, ładna dziewczyna, wracała właśnie z basenu w bikini, boso, w chuście „pareo” na ramionach, obok niej szedł jej ukochany, błyszcząc nagim torsem. Byłam sama, zamknięta, obsesyjnie prześladowana myślą, że nigdy nie będę mogła postępować tak jak oni. To nie było sprawiedliwe, panował taki upał. Więc otworzyłam szafę i zaczęłam szukać. Nie wiem, ile ubrań rozłożyłam na łóżku, zanim znalazłam coś odpowiedniego, i nadal nie czułam się jak w swojej własnej skórze. Długi rękaw pod spód, bluzka z krótkim na wierzch. Tak będzie za gorąco. Nie mogę włożyć zbyt przezroczystej bluzki, nawet zapiętej pod samą szyję. Spódniczkę mini? Nie mogę, bo skóra

moich nóg posłużyła do przeszczepów. Duży dekolt, krótkie rękawy - nie mogę z powodu blizn. Wszystko, co rozłożyłam na łóżku, należało do kategorii „nie mogę”.

Pociłam się, ubranie lepiło mi się do skóry.

Rzuciłam się na łóżko i zaczęłam płakać. Ale nie ze złości. Nie mogłam już dłużej pozostawać w zamknięciu z powodu upału, podczas gdy inne kobiety przebywały na zewnątrz, odsłaniając skórę. Mogłam sobie płakać, ile tylko chciałam, byłam w domu sama, dziewczynki jeszcze nie wróciły ze szkoły, znajdującej się naprzeciwko naszego domu. A potem obejrzałam się w lustrze sypialni i pomyślałam sobie: „Przypatrz się! Dlaczego tu jesteś? Nie możesz pójść z rodziną na plażę. Nawet gdybyś tam poszła, pozbawiłabyś ich przyjemności kąpieli, bo z twojego powodu trzeba by było wrócić do domu. Dziewczynki są w szkole, ale kiedy wrócą, będą chciały pójść na basen. Na szczęście one mogą tam pójść, ale nie ty! Nie możesz nawet zejść do restauracji obok basenu, zamówić kawę, wypić lemoniadę, bo boisz się spojrzeń innych ludzi. Jesteś ubrana od stóp do głów, można by pomyśleć, że to nie lato, a zima, i że przy basenie temperatura nie przekracza dziesięciu stopni. Wezmą cię za wariatkę! Nie nadajesz się do niczego! Jesteś tu, ale właściwie cię nie ma. Jesteś zamkniętym w domu przedmiotem”.

No i poszłam do łazienki, wzięłam butelkę środków nasennych, które kupiłam w aptece bez recepty, bo miałam kłopoty z zasypianiem. Zbyt wiele rzeczy kołatało mi się po głowie. Opróżniłam buteleczkę i policzyłam tabletki. Było ich dziesięć i połknęłam je wszystkie.

Po paru minutach poczułam się dziwnie, wszystko wokół wirowało. Otworzyłam okno i płacząc, patrzyłam na dach szkoły Laetitii i Nadii. Otworzyłam drzwi mieszkania, mówiąc coś do siebie, słyszałam się, jakby mój głos wydobywał się z wnętrza studni. Chciałam wejść na szóste piętro, chciałam skoczyć z tarasu, szłam tam jak we śnie, mówiąc do siebie.

„Co się stanie z dziewczynkami, kiedy umrę? One mnie kochają. Wydałam je na świat, dlaczego? Po to, by cierpiały? Czy nie wystarczy, że ja sama tyle wycierpiałam? Nie chcę, żeby cierpiały. Albo pożegnamy się z tym życiem we trzy, albo wcale... Nie, one mnie potrzebują. Antonio pracuje. To znaczy mówi, że pracuje, ale może jest na plaży, nie wiem, gdzie jest... Za to on... on dobrze wie, że ja jestem w domu, bo jest za gorąco. Ja nie mogę wyjść, nie mogę ubrać się tak, jak bym chciała. Dlaczego to mnie spotkało? Co takiego Ci zrobiłam, dobry Boże? Co zrobiłam na tej ziemi?”

Płakałam, idąc korytarzem. Już nie wiedziałam, gdzie jestem. Wróciłam do mieszkania, żeby zamknąć okno, potem znowu wyszłam do holu, obok skrzynek na listy

czekałam na dziewczynki. A potem nie pamiętam już niczego więcej, ocknęłam się dopiero w szpitalu.

Straciłam przytomność z powodu tych środków nasennych. Zrobiono mi płukanie żołądka i lekarz zatrzymał mnie na obserwacji. Następnego dnia znalazłam się w klinice psychiatrycznej. Rozmawiałam z psychiatrą, bardzo miłą kobietą. Weszła do mojego pokoju:

- Dzień dobry pani...
- Dzień dobry, pani doktor.

Chciałam się grzecznie uśmiechnąć, ale natychmiast zalałam się łzami. Lekarka kazała mi połknąć środek uspokajający i usiadła obok mnie:

- Proszę mi opowiedzieć, co się stało, dlaczego pani wzięła te tabletki. Dlaczego chciała pani popełnić samobójstwo.

Tłumaczyłam, że słońce, basen, ogień, blizny, pragnienie śmierci i znowu zaczęłam płakać. Już nie byłam w stanie uporządkować tego wszystkiego, co kotłowało się w mojej głowie. Basen, wszystko sprawił ten głupi basen. Chciałam umrzeć z powodu basenu?

- Czy pani zdaje sobie sprawę, że po raz drugi umknęła śmierci? Najpierw był to pani szwagier, a teraz pani sama. Myślę, że to poważna sprawa i jeśli się panią nie zajmimy, to może się powtórzyć. Ale jestem tu właśnie po to, by pani pomóc, zgoda?

Przez miesiąc miałam z nią zajęcia terapeutyczne, a potem skierowała mnie do innej kobiety - psychiatry, do której chodziłam raz w tygodniu, we środy. Po raz pierwszy w moim życiu, od czasu podpalenia, mogłam swobodnie mówić z kimś, kto był tu tylko po to, by mnie słuchać, słuchać mojej opowieści o moich rodzicach, o moim nieszczęściu, o Marouanie. To wcale nie było dla mnie łatwe. Chwilami miałam ochotę wszystko rzucić, ale zmuszałam się, bo wiedziałam, że wychodząc od niej, czułam się naprawdę lepiej.

Po pewnym czasie uznałam, że lekarka jest zbyt autorytatywna. Czułam, że chce mi narzucić drogę, którą mam kroczyć. Wyglądało to tak, jakby kazała mi wracać do domu prawą stroną, podczas gdy powinnam skrócić w lewo...

Powiedziałam sobie: „Do jasnej cholery! Ona mną kieruje, a nie jest moją matką”. Przymusem był już sam fakt, że miałam stawiać się u niej w każdą środę. Chciałam chodzić do niej wtedy, kiedy miałam na to ochotę lub czułam taką potrzebę. Podobałoby mi się także, gdyby zadawała mi jakieś pytania, rozmawiała ze mną, patrzyła mi w oczy. Nie chciałam mówić do ściany, kiedy ona robi notatki. Przez cały rok powstrzymywałam w sobie tę chęć ucieczki. I rozumiałam, że nie jestem realistką, że chcąc umrzeć, negowałam egzystencję moich dwóch córek. Byłam egoistką, bo myślałam tylko o sobie, chciałam odejść i nie zawracałam sobie głowy całą resztą. To bardzo ładnie, powiedzcie: „Chcę umrzeć”... A inni?

Czuje się lepiej, ale czasem jest mi bardzo ciężko. Dopada mnie to zniecka, nie wiadomo kiedy. Przede wszystkim latem. Zamierzamy się przeprowadzić, daleko od tego basenu. Nasz dom stanie niedaleko drogi, ale lato zawsze powróci. Nawet w górach albo na pustyni, zawsze przyjdzie lato.

Czasem mówię sobie: „Boże, wolałabym nie wstać jutro rano, wolałabym umrzeć i już nie cierpieć”.

Mam wokół siebie rodzinę i przyjaciół, bardzo się staram. Ale nadal się siebie wstydzę. Gdybym tak się poparzyła w wypadku albo została sparaliżowana, patrzyłabym na moje blizny zupełnie inaczej. To byłoby przeznaczenie, los, nikt nie byłby za to odpowiedzialny, nawet ja sama.

Ale to szwagier mnie spalił, to była wola mojego ojca i matki. To nie zły los, to nie fatalne przeznaczenie sprawiło, że wyglądam tak jak wyglądam. To co najbardziej boli, to fakt, że to oni pozbawili mnie mojej własnej skóry, mnie samej i to nie na miesiąc, rok czy dziesięć lat, ale na całe życie.

I to wraca, od czasu do czasu. Pewnego razu był to western, w telewizji, z mnóstwem zgiełku i wielką liczbą koni. Dwóch mężczyzn biło się w stajni. Jeden z nich, przez niegodziwość, zapalił zapalniczkę i rzucił ją w siano między nogi przeciwnika, który natychmiast stanął w ogniu i biegał tak z tym ogniem na sobie. Zaczęłam krzyczeć, wypluwać to, co przed chwilą zjadłam. Zachowywałam się jak wariatka.

Antonio powiedział: „Ależ nie, kochanie, to film, to tylko film”. I zgasił telewizor. Wziął mnie w ramiona, chcąc mnie uspokoić, i powtarzał: „Kochanie, to telewizja. To nie dzieje się naprawdę, to tylko kino!”

A ja myślami byłam wiele lat wcześniej, biegłam z ogniem na sobie. W nocy nie zmrużyłam oka. Odczuwam tak straszny strach przed ogniem, że paraliżuje mnie każdy, nawet najmniejszy płomień. Czuwam nad Antoniem, kiedy zapala papierosa, czekam, aż go starannie zgasi albo żeby zgasł płomień w zapalniczce. Z tego powodu nie oglądam zbyt często telewizji. Boję się zobaczyć kogoś lub coś, co płonie. Moje córki bardzo na to uważają. Kiedy spostrzegą coś, co mogłoby mnie zszokować, natychmiast zmieniają program.

Nie chcę, żeby zapalały świece. W domu wszystko jest na elektryczność. Nie chcę widzieć ognia ani w kuchni, ani nigdzie indziej. Ale pewnego dnia ktoś bawił się przede mną zapalniczkami, śmiejąc się, po prostu chciał się popisać. Posmarował sobie palec alkoholem i podpalił. Skóra nie paliła się, to była tylko taka zabawa.

Wstałam przerażona i wściekła jednocześnie:

- Rób to gdzie indziej! Ja naprawdę byłam spalona. Nie masz pojęcia, jak to jest!

Nie boję się ognia w kominku, ale pod warunkiem, że się do niego nie zbliżam. Woda też mnie nie krępuje, lecz tylko wtedy gdy jest letnia. Boję się wszystkiego co ciepłe. Ognia, ciepłej wody, piekarnika, blatu kuchenki elektrycznej, rondli, zawsze włączonych ekspresów do kawy, telewizora, który może stanąć w ogniu, niedokręconych gniazdek elektrycznych, odkurzacza, zapomnianych papierosów, wszystkiego... Wszystkiego, co może się zdarzyć z powodu ognia. Zdaję sobie sprawę, że przeze mnie moje córki mogą czuć się terroryzowane. Bo czternastoletnia dziewczyna, która z mojego powodu nie może włączyć kuchenki elektrycznej, to nie jest sytuacja normalna. Jeśli nie ma mnie w domu, nie chcę, żeby włączały kuchenkę, by zagrzać sobie wodę na herbatę czy ugotować makaron. Muszę przy tym być, obok nich, uważna, cała w nerwach, muszę mieć pewność, że osobiście wszystko wyłączę. Nie ma takiego dnia, bym położyła się spać, zanim dokładnie nie sprawdzę wszystkich urządzeń elektrycznych.

Żyję z tym strachem w dzień i w nocy. Wiem, że uprzykrzam tym życie innym. Że mój mąż jest bardzo cierpliwy, ale czasem czuje się zmęczony tym terrorem bez powodu. Moje córki powinny móc trzymać w rękę rondel, nie wywołując we mnie dygotania. Pewnego dnia naprawdę powinny to zrobić.

Kiedy miałam około czterdziestki, nadszedł następny strach. To myśl, że Marouan stał się już mężczyzną, że nie widziałam go od dwudziestu lat, że wiedział, iż wyszłam za mąż i że gdzieś tam ma dwie siostry. Jednak ani Laetitia, ani Nadia nie wiedziały, że mają brata.

To kłamstwo było ciężarem, o którym nie rozmawiałam z nikim, Antonio co prawda wiedział o istnieniu mego syna, ale nigdy o tym nie mówiliśmy. Także Jacqueline wiedziała, ale respektowała moje milczenie. Poprosiła mnie o udział w konferencjach, gdzie miałam mówić o honorowych zbrodniach innym kobietom. Jacqueline kontynuowała swoją pracę, często wyjeżdżała z misją i wracała stamtąd, czasem zwycięska, czasem z pustymi rękami. Miałam opowiadać o swoim życiu spalonej kobiety, miałam być naocznym świadkiem, który przeżył. Mimo tych wszystkich lat jej działalności byłam praktycznie jedyną osobą, która mogła to zrobić.

I dalej brnęłam w kłamstwie, nie wyjawiając istnienia Marouana, tłumacząc sobie, że w ten sposób chronię moje dziecko przed tym koszmarem. Ale on był już prawie mężczyzną. Największym problemem była szczerza odpowiedź na pytanie, czy raczej nie chroniłam własnego wstydu, poczucia winy, że pozwoliłam go adoptować, niż samego Marouana.

Potrzebowałam dużo czasu, aby zrozumieć, że wszystko się ze sobą łączyło. W mojej rodzinnej wiosce nie ma psychiatry, kobiety nie zadają sobie podobnych pytań. Naszą jedyną winą jest to, że urodziłyśmy się kobietami.

Moje córki podrosły i ich „dlaczego, mamo?” stało się okrutne.

- Ale dlaczego cię spalili, mamo?

- Bo chciałam wyjść za mąż za wybranego przeze mnie chłopca i spodziewałam się dziecka.

I co się z nim stało, z tym dzieckiem? Gdzie jest?

Został tam, w sierocińcu. Nie byłam w stanie powiedzieć im niczego innego.

ŚWIADEK, KTÓRY PRZEŻYŁ

Tak więc Jacqueline prosiła mnie, bym świadczyła w imieniu stowarzyszenia Surgir. Czekala, aż będę do tego zdolna psychicznie po przebytej depresji, która mnie tak brutalnie przytłoczyła, aż ułożę sobie ponownie normalne życie, zintegruję się z nowym krajem, pracą, mężem i dziećmi, aż poczuję się bezpieczna. Czułam się lepiej, ale byłam jeszcze bardzo krucha, zwłaszcza przed publicznością składającą się z europejskich kobiet. Miałam im opowiadać o świecie tak różnym, o okrucieństwie, którego nie można im było wytłumaczyć.

Opowiedziałam tym kobietom moją historię, siedząc na scenie za niedużym stołem, na którym stał mikrofon. Jacqueline siedziała obok mnie. Rzuciłam się na głęboką wodę i opowiedziałam wszystko od początku. Zadawano mi pytania: „Dlaczego on panią podpalił?... Zrobiła pani coś złego?... Spalił panią tylko dlatego, że rozmawiała pani z mężczyzną?”

Nigdy nie mówię, że spodziewałam się dziecka. Po pierwsze dlatego, że czy byłabym w ciąży czy nie, wystarczyły plotki we wsi, jakaś denuncjacja, aby kara okazała się taka sama. Jacqueline wie coś na ten temat. A po drugie, aby oszczędzić mojego syna, który nic nie wie ani o mojej, ani o swojej własnej przeszłości. Nie wymieniam mojego prawdziwego nazwiska, anonimowość jest miarą mojego bezpieczeństwa. Jacqueline zna przypadki, kiedy rodzinie udało się odnaleźć dziewczynę o tysiące kilometrów od jej rodzinnego kraju i zamordować ją.

Na sali wstała pewna kobieta:

- Souad, pani twarz jest ładna, gdzie więc są blizny?

- Proszę pani, doskonale rozumiem, dlaczego zadała mi pani to pytanie, spodziewałam się go. Więc pokażę pani, gdzie są moje blizny.

Wstałam i przed całym audytorium zdjęłam bluzkę. Pod spodem miałam bluzkę z dekoltem i krótkie rękawy. Pokazałam ramiona, pokazałam plecy. A ta kobieta zaczęła płakać. Kilku obecnych na sali mężczyzn poczuło się bardzo nieswojo. Czuli dla mnie litość.

Kiedy jednak odgrywałam ten „spektakl”, miałam wrażenie, iż jestem czymś w rodzaju monstrum, które pokazuje się na targu. Ale nie czuję się tym skrupowana aż tak bardzo, bo nie zapominam o dawaniu świadectwa, wiem, że dla ludzi jest to ważne. Muszę sprawić, by zrozumieli, że jestem osobą, która cudem przeżyła. Umierałam, kiedy Jacqueline odnalazła mnie w szpitalu. Zawdzięczam jej życie, a dzieło, które kontynuuje w ramach stowarzyszenia Surgir, potrzebuje ocalałego świadka, aby uczulić ludzi na sprawę zbrodni honorowych. Większość osób nic nie wie na ten temat. Choćby dlatego, że te kobiety, które

przeżyły, należą do rzadkości. A także dlatego, że dla własnego bezpieczeństwa nie wystawiają się na widok publiczny.

Uniknęły honorowego morderstwa dzięki pracy stowarzyszenia w wielu krajach. Bo coś takiego dzieje się nie tylko w Cisjordanii czy Jordanii, ale na całym Bliskim Wschodzie, w Indiach, Pakistanie...

Ta część świadectwa należy do Jacqueline. To ona wyjaśnia, że najważniejszą sprawą jest zapewnienie tym kobietom bezpieczeństwa.

Kiedy odbyła się pierwsza konferencja, byłam w Europie już od piętnastu lat. Moje życie całkowicie się zmieniło, ja mogłam już podjąć takie ryzyko - inne spośród tych kobiet jeszcze nie. Osobiste pytania dotyczą także mojego obecnego życia, ale słuchaczy interesują przede wszystkim warunki życia kobiet w moim rodzinnym kraju. Pewien mężczyzna zadał mi pytanie.

A ja, choć czasami nie potrafię znaleźć właściwych słów, aby opisać moje własne nieszczęście, stałam się rezolutna i elokwentna, jeśli chodziło o innych. Wtedy już nie można było mnie powstrzymać.

„Proszę pana, tam dla kobiet nie ma żadnego życia. Wiele dziewcząt jest bitych, maltretowanych, duszonych, palonych, zabijanych. I dla nas, tam, jest to całkiem normalne. Moja własna matka chciała mnie otruć, by «zakończyć» pracę mojego szwagra, i dla niej było to czymś oczywistym, stanowiło część jej świata. To właśnie jest normalne życie dla nas, kobiet, tam jesteś bita - to normalne. Zostałaś spalona - to normalne, zostałaś uduszona - to normalne, jesteś maltretowana - to normalne. Krowy i barany, jak mawiał mój ojciec, zasługują na więcej szacunku niż kobiety. Jeśli nie chcemy szybko umrzeć, musimy być grzeczne, posłuszne, musimy się czołgać, pełzać, wychodzić za mąż jako dziewice i rodzić synów. Gdybym na swojej drodze nie spotkała pewnego mężczyzny, właśnie takie życie bym miała. Moje dzieci stałyby się podobne do mnie, a moje prawnuki do moich dzieci. Gdyby przyszło mi tam żyć, stałabym się tak normalna jak moja matka, która dusiła swoje własne dzieci. Może też zabiłabym własną córkę. Może pozwoliłabym ją spalić. Teraz wiem, że to potworne! Ale gdybym tam została, postępowałabym jak oni! Kiedy byłam tam w szpitalu i umierałam, nawet jeszcze wtedy myślałam, że to normalne. Ale kiedy przyjechałam do Europy, zrozumiałam w wieku dwudziestu pięciu lat, słuchając ludzi rozmawiających wokół mnie, że istnieją kraje, w których nie pali się kobiet, a córki traktuje się tak samo jak synów. Dla mnie mój świat kończył się na mojej wiosce. Moja wioska była cudowna, to był cały świat, aż do targu! Za targiem nie było już normalnie, bo dziewczyny się malowały, nosiły krótkie spódnice i bluzki z dekolcami. To one nie były normalne. A moja rodzina była! My

wszyscy byliśmy czyści jak barania wełna, a ci inni, zaraz po drugiej stronie targu, oni byli nieczyści!

Dziewczyny nie miały prawa chodzić do szkoły, a dlaczego? Aby nie poznać świata. Najważniejsi byli nasi rodzice. Jeśli coś powiedzieli, trzeba było to zrobić. Wiedza, prawo, nauka - to wszystko pochodziło tylko od nich. Dlatego dla nas nie było szkoły. Byśmy nie wsiadały do autobusu, inaczej się nie ubierały, byśmy z tornistrem w rękę nie nauczyły się pisać i czytać, bo to zbyt inteligentne, niedobre dla dziewczyn! Mój brat był jedynym chłopcem wśród dziewcząt w domu, ubierał się tak jak tutaj, jak w dużym mieście, chodził do fryzjera, do szkoły, do kina, wychodził, kiedy chciał, a dlaczego? Bo miał siusiaka między nogami! Miał szczęście, urodziło mu się dwóch synów, ale w gruncie rzeczy to nie on miał szczęście, tylko jego córki. To one miały największe szczęście, bo się nie narodziły!

Fundacja Surgir, wraz z Jacqueline, próbuje ratować te dziewczęta. Ale to wcale nie jest łatwe. My tu sobie siedzimy z założonymi rękoma. Ale one, one tam cierpią! To właśnie z tego powodu występuję w charakterze świadka organizacji Surgir i opowiadam o honorowych zbrodniach, bo te zbrodnie trwają nadal!

Ja żyję i mam własne życie dzięki łasce boskiej i dzięki Edmondowi Kaiserowi, i dzięki Jacqueline. Surgir to znaczy być odważnym, dużo pracować, by pomóc tym dziewczynom. Podziwiam tych ludzi. Nie wiem, jak oni to robią. Wolałabym raczej dostarczać żywność i ubrania uchodźcom czy chorym, niż wykonywać ich pracę. Do nikogo nie można mieć zaufania. Można rozmawiać z kobietą o miłym wyglądzie, a ona pójdzie was zadenuncjować, bo chcecie komuś pomóc, a ona się na to nie zgadza. Kiedy Jacquelin udaje się do takiego kraju, musi zachowywać się jak oni, jeść, chodzić i mówić jak oni. Musi się wtopić w ten świat, by pozostać anonimowa!”

- Dziękuję pani!

Na początku czułam niepokój, nie wiedziałam, jak powinnam mówić, a teraz Jacqueline musiała mnie hamować!

Przemawianie bezpośrednio przed publicznością niezbyt mnie krępowało. Jednak bałam się radia ze względu na moje otoczenie, stosunki w pracy, moje córki, które owszem, co nieco wiedziały, ale nie wszystko. Miały około dziesięciu i ośmiu lat, a w szkole pełno koleżanek. Chciałam je poprosić, aby były dyskretne, jeśli ktoś zacznie zadawać im pytania.

- To super! Chciałabym pojechać z tobą!

Taka reakcja Laetitii była równie pocieszająca co niepokojąca. Mama jedzie do radia, to super... Zdałam sobie sprawę, że nie rozumieją do końca wagi tego świadectwa poza moimi

bliznami, że prawie nic nie wiedzą o moim życiu. Tak więc pewnego dnia, kiedy będą trochę starsze, będę musiała opowiedzieć im o wszystkim i już na zapas czułam się chora.

Po raz pierwszy miałam mówić do tak wielkiego audytorium.

Tak więc dzięki tej audycji moje córki poznały nową część mojej historii. Po programie reakcja Laetitii była bardzo gwałtowna.

- Mamo, teraz się ubierzesz, spakujesz walizkę, pojedziemy na lotnisko i udamy się tam, do twojej wioski. Zrobimy im to samo. Spalimy ich! Weźmiemy ze sobą zapalki i spalimy ich wszystkich, tak jak oni chcieli spalić ciebie! Nie mogę patrzeć na to, co oni z tobą zrobili!

Przez sześć miesięcy chodziła do psychologa, ale pewnego dnia oznajmiła:

- Wiesz, mamusiu, to ty jesteś moim psychologiem. Mam szczęście, bo mogę z tobą rozmawiać o wszystkim, od A do Z. Odpowiadasz na wszystkie moje pytania. Dlatego już nie chcę tam chodzić.

Nie chciałam jej zmuszać. Zadzwoiłam do lekarza i razem podsumowaliśmy terapię. Uważał, że powinna odbyć jeszcze kilka dodatkowych seansów, ale w tej chwili nie należy jej do tego zmuszać.

- Jednak gdyby zauważyła pani, że nie czuje się dobrze, bywa skryta, jest zdeprymowana, proszę ją szybko do mnie przysłać.

Obawiam się, że w przyszłości moja historia może ciężko zaważyć na życiu moich córek. Boją się o mnie, a ja boję się o nie. Czekałam, żeby stały się dostatecznie dojrzałe, aby zrozumieć to wszystko, czego im jeszcze nie powiedziałam: całego mojego poprzedniego życia ze szczegółami, o mężczyźnie, którego chciałam za męża, o ojcu Marouana. Obawiałam się tych wyznań bardziej niż wszystkich konferencji, na jakie mogli mnie zaprosić. Musiałam także pomóc im w bardzo ważnej sprawie: nie chciałam, by znienawidziły kraj, z którego pochodzę, a który w połowie jest również ich krajem. One zupełnie nie wiedzą, co tam się dzieje. Jak je powstrzymać od nienawiści do mężczyzn z tamtego kraju? Ziemia jest tam tak piękna, tylko ludzie są źli. W Cisjordanii kobiety walczą o prawa, które nie byłyby prawami tylko dla mężczyzn. Ale to właśnie mężczyźni zasiadają w parlamencie i to oni uchwalają prawa.

W niektórych krajach sporo kobiet znajduje się w więzieniu. To jedyny sposób, by zapewnić im schronienie, uchronić je od śmierci. Ale nawet tam nie mogą czuć się całkowicie bezpieczne. A mężczyźni, którzy chcą je zabić? Oni oczywiście są na wolności. Prawo ich nie karze albo wydaje tak symboliczne wyroki, że bardzo szybko są znów na wolności, żeby dusić, palić, pomścić ich rzekomy honor.

A jeśli w wiosce, w jakiejś dzielnicy miasta pojawi się ktoś, kto zechce ich powstrzymać, nawet jeśli jest uzbrojony w karabin maszynowy, zaraz znajdzie się dziesięciu, którzy będą go ścigać, a jeśli nawet nie przyjdzie sam, to przeciw nim stawią się setki! Gdyby sędzia skazał mężczyznę za zbrodnię honorową jak zwykłego mordercę, to ten sędzia nie mógłby już nigdy pokazać się na ulicy, nie mógłby już żyć w swojej wiosce, musiałby uciec ze wstydu, że ośmielił się skazać „bohatera”.

Zastanawiam się czasem, co się stało z moim szwagrem. Czy poszedł do więzienia choćby tylko na parę dni? Moja matka mówiła coś o policji, o kłopotach, które mogli mieć mój brat i szwagier, gdybym nie umarła. Dlaczego policja nie przyszła do mnie, do szpitala? To ja byłam ofiarą, moje ciało doznało oparzenia trzeciego stopnia!

Widziałam dziewczyny przybyłe z daleka, tak jak ja przed wielu laty. Żyją w ukryciu. Młoda dziewczyna bez nóg: napadło na nią dwóch sąsiadów, którzy związali ją i wrzucili pod pociąg. Druga: ojciec i brat zmasakrowali ją uderzeniami nożem, a potem wyrzucili na śmietnik. I jeszcze jedna, którą matka i dwóch braci wyrzucili przez okno: teraz jest sparaliżowana.

I inne, o których się nie mówi, te, których nie odnaleziono na czas i zostały zabite. I te, którym udało się uciec za granicę, ale pomimo to zostały tam odnalezione i zamordowane.

Także te, które udało się ocalić i teraz ukrywają się, z dzieckiem lub bez, dziewice lub matki.

Nie spotkałam, poza mną, żadnej innej spalonej kobiety, pewnie żadna nie przeżyła. A ja się nadal ukrywam, nie mogę wyjawić prawdziwego imienia ani pokazać swojej twarzy. Mogę tylko mówić, to jedyna broń, jaka mi pozostała.

JACQUELINE

Moją rolą dzisiaj, i tak będzie w następnych latach, jest wyszukiwanie i ratowanie kolejnych Souad. To praca długa, trudna i wyboista, potrzebne są na nią pieniądze, jak zwykle. Nasza fundacja nazywa się Surgir, bo trzeba pojawić się w odpowiednim momencie, by ocalić te kobiety, wyrwać je śmierci. Pracujemy na całym świecie, zarówno w Afganistanie, jak i w Maroku czy Czadzie. Wszędzie tam, gdzie możemy interweniować w trybie pilnym. Trybie pilnym, który posuwa sprawy do przodu tak powoli! Wiadomo, że na świecie każdego roku dochodzi do sześciu tysięcy honorowych zbrodni - za tą przerażającą liczbą kryją się jeszcze wszystkie te samobójstwa i wypadki, których nie obejmuje statystyka.

W niektórych krajach kobiety, które mają odwagę złożyć skargę, zamyka się w więzieniach po to, by je chronić. Niektóre przebywają w nich od ponad piętnastu lat! Bo jedynymi osobami, które mogą je stamtąd uwolnić, są ich ojcowie i bracia, a więc ci, którzy chcą je zamordować. Gdy więc ojciec żąda wypuszczenia na wolność swojej córki, to oczywiście komendant się na to nie zgadza! Z tego, co mi wiadomo, wypuszczono jedną lub dwie; wkrótce potem zostały zabite.

W Jordanii, a to tylko jeden z przykładów, istnieje prawo mówiące, że każde morderstwo, każde pogwałcenie wspólnego prawa musi być ukarane odpowiednim wyrokiem. Ale obok tego prawa można znaleźć dwa maleńkie paragrafy, 97 i 98, precyzują one, iż sędzia ma być wyrozumiały dla mężczyzn, którzy dopuścili się zbrodni honorowej. Kara za taki czyn przewiduje od sześciu miesięcy do dwóch lat pozbawienia wolności. Skazani, traktowani często jak prawdziwi bohaterowie, najczęściej nie odsiadują nawet tej kary w całości. Stowarzyszenia lokalnych adwokatów walczą o pozytywne zmiany w kodeksie; poprawiono już szereg artykułów, ale nie paragrafy 97 i 98.

Pracujemy na miejscu ze stowarzyszeniami kobiet, które stworzyły programy zapobiegające przemocy i pomagają kobietom - ofiarom tejże przemocy w swoich krajach. To długa i mozolna praca, utrudniają ją zagorzali przeciwnicy zmian... Jednak, krok po kroku, sprawy posuwają się do przodu. Kobietom w Iranie udało się wywalczyć zmiany w prawie cywilnym. Kobiety z Bliskiego Wschodu dowiedziały się, że w ich krajach istnieją przepisy, które ich bezpośrednio dotyczą i dają im pewne prawa. Parlamenty tych krajów ustąpiły (nie bez walki) i pewne artykuły zostały zmienione.

Powoli, stopniowo władze niektórych krajów przyznają, że tego typu zbrodnie u nich występują. Sporządza się oficjalne statystyki w raportach Komisji Praw Człowieka w

Pakistanie. Oficjalne misje medyczne wielu krajów informują o liczbie rozpoznanych przypadków na Bliskim Wschodzie, a lokalne stowarzyszenia wszczynają śledztwa w sprawach przemocy i prowadzą prace nad historycznymi i aktualnymi racjami podtrzymywania i kultywowania tych archaicznych obyczajów.

Czy to w Pakistanie, gdzie notuje się znaczącą liczbę zabitych kobiet i dziewcząt, czy na całym Bliskim Wschodzie, w Turcji, najważniejszą sprawą jest zlikwidowanie tych obyczajów, stosowanych i ślepo przekazywanych kolejnym pokoleniom.

W niedawnej przeszłości takie autorytety jak król Husajn czy książę Hasan wypowiedziały się publicznie przeciwko tym zbrodniom, mówiąc, że: „to nie są zbrodnie honoru, ale dyshonoru”. Bardzo wielu imamów i chrześcijańskich duchownych wyjaśnia bez przerwy, że „zbrodnia honorowa” jest czymś całkowicie nieznanym w Koranie czy w Ewangelii.

Nie tracimy ani odwagi, ani uporu. Fundacja Surgir nauczyła się już pukać do wszystkich drzwi, ryzykując nawet, że zatrzaśnie sieje nam przed nosem. Bo czasem się udaje.

MÓJ SYN

Laetitia i Nadia były jeszcze małe, kiedy pojechałam z wizytą do rodziny zastępczej; zrobiłam to po raz pierwszy od czasu, kiedy „porzuciłam” Marouana. Bałam się reakcji mojego syna wobec jego sióstr. Wchodził właśnie w wiek młodzieńczy, ja zbudowałam sobie życie bez niego, nie wiedziałam, czy sobie o mnie przypomni, czy będzie miał do mnie pretensję, czy też w ogóle się nami nie interesuje. Zawsze, kiedy telefonowałam, żeby uprzedzić o mojej wizycie, i byłam bardzo niespokojna, mówiono mi: „Nie, nie ma żadnego problemu, Marouan jest poinformowany, możesz przyjechać”.

Ale często go tam nie było. Pytałam o niego, jak się miewa, i zawsze zapewniano mnie, że wszystko z nim w porządku. Widziałam go trzy razy w ciągu dwudziestu lat. I zawsze okropnie się czułam. Płakałam, wracając do domu. Moje dwie córki bawiły się obok swojego brata, nie wiedząc, kim on jest, podczas gdy on o tym wiedział. Nie dawał tego po sobie poznać, niczego nie żądał, to przywracało mi nieco spokój. Te wizyty były strasznym przeżyciem. Nie mogłam z nim rozmawiać, nie miałam na to siły. Ostatnim razem Antonio powiedział do mnie:

- Myślę, że lepiej będzie więcej tam nie jeździć. Płaczesz cały czas, wpadasz w depresję, to niczemu nie służy. On ma swoje życie, rodziców, rodzinę, kolegów... zostaw go w spokoju. Pewnego dnia, może trochę później, wytłumaczysz mu wszystko, jeśli tego zażąda.

Czułam się ciągle winna, nie chciałam powracać do przeszłości, tym bardziej że nikt, oprócz Jacqueline i mojego męża, nie wiedział, iż mam syna. Czy on nadal jest moim synem? Nie chciałam dramatów rodzinnych, to było zbyt trudne.

Kiedy widziałam go ostatnim razem, miał około piętnastu lat. Nawet pobawił się przez chwilę ze swymi młodszymi siostrami... Nasze kontakty ograniczały się do kilku banalnie smutnych słów: „Dzień dobry, wszystko w porządku?... Tak, a u ciebie?”

Minęło prawie dziesięć lat. Myślałam, że mnie zapomniał, że przestałam istnieć w jego już teraz dorosłym życiu. Wiedziałam, że pracuje, że mieszka w niewielkim mieszkanku razem ze swoją dziewczyną, jak wszyscy młodzi ludzie w jego wieku.

Laetitia miała trzynaście lat, a Nadia dwanaście. Poświęcałam bardzo dużo czasu ich wychowaniu i nauce i tłumaczyłam sobie, że wykonuję to, co do mnie należy. W momentach przygnębienia przekonywałam samą siebie, egoistycznie, że jeśli chcę prowadzić w miarę normalne życie, powinnam zapomnieć o przeszłości. Zazdrościłam szczęśliwym ludziom,

takim, których w dzieciństwie nie dotknęło nieszczęście, nie mają sekretów, nie prowadzą podwójnego życia. Mogę powiedzieć, że ze wszystkich sił starałam się pogrzebać moje poprzednie życie, chciałam stać się taka jak oni. Ale za każdym razem, kiedy brałam udział w jakiejś konferencji i musiałam opowiedzieć o całym tym koszmarze, moje szczęście trzęsło się w posadach jak dom zbudowany na złych fundamentach. Antonio zdawał sobie z tego sprawę, Jacqueline także. Byłam słaba i krucha, ale sprawiałam wrażenie, że wcale tak nie jest.

Któregoś dnia Jacqueline powiedziała:

- Wiesz, mogłabyś napisać książkę o twoim życiu, w ten sposób mogłabyś pomóc innym kobietom.

- Książkę? Przecież ja ledwo umiem pisać...

- Ale umiesz mówić...

Nie wiedziałam, że można „powiedzieć” książkę. Książka to coś tak niezmiernie ważnego... Niestety, nie należę do osób, które czytają książki. Moje córki czytają, Antonio może je czytać. Ja wolę poranną gazetę. Byłam tak poruszona pomysłem dotyczącym książki, sobą, jako jej bohaterką, że tylko to krążyło mi po głowie. Już od kilku miesięcy myślałam, patrząc, jak dorastają moje córki, że pewnego dnia będę musiała powiedzieć im więcej o moim życiu. A gdyby wszystko zostało zapisane w książce, raz na zawsze, byłoby to dla mnie mniej stresujące niż bezpośrednia rozmowa.

Do tej pory opowiedziałam im, stopniowo, jedynie o podstawowych wydarzeniach, by wytłumaczyć im, dlaczego tak wyglądam.

Ale pewnego pięknego dnia będą chciały poznać i zrozumieć całą resztę, a ich pytania będą dla mnie czymś w rodzaju uderzeń prosto w serce.

Jeszcze nie czułam się dostatecznie silna do grzebania w pamięci, do szukania tego, czego dotychczas nie wiedziały. Kiedy bardzo chce się zapomnieć, zapomina się naprawdę. Psychiatra wytłumaczył mi, że to naturalne po przebytym szoku i cierpieniu, spowodowanym brakiem opieki medycznej. Ale najważniejszą sprawą był Marouan. Za długo żyłam w chroniącym mnie kłamstwie. I żyłam źle.

Gdybym zgodziła się opowiedzieć o sobie w książce, musiałabym opowiedzieć także o nim. Czy miałam do tego prawo? Tak więc odmówiłam. Za bardzo się bałam. Liczyło się również moje i jego bezpieczeństwo. Książka może wędrować po całym świecie. A jeśli mojej rodzinie uda się mnie odnaleźć? A gdyby chcieli skrzywdzić Marouana? Wiem, że byliby do tego zdolni. Ale z drugiej strony miałam ogromną ochotę na tę książkę. Zbyt często zdarzało mi się marzyć na jawie o niemożliwej do spełnienia zemście. Widziałam siebie, jak

wracam do rodzinnej wioski, potajemnie i dobrze chroniona, docieram do domu mojego brata. To przewijało się przez moją głowę zupełnie jak film.

Tak więc podjeżdżam pod dom brata i mówię:

- Przypominasz mnie sobie, Assadzie? Widzisz, jednak żyję! Przypatrz się dobrze moim bliznom. To twój szwagier tak mnie spalił, ale znowu tu jestem!

A pamiętasz moją siostrę Hanan? Co zrobiłeś z moją siostrą? Dałeś ją psom? A twoja żona, wszystko z nią w porządku? Dlaczego spalono mnie tego dnia, kiedy ona rodziła synów? Ja też byłam w ciąży, trzeba było spalić również mojego syna! Wytłumacz mi, dlaczego nic nie zrobiłeś, żeby mi pomóc, ty, mój jedyny, rodzony brat?

Przedstawiam ci mojego syna Marouana! Urodził się dwa miesiące wcześniej w miejskim szpitalu, ale jest duży i piękny i naprawdę żywy! Popatrz na niego!

A Hussein? Zestarzał się, a może już umarł? Mam nadzieję, że jeszcze żyje, ale ślepy lub sparaliżowany, mogłabym wtedy stanąć przed nim! Mam nadzieję, że cierpi równie mocno, jak ja cierpiałam!

A moja matka i ojciec? Czy umarli? Powiedz mi, gdzie są pochowani, abym mogła tam pójść i przekląć ich w grobie!

Często marzyłam o takiej zemście. Stawałam się równie gwałtowna jak oni. Miałam ochotę zabijać jak oni! Wszyscy myśleli, że umarłam, a ja tak bardzo pragnęłam, żeby zobaczyli mnie żywą!

Przez prawie rok odmawiałam współpracy przy powstaniu książki, może zgodziłabym się, gdyby wyłączono z niej mojego syna. Lecz Jacqueline szanowała moją decyzję. Żałowała, ale rozumiała.

Nie chciałam jednak mówić w tej książce o sobie, nie mówiąc o nim, i nie mogłam się zdecydować na spotkanie z Marouanem. by w rozmowie w cztery oczy rozwiązać z nim ten problem. Życie toczyło się dalej, a mną targały sprzeczności typu: „Zrób to! Nie, lepiej nie rób!” Jak postąpić z Marouanem? Pewnego dnia zadzwonię do niego, tak po prostu, bez uprzedzenia, po tylu latach i powiem mu: „Marouanie, musimy ze sobą porozmawiać”.

Jak mam się przedstawić? Mama? Jak mam się przy nim zachować? Uścisnąć mu rękę? Pocałować go? A jeśli o mnie zapomni? Ma do tego prawo, przecież ja „zapomniałam” samą siebie...

Jacqueline zwróciła mi uwagę na sprawę, która poruszyła mnie jeszcze głębiej.

- Co się stanie, jeśli Marouan pewnego dnia spotka jedną ze swych siostr, a ona nie będzie wiedziała, że to jej brat? A gdyby się w nim zakochała i przyprowadziła ci go do domu, to co wtedy byś zrobiła?

Nigdy o tym nie pomyślałam. Dzieliło nas dwadzieścia kilometrów. Laetitia skończyła niedawno czternaście lat, niedługo zacznie interesować się chłopcami... Nadia jest niewiele młodsza... dwadzieścia kilometrów to żadna odległość. Świat jest taki mały! Takie niebezpieczeństwo, chociaż niewielkie, jednak przecież istniało, a ja nie mogłam się zdecydować. Minał kolejny rok.

I w końcu sprawy same się ułożyły. Marouan zadzwonił do nas do domu. Byłam wtedy w pracy, rozmawiała z nim Nadia. Powiedział zupełnie zwyczajnie:

- Znam twoją mamę, byliśmy razem w tej samej rodzinie zastępczej. Możesz ją poprosić, żeby do mnie zadzwoniła?

Kiedy wróciłam do domu, Nadia nie mogła znaleźć papieru, na którym zapisała jego numer. Szukała wszędzie, ja się denerwowałam. Można by przypuszczać, że przeznaczenie nie chciało, bym nawiązała kontakt z Marouanem. Nie wiedziałam, gdzie mieszka i gdzie obecnie pracuje. Mogłam zadzwonić do jego przybranego ojca i dowiedzieć się, ale nie miałam odwagi. Byłam tchórzem, miałam do siebie pretensje. Łatwiej było zdać się na zrzucenie losu, niż oglądać własną twarz w lustrze. To on ponownie zadzwonił, w pewien czwartek. I to on powiedział: „Musimy ze sobą porozmawiać”. Umówiliśmy się na spotkanie następnego dnia w południe. Miałam stawić czoło własnemu synowi, wiedziałam, czego mam się spodziewać. Najogólniej mówiąc, będzie to pytanie: „Dlaczego zostałem adoptowany w wieku pięciu lat? Dlaczego nie zostawiłaś mnie przy sobie? Wy tłumacz mi...”

Chciałam być dla niego ładna. Poszłam do fryzjera, umalowałam się i założyłam proste ubranie: jeansy, sportowe buty i czerwoną bluzkę koszulową z długimi rękawami i zapiętym pod szyję kołnierzykiem. Umówiliśmy się punktualnie o dwunastą przed restauracją w mieście.

Ulica jest wąska. On ma nadejść od strony centrum, a ja od dworca, nie możemy się przegapić. Zresztą rozpoznałabym go pośród tysięcy. Widzę go z daleka, niesie zieloną, sportową torbę. Pamiętałam go jeszcze jako nastolatka, a tu uśmiecha się do mnie dorosły mężczyzna. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa, ręce zaczynają drżeć, a serce wali jak młotem, jakbym spotkała mężczyznę mojego życia. To jest jak miłosna randka. Jest wysoki, musi się mocno pochylić, żeby mnie pocałować w policzek, tak po prostu, jakbyśmy widzieli się wczoraj. Oddaję mu pocałunek.

- Dobrze zrobiłeś, telefonując do mnie.

- Zadzwoniłem do ciebie dwa tygodnie temu, ty nie oddzwoniłaś, więc pomyślałem sobie: „W porządku, ona nie chce mnie widzieć...”

Zaprzeczyłam, wyjaśniłam, że Nadia posiada gdzieś jego numer.

- A gdybym do ciebie wczoraj nie zadzwonił, zatelefonowałabyś do mnie?

- Nie wiem, nie sędzę, nie. Nie śmiałam, ze względu na twoich rodziców... wiem, że mama zmarła...

- Tak. Tata jest teraz całkiem sam, ale jakoś sobie radzi... a ty?...

Nie wie, jak ma się do mnie zwracać. To dlatego, że także mówiłam do zastępczych rodziców „mamo” i „tato”, i teraz wcale to nie ułatwia sprawy. Kto jest mamą?

Chcę mu pomóc:

- Słuchaj, Marouanie, możesz nazywać mnie mamą, możesz nazywać mnie Souad, wołać na mnie mała, duża, możesz mnie nazywać, jak chcesz. I skoro Bóg tak chce, zaraz się poznamy.

- Zgoda. Zjemy coś i porozmawiamy.

Siadamy przy stoliku, pozeram go oczami. Jest podobny do swojego ojca. Ta sama sylwetka, ten sam szybki krok, to samo spojrzenie... a jednak jest inny. Chyba przypomina trochę także mojego brata... ale rysy ma łagodniejsze. Wydaje się, że bierze życie takim, jakim jest, bez wielu komplikacji, jest prosty i bezpośredni.

- Wy tłumacz mi, jak zostałeś spalona.

- Nie wiesz tego, Marouanie?

- Nie. Nigdy nikt mi niczego nie powiedział.

Tłumacząc i w miarę mojego opowiadania widzę, jak zmienia mu się wyraz oczu. Kiedy dochodzę do momentu, jak poczułam na sobie ogień, odkłada na popielniczkę dopiero co zapalonego papierosa.

- Byłem wtedy w twoim brzuchu?

- Tak. Byłeś w moim brzuchu. Urodziłam cię zupełnie sama. Nawet ciebie nie poczułam, z powodu poparzeń. Zobaczyłam cię, byłeś między moimi nogami, to wszystko. A potem zniknąłeś. Następnie odnalazła cię Jacqueline i zabrałyśmy cię do samolotu. Mieszkaliśmy razem przez dziewięć miesięcy w szpitalu, a potem znaleźliśmy się rodzinie, u taty i mamy.

- Więc to przeze mnie masz te oparzenia?

- Nie, wcale nie przez ciebie! Nie, nigdy! Na nieszczęście u nas panują takie obyczaje. Mężczyźni w tym kraju ustanawiają własne prawa. To nie ty jesteś odpowiedzialny, pamiętaj o tym, odpowiedzialni są moi rodzice!

Patrzy na moje blizny, na uszy i szyję, bardzo delikatnie kładzie rękę na moim ramieniu. Czuję, że domyśla się reszty, ale nie prosi, żebym mu pokazała. Czy boi się o to poprosić?

- Nie chcesz zobaczyć...

- Nie. Już i tak okropnie się czuję po tym, co mi powiedziałeś, a byłoby mi jeszcze gorzej. Jaki jest mój ojciec? Jest do mnie podobny?

- Tak, górną partią twarzy... Nie za często widziałam go chodzącego, ale ty trzymasz się jak on, prosto i dumnie. I twój kark, usta, a zwłaszcza twoje ręce. Masz takie same ręce jak on, aż do czubków palców... On był trochę wyższy od ciebie i tak samo umięśniony. Był ładny. Przed chwilą spojrzałam na twoje ramiona i miałam wrażenie, że patrzę na twojego ojca.

- To musi ci się robić ciepło na sercu, bo chyba jednak go kochałaś?

- Ależ tak, oczywiście, że go kochałam. Obiecał mi, że weźmiemy ślub... a potem, widzisz, kiedy dowiedział się, że jestem w ciąży, już się nie pokazał...

- To obrzydliwe, że cię tak zostawił! No i znowu wychodzi na to, że to przeze mnie...

- Nie, Marouanie. Nigdy nie myśl w ten sposób. To przez tamtejszych mężczyzn. Później, kiedy lepiej poznasz ten kraj, zrozumiesz.

- Bardzo chciałbym go spotkać pewnego dnia. Moglibyśmy tam pojechać? We dwoje? Po to, żeby zobaczyć, jak tam jest, i po to, żeby go zobaczyć... chciałbym zobaczyć jego minę. Czy on wie, że ja istnieję?

- To by mnie zdziwiło. Wiesz, że już nigdy potem go nie widziałam... A poza tym, teraz trwa tam wojna... Nie, lepiej będzie nigdy się z nimi nie spotkać.

- Czy to prawda, że urodziłaś mnie w siódmym miesiącu?

- Tak, to prawda. Przyszedłeś na świat całkiem sam, nie widziałam cię zbyt długo, ale byłeś zupełnie malutki...

- O której godzinie?

- Godzinie? Nie wiem... to było pierwszego października, tak mi potem powiedziano. Ja nawet o tym nie wiedziałam! Nie mogę ci powiedzieć, która to była godzina... Najważniejsze, że urodziłeś się cały i zdrowy, od stóp do głów!

- Dlaczego przyjeżdżałaś do rodziców i nie odzywałaś się do mnie ani słowem?

- Nie śmiałam, ze względu na twoich adopcyjnych rodziców. Nie chciałam sprawiać im przykrości. To w końcu oni cię wychowali, zrobili dla ciebie wszystko, co tylko mogli.

- A ja ciebie pamiętani. I ten pokój, w którym dałaś mi jogurt, kiedy właśnie wypadł mi mleczny ząb, a w jogurcie była krew, więc nie chciałem go jeść, ale ty mnie do tego zmusiałaś. To dobrze pamiętam.

- A ja nie... Wiesz, wtedy zajmowałam się także innymi dziećmi, a mama zawsze mówiła, żebym nie zajmowała się tobą bardziej niż pozostałymi... A poza tym u rodziców nie wolno było marnować jedzenia, kosztowało drogo przy tych wszystkich dzieciach.

- A ja, kiedy miałem jakieś czternaście czy piętnaście lat, czułem do ciebie pretensję, byłem zazdrosny.

- Zazdrosny o co?

- O ciebie. Chciałem, żebyś została w tej rodzinie, była tam przez cały czas.

- A teraz? Dzisiaj?

- Bardzo chcę cię poznać, chcę wiedzieć tyle rzeczy...

- Nie masz mi za złe, że mam inne dzieci?

- Nie, to fajnie mieć siostry... Je także bardzo chciałbym poznać. Spojrzałam na zegarek, nadeszła pora mojego powrotu do pracy.

- Szkoda, że musisz już iść, naprawdę szkoda, tak bym chciał jeszcze z tobą zostać.

- Tak, ale naprawdę muszę. Czy chcesz przyjść jutro do nas do domu?

- Nie, na to jeszcze za wcześnie. Wolę się spotkać gdzie indziej.

- A więc jutro, o siódmej, w tym samym miejscu. Przyjdę z córkami.

Widać, że jest szczęśliwy. Nie spodziewałam się, że okaże się to takie łatwe. Bałam się, że będzie miał do mnie ogromny żal, że zgodziłam się na adopcję, że będzie mną gardził. Ale on nawet o to nie zapytał.

Całuje mnie, ja całuję jego, mówimy sobie: „do widzenia, do zobaczenia jutro”.

I wracam do pracy z głową lekką jak puch. Ogromny ciężar został gdzieś za mną. Bez względu na to, co się teraz stanie, uwolniłam się od okropnego niepokoju, który drażył mnie od tak dawna i którego nie umiałam się pozbyć. Żałuję, że nie byłam w stanie zatrzymać syna przy sobie. Pewnego dnia będę musiała naprawdę go przeprosić za to, że zapomniałam o nim w tej przemożnej chęci ułożenia sobie życia na nowo. W głowie byłam martwa, miałam tam wodę zamiast oleju, nie wiedziałam, co robię. Nic nie było rzeczywiste. Błąkałam się. Muszę mu o tym powiedzieć, a także o tym, że chociaż jego ojciec nas opuścił, to jednak kochałam tego człowieka. To nie moja wina, że okazał się nędznikiem jak wszyscy inni. Muszę mu też powiedzieć: „Marouanie, tak strasznie się bałam, że biłam się po brzuchu...” On musi mi to wybaczyć. Byłam wtedy taką ignorantką, sądziłam, że w ten sposób powróci miesięczne krwawienie. W głowie miałam pustkę, był w niej tylko strach! Czy będzie w stanie to

zrozumieć i mi wybaczyć? Czy mogę wszystko opowiedzieć mojemu synowi? A moim córkom? Jak oni mnie osądzą, wszyscy troje?

Jestem tak podniecona, że w nocy nie mogę zmrużyć oka. Po raz kolejny widzę na sobie ogień, biegnę przez ogród jak szalona.

Antonio się nie wtrąca, pozwala mi radzić sobie samej, teraz nie chce się w to mieszać, ale widzi, że źle się czuję, że mnie to boli.

- Rozmawiałaś z dziewczynkami?

- Jeszcze nie. Jutro... Zjemy obiad z Marouanem i znajdę odpowiedni moment, żeby z nimi pomówić. Ale boję się, Antonio.

- Dasz sobie radę. Teraz już nie możesz się cofnąć.

O trzeciej pięćdziesiąt siedem nad ranem znalazłam w telefonie komórkowym wiadomość od Marouana: „Chcę Ci powiedzieć, że jest mi dobrze, przesyłam Ci całusa. Do jutra, mamó”.

Rozpłakałam się.

ZBUDOWAĆ DOM

Tego wieczora Antonio wyszedł z kolegą, by zostawić mnie samą z dziećmi.

Sobota wieczór, godzina dziewiętnasta, 16 listopada 2002 roku.

Obiad jest radosny. Jedzą łączywie, wszystko ich rozśmiesza. Laetitia jest gadatliwa, nie przestaje paplać, jak zwykle. Marouan przyszedł ze swoją dziewczyną. Dla moich córek nadal oficjalnie jest jednym z dzieci, które były ze mną w rodzinie zastępczej. Jego obecność wcale ich nie dziwi, są szczęśliwe, że w sobotę wieczorem wyszły na obiad do restauracji z mamą i znajomymi.

Nie dorastali razem, a jednak wydaje się, że są sobie bliscy. Obawiałam się, że ten wieczór wystawi mnie na ciężką próbę. Antonio powiedział mi przed wyjściem: „Jeśli będziesz mnie potrzebowała, zadzwoń. Natychmiast po ciebie przyjdę”.

To dziwne, ale czuję się dobrze, już prawie wcale się nie boję. Odczuwam jedynie lekki niepokój z powodu moich córek. Marouan przekomarza się ze starszą:

- Chodź tu, Laetitia, usiądź obok mnie, no chodź.

Przyciska ją do siebie, żartując. A ona odwraca się do mnie i szeptem:

- Mamo, ależ on jest sympatyczny!

- To prawda.

- A jaki jest ładny!

Obserwuję szczegóły ich twarzy. Marouan jest chyba bardziej podobny do Laetitii, może to samo wysokie czoło. Momentami odnajduję w nim wyraz twarzy Nadii, spokojniejszej i bardziej zadumanej niż siostra. Laetitia zawsze żywo wyraża swoje uczucia i jej reakcje są niekiedy impulsywne. Odziedziczyła wioską naturę swojego ojca. Nadia najczęściej zachowuje swoje uczucia dla siebie.

Czy one rozumieją?... Chyba za długo traktowałam je jak małe, trzyletnie dziewczynki i byłam nadopiekuńcza. A przecież moja matka w wieku Laetitii była już mężatką i spodziewała się dziecka...

A ona mi powtarza: „Ależ on jest ładny...”

Mogłaby zakochać się we własnym bracie! Moje milczenie mogłoby spowodować całą serię katastrof! W tej chwili wybuchają śmiechem i kpią sobie z pewnego mężczyzny, wyraźnie pijanego. Patrzy on na nasz stół i zwraca się do Marouana:

- Ty, ośle sakramencki! Ale masz szczęście, tyle kobiet koło ciebie! Cztery baby, a ja tu siedzę sam!

Marouann jest dumny i wyraźnie drażliwy. Mamrocze:

- Zaraz wstanę i dam mu po gębie.
- Nie, proszę, nie rób tego!
- No dobrze...

Właściciel restauracji zjawia się obok stolika pijanego i łagodnie wyprowadza intruza na ulicę. Kończymy spokojnie posiłek wśród wybuchów śmiechu i żartów.

Idziemy odprowadzić Marouana i jego dziewczynę aż na dworzec. Mój syn mieszka i pracuje na wsi. Zajmuje się ogrodami i terenami zielonymi. Zdaje się, że lubi swój zawód, trochę mówi nam o tym przy stole. Laetitia i Nadia są w wieku, kiedy nie ma się jeszcze sprecyzowanych planów na przyszłość. Nadia wspomina czasem o pracy w krawiectwie, Laetitia przeskakuje z jednego projektu na drugi. Idą wszyscy troje przede mną, ulicą schodzącą w stronę dworca, Marouan jest w środku, Laetitia trzyma go za jedno ramię, a Nadia za drugie. Robią tak pierwszy raz w życiu, w pełnym zaufaniu. Nadal nic im jeszcze nie powiedziałam, a Marouan jest wspaniały, pozostawia sprawy swojemu biegowi. Przekomarza się ze swoimi siostrami w tak naturalny sposób, jakby je znał od zawsze. Ja, przed ślubem z Antoniem i narodzinami moich córek, nie zaznałam w życiu zbyt wiele radości. Marouan urodził się w cierpieniu, bez ojca, a one w szczęściu, dwa skarby tatusia. Ich losy były tak różne, jednak ich śmiech jest do siebie podobny, ja nigdy nie umiałabym tego sprawić. Ogarnia mnie nieznane uczucie. Jestem z nich dumna. Dzisiejszego wieczora nie brakuje mi niczego. Żadnego niepokoju czy smutku, jedynie spokój.

Na peronie Laetitia mówi do mnie:

- Nigdy z nikim nie czułam się tak świetnie jak z Marouanem.

A Nadia dodaje:

- Ja też...
- Bardzo bym chciała pojechać teraz z Marouanem i jego dziewczyną, zjedlibyśmy razem śniadanie, a potem wsiedlibyśmy do pociągu i wrócili tu z powrotem!
- Nie, wracamy do domu, Laetitia, tata na nas czeka.
- On jest taki miły, mammo, naprawdę bardzo go lubię, jest sympatyczny i ładny... Ależ on jest ładny, mamusiu!

Teraz z kolei Nadia wieszka się na mnie:

- Czy jeszcze się z nim zobaczymy, mammo?
- Może jutro, a może pojutrze. Mama wszystko zorganizuje, zobaczysz.
- Co Nadia mówi?

- Poprosiłam mamę, żebyśmy znowu mogły się spotkać z Marouanem i mama zgodziła się na jutro, prawda, mamó? Prawda, że się zgadzasz?

- Możecie na mnie liczyć. Mama wszystko dobrze zorganizuje.

Pociąg odjeżdża, patrzę na dworcowy zegar, jest czterdzieści minut po pierwszej w nocy. Dziewczynki biegną wzdłuż peronu i przesyłają całusy rękami. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Od kiedy żyję w Europie, przyzwyczałam się do patrzenia na zegarek i to przyzwyczajenie stało się dla mnie pewnego rodzaju maniactwem, punktem orientacyjnym. Pamięć o mojej przeszłości tak często mnie zawodzi, że skrupulatnie notuję terażniejszość, kiedy staje się dla mnie ważna. To zabawne, ale wczoraj Marouan chciał wiedzieć, o której godzinie się urodził. Też potrzebuje punktów odniesienia. Powinnam sprawić mu taki prezent, ale będę miała z tym kłopot. Marzyłam o tym w nocy, w ogóle nie śpiąc. Wszystko, co mogę odnaleźć w mojej biednej głowie, to fakt, że urodził się nocą. Wydaje mi się, że widziałam wtedy światło elektryczne na korytarzu tego przeklętego szpitala, kiedy lekarz zabierał moje dziecko. A godzina... to nawyk Zachodu, u nas tylko mężczyźni mieli zegarki. Przez dwadzieścia lat musiałam zadowalać się słońcem i księżycem. Powiem Marouanowi, że pojawił się na świecie w godzinie księżycy.

Po przyjsciu do domu wysyłam wiadomość na jego komórkę, chcę wiedzieć, czy bez problemów wrócili do siebie. Odpowiada mi: „Dziękuję, dobrej nocy, do jutra, do jutra...”

Jest późno, dziewczynki idą do łóżka, a Antonio jeszcze nie śpi.

- I jak było, kochanie?

- Bezbłędnie.

- Rozmawiałaś z dziewczynkami?

- Nie, jeszcze nie. Ale jestem gotowa porozmawiać z nimi jutro. Nie mam powodu, żeby dłużej z tym zwlekać, polubiły go natychmiast. To jednak zabawne... jakby go znały od bardzo dawna.

- Marouan nic nie powiedział, nie robił żadnych aluzji?

- Absolutnie nic, był naprawdę wspaniały. Ale to zadziwiające, że Laetitia tak się od razu do niego przywiązała, Nadia zresztą też. Obie na nim wisały. Nigdy się tak nie zachowują w stosunku do swoich przyjaciół, nigdy...

- Jesteś zbyt nerwowa...

Nie jestem nerwowa, jestem ciekawa. Czy bracia i siostry mogą się rozpoznać właśnie w taki sposób? Co dzieje się między nimi, że jest to tak widoczne i ewidentne? Czy jest jakiś znak, jakaś rzecz, która ich łączy, chociaż o tym nie wiedzą? Spodziewałam się jednocześnie wszystkiego i niczego, ale nie takiego instynktownego uczucia.

- Powinnaś może poczekać dzień lub dwa...

- Jutro jest niedziela, pójdę z nimi do kafeterii w biurze, nie będzie tam nikogo, i spokojnie z nimi porozmawiam. Zobaczymy, czym Bóg nas obdarzy, Antonio.

Oprócz moich córek muszę pomyśleć o całym naszym środowisku, sąsiadach, a przede wszystkim o moim biurze, w którym pracuję od wielu lat. Dbam o jego utrzymanie, organizuję małe przyjęcia, czuję się tam jak u siebie w domu, a serdeczność moich szefów ma dla mnie wielkie znaczenie... Jak przedstawić im Marouana po upływie dziesięciu lat?

Muszę być sama z moimi córkami. Będą sądzić swoją matkę za dwadzieścia lat kłamstwa, a także kobietę, której dotąd nie znały, matkę Marouana, tę, która ukrywała go przez te wszystkie lata. Często im mówiłam, że ich przyjście na świat było największym szczęściem mojego życia. Jak przyjmą do wiadomości to, że narodziny Marouana były takim koszmarem, że nigdy mu o tym nie wspomniałam?

Następnego dnia rano, około dziewiątej, poranne przebudzenie odbywa się jak zazwyczaj:

- Zrobić ci kawy, mamó?

- Chętnie.

To jest taki poranny rytuał i ja zawsze odpowiadam „chętnie”. Jestem bezkompromisowa, jeśli chodzi o grzeczność i wzajemny szacunek. Uważam, że tutejsze dzieci są często źle wychowane. Używają wulgarnego języka, przynieszonego ze szkoły. My z tym nieprzejednanie walczymy, Antonio i ja. Laetitia została ukarana przez ojca co najmniej kilka razy za to, że pyskowała. Ja osobiście otrzymałam tylko jedną szkołę - niewolnictwo.

Laetitia przynosi mi kawę i szklankę letniej wody. Całuje mnie chętnie i łatwo, jej siostra także. Miłość, jaką mnie obdarzają córki i mój mąż, zadziwia mnie każdego dnia, tak jakbym na nią nie zasługiwała. To, co zamierzam teraz zrobić, jest dla mnie bardzo trudne, i to z jeszcze innych powodów niż towarzyszący mi dotąd strach przed spojrzeniem prosto w oczy synowi.

- Chciałabym z wami porozmawiać o czymś bardzo ważnym.

- W porządku, mamó, słuchamy.

- Nie, nie tutaj, zabiorę was do biura, do kafeterii.

- Ale przecież dzisiaj nie pracujesz! Wiesz, mamó, myślałam o wczorajszym wieczorze, było cudownie, super, czy Marouan do ciebie nie dzwonił?

- Wróciliśmy późno do domu, pewnie jeszcze śpi.

Gdyby to nie był ich brat, miałabym powód do niepokoju. Gadają między sobą, całkowicie zaaferowane niecodziennym pomysłem pójścia do mojego biura w niedzielny

ranek. To ja sobie coś roję, wyobrażam. One wychodzą z mamą, mama idzie coś zrobić w biurze, a potem... Nieważne, mają do mnie zaufanie.

- Wczoraj spędziłyśmy wspaniały wieczór.

- Ach, to o tym chciałaś z nami porozmawiać?

- Poczekajcie, wszystko po kolei... Więc wczoraj wieczorem spędziłyśmy miłe chwile z Marouanem, czy nic wam to nie mówi? O czym myślicie, kiedy wymieniam jego imię?

- O tym, że to miły chłopiec, który mieszkał u twojej rodziny zastępczej, sam o tym powiedział...

- I że jest ładny i bardzo sympatyczny.

- To jego miły sposób bycia i uroda tak was pociąga?

- Wszystko, mamó, on jest bardzo dobry.

- To prawda... Pamiętacie, że byłam w ciąży, kiedy mnie spalono? Mówiłam wam o tym.

- Tak, mówiłaś nam...

- A to dziecko, jak myślicie, gdzie ono jest teraz? Patrzą mi prosto w oczy, zdziwione.

- Przecież ono tam zostało! U twojej rodziny!

- Nie. Nie masz żadnego pomysłu, gdzie może być to dziecko? Czy nigdy nie widziałaś nikogo, kto byłby do ciebie podobny, Laetitia, lub do ciebie, Nadiu? Albo podobnego do mnie, kto miałby podobny głos, ten sam chód co ja?

- Nie, mamó, przysięgam, że nie.

- Nie, mamó.

Nadia zadowolona się powtarzaniem tego, co powiedziała jej siostra - prawie zawsze to Laetitia jest czymś w rodzaju rzecznika - ale wczoraj wieczorem wyczułam, że zasiało się w niej maleńkie ziarenko zazdrości. Marouan więcej żartował z Laetitia, a nią zajmował się trochę mniej. Słucha mnie bardzo uważnie i nie spuszcza ze mnie wzroku.

- Nadiu, ty także nie wiesz?

- Nie, mamó.

- Laetitia, ty jesteś starsza, mogłabyś jednak coś pamiętać? Z pewnością widziałaś go u moich adoptowanych rodziców...

- Przysięgam ci, że nie, mamó.

- A to właśnie jest Marouan!

- O mój Boże, to Marouan, to z nim spędziłyśmy wczorajszy wieczór!

I obydwie zalewają się łzami.

- To nasz brat, mamó! Był w twoim brzuchu!

- To jest wasz brat, był w moim brzuchu i urodziłam go zupełnie sama. Ale go tam nie zostawiłam, przywiozłam go tu ze sobą.

Zaczynam teraz najtrudniejszą część moich wyjaśnień, tę, która dotyczy spraw związanych z adopcją. Dlaczego pozwoliłam go adoptować? Starannie szukam odpowiednich słów, słów, które już słyszałam u psychiatry, „odrodzić się na nowo”... „zaakceptować siebie”... „znów stać się kobietą”... „znów stać się matką”...

- I dusiłaś to w sobie przez dwadzieścia lat, mamó! Dlaczego nie powiedziałaś nam o tym wcześniej?

- Byłyście za małe, nie wiedziałam, jak zareagujecie, chciałam wam to powiedzieć, jak już będziecie starsze, tak jak o bliźnach... jak o ogniu. To tak jak budowanie domu: kładzie się cegła po cegle. Jeśli te cegły nie są solidne, to co wtedy się dzieje? Cegła wypada. Tak samo jest tutaj, kochanie. Chciałam zbudować swój dom i myślałam, że później będzie on wystarczająco solidny i wysoki, by wprowadzić do niego Marouana. Bo inaczej mój dom mógłby runąć i nie mogłabym już nic zrobić. Ale teraz Marouan wszedł w nasze życie. Obecnie wybór należy do was.

- To nasz brat, mamó. Powiedz mu, żeby przyjechał zamieszkać razem z nami. Co, Nadia? Mamę starszego brata, a ja zawsze marzyłam o tym, żeby mieć starszego brata, przecież ci o tym mówiłam, starszego brata, jak moja koleżanka. A teraz i ja mam starszego brata, jest tutaj i to Marouan! No i co, Nadia?

- Wyciągnę wszystko z szafy i dam mu także moje łóżko.

Nadia nie dałaby mi nawet gumy do żucia! Jest bardzo wspaniałomyślna, ale nie tak łatwo oddaje swoje rzeczy. A dla swojego brata jest gotowa to zrobić!

To zadziwiające, ten brat pojawił się nie wiadomo skąd, a ona jest gotowa wszystko mu oddać...

I tak oto starszy, nieznany brat wszedł do naszego domu. Tak prosto jak opróżnienie szafy i oddanie mu własnego łóżka. Wkrótce będziemy mieli większy dom, będzie tam miał swój pokój. Jestem wprost zmęczona szczęściem. Moje dzieci spędzają czas na telefonowaniu do siebie, czekaniu na swój powrót. Pomyślałam sobie, że nie upłynie zbyt wiele czasu, by zaczęły się sprzeczać. Ale Marouan jest starszym bratem i natychmiast zdobywa autorytet u swych młodszych sióstr:

- Laetitia, nie odpowiadaj mamie takim tonem! Prosiła cię, żebyś ściszyła telewizor, więc go ścisz! To szczęście, że masz rodziców, więc ich szanuj!

- Dobra, w porządku, przepraszam, już tak nie zrobię, obiecuję.

- Nie przyszedłem tu po to, by się z wami kłócić, ale mama i tata obydwójce pracują. Więc co ma znaczyć ten bałagan w pokoju?

- Ale my ciężko pracujemy w szkole, przecież ty też chodziłeś do szkoły! Sam wiesz, jak to jest!

- Zgadza się, ale to jeszcze nie powód, żeby w ten sposób traktować rodziców.

A potem Marouan odciąga mnie na bok:

- Mamo? Co o tym sądzi Antonio? Czy nie denerwuje go, że kłócę się z dziewczynami?

- Antonio jest zadowolony z tego, co robisz.

- Boję się, że pewnego dnia powie mi: „Zajmij się swoimi sprawami, to są moje córki...”

Ale Antonio tego nie robi. To bardzo mądre z jego strony. A nawet jest naprawdę zadowolony, że mógł podzielić się częścią swego autorytetu. I co najciekawsze, dziewczynki bardziej słuchają się brata niż mnie i ojca. Z nami się kłócą, czasem nawet trzaskają drzwiami, ale nie z nim. Często powtarzam sobie: „Oby to trwało jak najdłużej...”

Czasem atmosfera staje się trochę napięta. Laetitia przybiega do mnie do łóżka:

- On mnie denerwuje!

- Ale ma rację, tak jak ma rację twój ojciec. Odpowiadasz niegrzecznie...

- Dlaczego on mówi, że odejdzie, jeśli nie będziemy go słuchać? Że nie po to jest z nami, żeby się kłócić?

- To normalne. Marouan nie miał takiej szansy jak ty, przeżył bardzo trudne chwile, których wy na szczęście nie znacie. To dla niego ważne, mieć rodziców, dla niego mama jest czymś drogocnym, skoro nie miał jej tyle lat przy sobie, rozumiesz?

Gdybym jeszcze mogła pozbyć się tego poczucia winy, które pojawia się zbyt często, gdybym mogła zmienić skórę... Powiedziałam Marouanowi, że zdecydowałam się opowiedzieć naszą historię w książce, jeśli on się na to zgodzi.

- To będzie nasz rodzinny album. I świadectwo honorowej zbrodni.

- Pewnego dnia pojadę tam...

- Czego chcesz tam szukać, Marouanie? Zemsty? Krwi? Co prawda, urodziłeś się tam, ale nie znasz tamtejszych mężczyzn. Ja także o tym marzę, także mam w sobie nienawiść, myślę, że pomogłoby mi, gdybym pojechała z tobą do mojej wioski i mogła wykrzyknąć: „Patrzcie wszyscy! To Marouan, mój syn! Chcieliście nas spalić, ale my żyjemy! Zobaczcie, jaki jest piękny, silny i inteligentny!”

- Bardzo chciałbym zobaczyć mojego ojca z bliska. Chciałbym zrozumieć, dlaczego cię zostawił, przecież wiedział, co cię czeka.

- Być może. Ale lepiej wszystko zrozumiesz, kiedy to się znajdzie w książce. Powiem w niej wszystko, o czym jeszcze nie wiesz i nie wie bardzo wielu ludzi. Bo mało kobiet przeżyło, a wśród nich są takie, które muszą się ukrywać i teraz, i w przyszłości. Dotąd żyją w strachu i chyba już zawsze będą w nim żyły. Mogę świadczyć także w ich imieniu.

- A ty się boisz?

- Trochę.

Przede wszystkim boję się o to, żeby moje dzieci nie żyły z cierniem zemsty, szczególnie Marouan. Że ta przemoc, przekazywana z pokolenia na pokolenie wśród mężczyzn, pozostawi w jego umyśle jakiś ślad, piętno, nawet najmniejsze. On także musi zbudować sobie dom, cegła po cegle. Ta książka ma właśnie pomóc zbudować taki dom.

Dostałam od mojego syna list, napisany ładnym, okrągłym charakterem pisma. Chciał mi dodać odwagi w podjęciu tej trudnej pracy. Podczas tej lektury rozplakałam się.

Mamo!

Tyle lat żyłem sam, bez Ciebie, więc gdy Cię wreszcie ujrzałem, pomimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, dało mi to nadzieję na nowe życie. Myślę o Tobie i Twojej odwadze. Dziękuję, że napisałaś dla nas tę książkę. Mnie także doda ona odwagi w życiu. Kocham Cię, Mamo.

Twój syn Marouan

Opowiedziałam moje życie, po raz pierwszy starając się wydobyć z pamięci nawet najbardziej ukryte sprawy i wydarzenia. To było bardziej dotkliwe niż opowiadanie przed publicznością, niż odpowiadanie na pytania moich dzieci. Mam nadzieję, że ta książka przemierzy cały świat i trafi aż do Cisjordanii, a mężczyźni jej tam nie spalą.

W naszym domu będzie stała na honorowym miejscu w bibliotece i wreszcie wszystko zostanie opowiedziane raz na zawsze i do końca. Każę ją oprawić w piękną skórę i ozdobić złotymi literami, aby się nie zniszczyła.

Dziękuję.

Souad

Gdzieś w Europie

31 grudnia 2002 roku



2 lipca 2006, godz. 18.00

Scena Kameralna Polskiej Filharmonii Bałtyckiej

SOUAD SPALONA ŻYWCEM

wykonanie i scenografia: Maria Iljuczonek

reżyseria: Jerzy Król

muzyka, vocal: Kayah

vocal na żywo: Mieczysław Szczęśniak

Maria Iljuczonek

Urodzona w 1962. Absolwentka Wydziału Aktorskiego w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Łodzi. Zawodowa aktorka, uczestniczyła w warsztatach ruchu scenicznego i pantomimy w Paryżu. Krakowska Postać, która wygrała się już w wizerunek Kławią jako „Biała Dama” współpracująca obecnie z Teatrem 38. Brała udział w wielu festiwalach i projektach m.in. z Operą Nową w Bydgoszczy w albumie przedsięwzięciu scenie zno – muzycznym „Mefistofeles” Arrigo Boito. Zagrała także w włoskim filmie fabularnym o P. Gauguin’ie. Jej ulubiona postać to Souad, którą odgrywa bardzo plastycznie z niezwykłym oddaniem, z charyzmą...

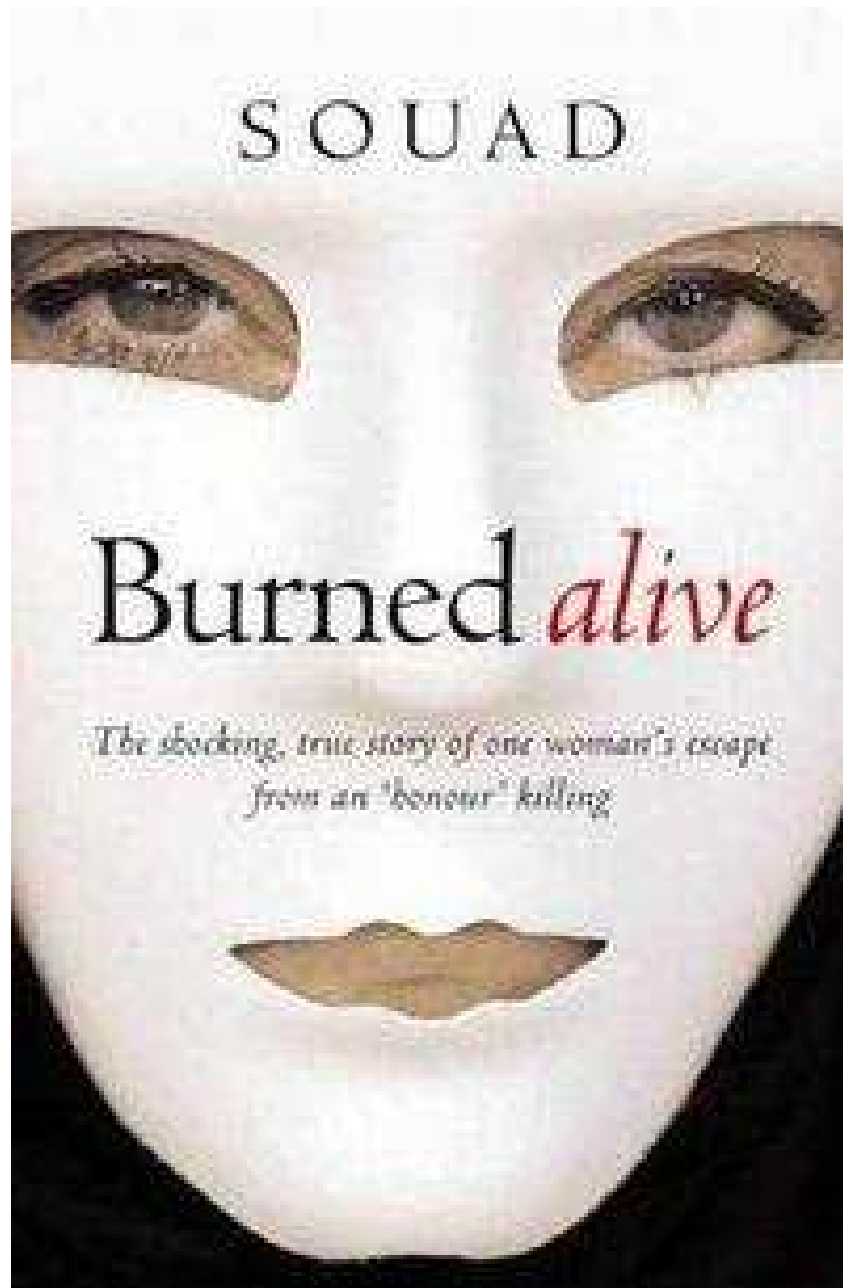
TEATR 38
W KRAKOWIE

Autentyczna historia młodej dziewczyny z cisjodlańskiej wsi. Dziewczyna zakochuje się i przed ślubem zachodzi w ciążę wbrew religii i kulturze. Rodzina wydaje wyrok śmierci. Zostaje za to spalona – polana ropą i podpalona przez własnego szwagra. Cudem uratowana przez Szwajcarkę z humanitarnej organizacji wraz z dzieckiem trafia do Europy. Tu wyleczona rozpoczyna nowe życie. Oddaje dziecko do adopcji. Musi się rozstać z synem na 20 lat tylko po to by odbudować swoją nową tożsamość...

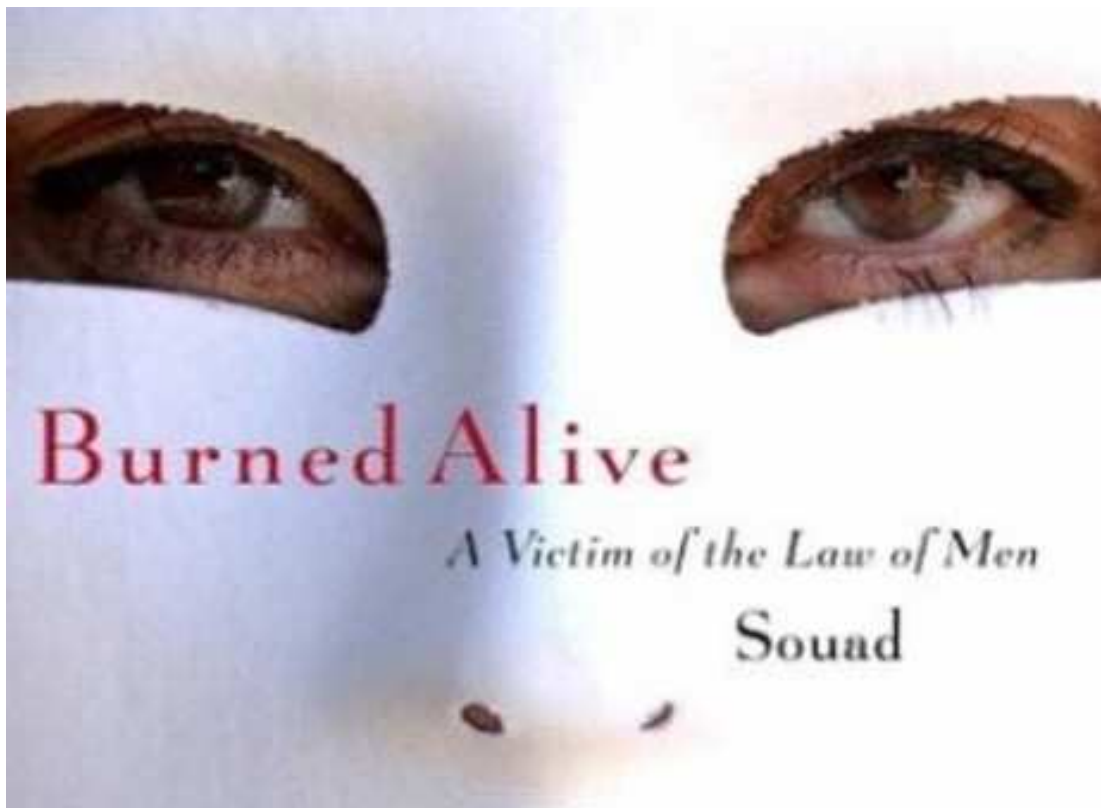
Scenariusz spektaklu oparty na podstawie książki Souad spalona żywcem. Autorka książki ze względu na ciężący nad nią wyrok, ukrywa swoją twarz do dziś, wyrok bowiem nie ulega przedawnieniu (...) Książka opowiada światu o barbarzyńskich praktykach w wielu krajach. Wydarzenia z przeszłości przedstawione w wykonaniu znakomitej aktorki Marii Iljuczonek z niezwykłą oprawą muzyczną Kayah i Mieczysława Szczęśniaka, porusza najgłębsze tajniki ludzkiej duszy...



Fot. Anna Sieremba







Burned Alive

A Victim of the Law of Men

Souad